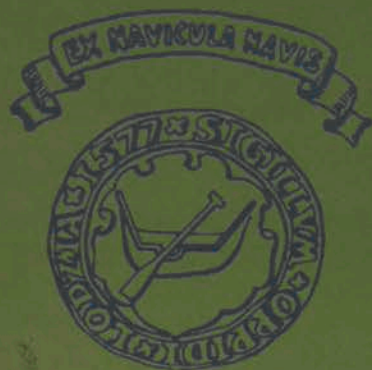


KRONIKA
KRONIKA
KRONIKA
KRONIKA
KRONIKA
KRONIKA

MIASTA ŁODZI



Zeszyt 1/96

Zarząd Miasta Łodzi

1996

Egzemplarz obowiązkowy
nr 5949 dn. 15.07 19 96



Nazwisko i imię

Zajęcie

Znak statystyczny

Adres

Kieszonka

Kronika Miasta Łodzi

1/96

Łódź 1996

Rada Programowa

Kazimierz Badziak, Zbigniew Bokszański, Bolesław Bolanowski,
Ryszard Golański, Elżbieta Hibner, Grzegorz Matuszak,
Wojciech Michalski

Zespół Redakcyjny

Andrzej Rostocki — redaktor naczelny, Andrzej Babaryko — redaktor prowadzący,
Zofia Gromiec — sekretarz redakcji, Wojciech Michalski

Projekt okładki

Bogumił Łukaszewski

EO 34/96

Adres redakcji:

90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 104 p. 07

tel. 38 40 10, fax 38 40 90

Wydawca: Zarząd Miasta Łodzi

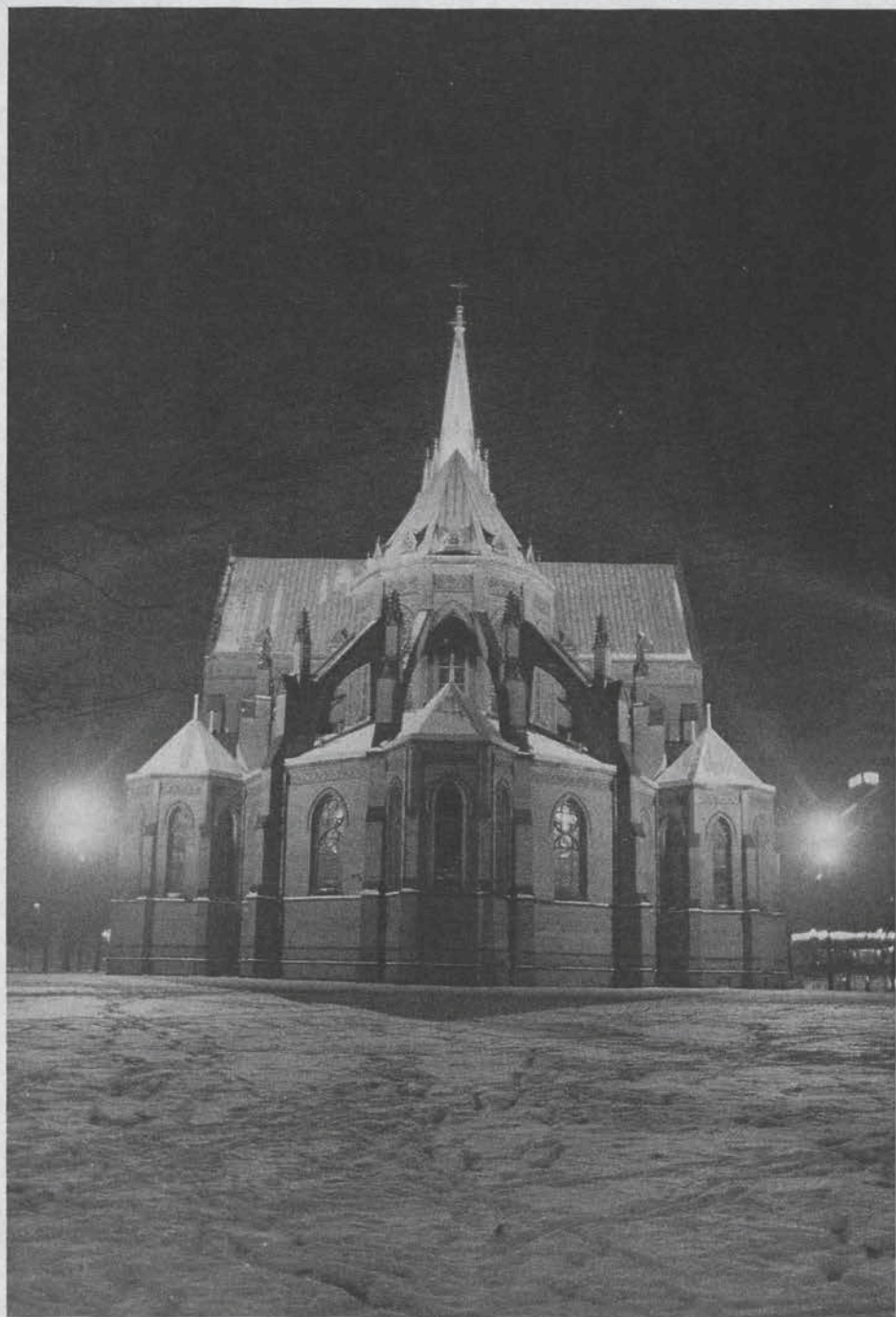
Skład: Computext – DTP, Pabianice, ul. Cisowa 15

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź, ul. Żwirki 2

ISSN 1231-5354

Zarząd Miasta Łodzi

1996



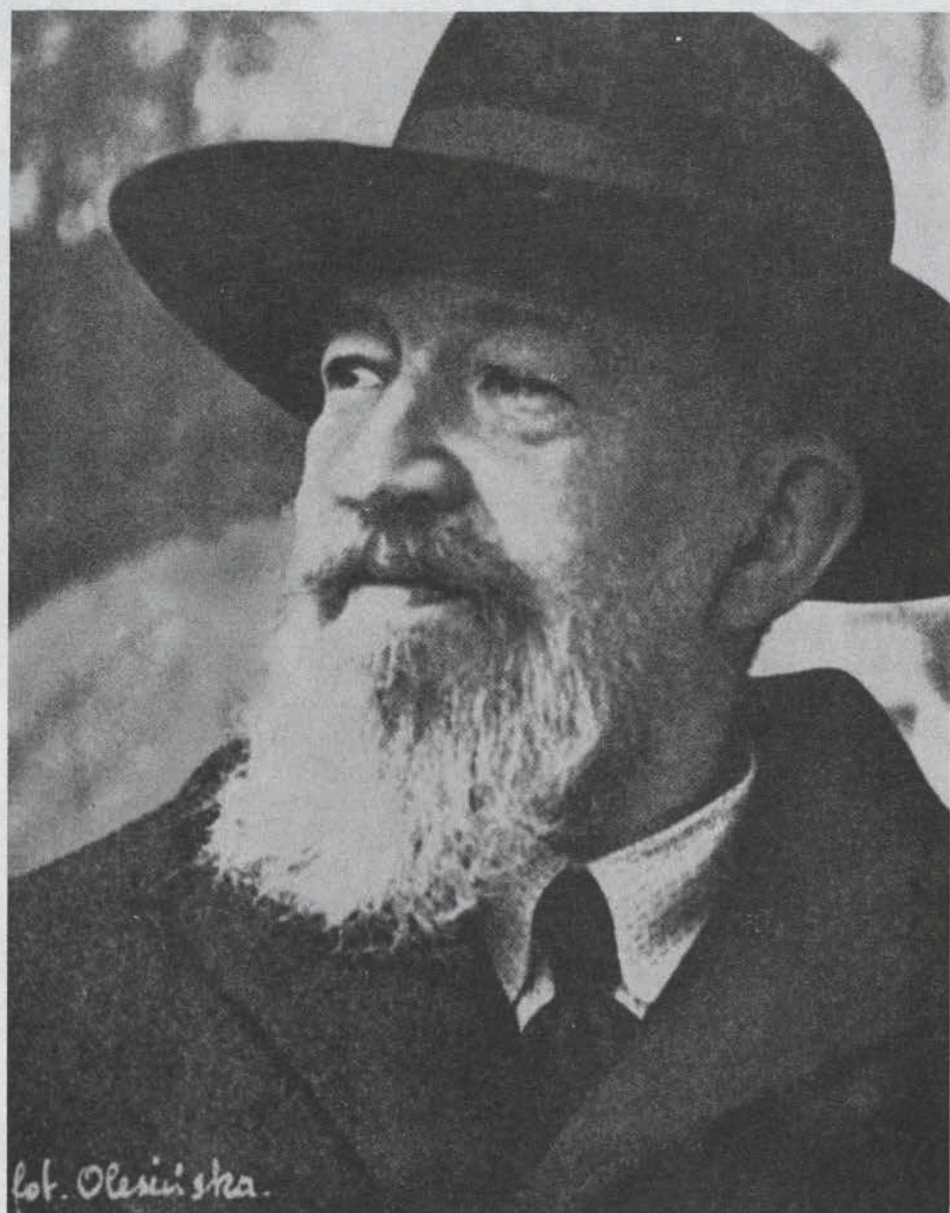
fol. Piotr Zdrzyński

75 lat Archidiecezji Łódzkiej

Miasto osobliwej powagi, miasto pracy...

Śmiało mogę powiedzieć, że przyznanie mi nagrody naukowej Miasta Łodzi było dla mnie wielką niespodzianką. Zdawało i zdaje mi się bowiem, że zaszczytne odznaczenia, które przypadły mi w udziale w ostatnich zwłaszcza latach wypełniły, a raczej przebrały już miarę sprawiedliwej oceny tak zwanych moich zasług. Spoglądając tedy wstecz na swe życie, czułem się szczęśliwy, że mi ono prócz tylu, tylu innych rzeczy dobrych dało też tyle dowodów najżyczliwszego uznania mej dobrej woli i moich rzetelnych wysiłków. Toteż żadnego już znikąd się nie spodziewałem odznaczenia, a przyznanie mi nagrody Miasta Łodzi było dla mnie czymś najzupełniej nieoczekiwanym.

Ale było zarazem czymś dla mnie nad wyraz radosnym! Jakżeż bowiem nie miałem i nie mam radować się faktem, że dostojne Grono złożone z delegatów Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Polskiej Akademii Umiejętności, Kasy im. Mianowskiego, oraz wszystkich naszych Uniwersytetów, wspólnie z Przedstawicielami Zarządu Miejskiego i Rady Przybocznej Miasta Łodzi, uznało mnie godnym nagrody naukowej, przez miasto to ufundowanej! I dwojakie w fakcie tym tkwi dla mnie źródło radości. Jednym z nich okoliczność, że o przyznaniu nagrody stanowili reprezentanci nauki z całej Polski, że więc nagroda miasta Łodzi pozbawiona jest charakteru ściśle miejscowego i przypadła mi w udziale mocą uchwały ciała, w którego skład wchodziło uczeni z wszystkich stron naszej Ojczyzny. Okoliczność ta nadaje nagrodzie naukowej Miasta Łodzi szczególną wagę — gdy sobie tę okoliczność uświadamiam, odczuwam w całej pełni niezwykłą wielkość zaszczytu, który mnie spotkał. Oto jedno ze źródeł mojej radości. Drugie zaś tkwi właśnie w tym, co bym pozwolił sobie nazwać zabarwieniem lokalnym nagrody, więc w tej okoliczności, że miastem, które nagrodę ufundowało, miastem, pod którego egidą odbyły się narady nad przyznaniem nagrody i zapadła ostateczna w tej sprawie uchwała, miastem więc, któremu nagrodę zawdzięczam, jest Łódź. Dlaczego okoliczność ta sprawia mi tak wielką radość, łatwo wyjaśnić.



lot. Olesin'ska.

Wandrus.

Jak każda okolica i każdy krajobraz, tak też każde miasto ma swoją fizjonomię, będącą wyrazem jego charakteru. Są miasta tchnące tradycją historyczną i wspomnieniami przeszłości, są miasta żyjące gorączkowym tętnem współczesności, są miasta ponure i miasta pogodne, miasta smutne i miasta wesole. Otóż Łódź jest miastem, z którego wieje jakaś osobliwa powaga, a tę powagę swoją zawdzięcza Łódź temu, że jest miastem pracy. Praca wyciska na mieście Łodzi swe piętno, praca jest jego najistotniejszą cechą, praca czyni je tak cennym klejnotem w koronie miast polskich.

Otóż jeśli wolno wierzyć głosom, które się o mnie odezwały w prasie z powodu przyznania mi nagrody naukowej miasta Łodzi, nie tylko sam w życiu swoim rzetelnie pracowałem, lecz będąc, jak mówi jeden z tych głosów „bez miary pracowitym nauczycielem”, „zawzięłem się po prostu, by lekkoduchów Polaków nauczyć pracować tak, jak umieją pracować Niemcy”. Toteż, jak powiada inny z tych głosów, uczniowie moi wyrosli z mojej „twardej szkoły”, „zrozumienia dla metod uczciwej pracy”. Istotnie. Wychowano mnie w atmosferze pracy i w kulcie pracy. Żyłem w Wiedniu, wśród Niemców, niemal lat trzydzieści, zanim spełniło się moje gorące pragnienie uzyskania katedry filozofii w jednym z uniwersytetów polskich. Ale przybywszy do kraju, z przerażeniem spostrzegłem, że stosunek naszego społeczeństwa do pracy jest inny, aniżeli społeczeństw zachodnich. Tam praca tworzy główną i normalną treść życia, potrzeba pracy jest powszechnie uznana, a pragnienie, by wykonywać ją jak najlepiej, jest udziałem olbrzymiej większości ludzi. U nas bywa niestety zbyt często inaczej. Chęć uchylenia się od pracy jest rzeczą bardzo rozpowszechnioną; gdzie się nie można od niej uchylić, wykonuje się ją jak bądź; jednostki pojmujące pracę, tak jak należy, oddające się jej z pełnym zrozumieniem jej społecznej, narodowej i państwowej doniosłości, nie są dostatecznie liczne aby mogły nadawać kierunek ogółowi. A przecież zarówno trwałe powodzenie jednostek, jak też ogółu, może się opierać jedynie na pracy intensywnej, wytrwałej, dokładnej, sumiennej. Mam to głębokie przekonanie, że jedną z głównych przyczyn naszego na wielu polach wiekowego zacofania jest właśnie brak umiejętności takiej pracy. I nie mniej głęboko jestem przekonany, że umiejętność tę musimy koniecznie zdobyć, jeśli mamy zająć na trwałe wśród państw europejskich należne nam skądinąd miejsce i stać się naprawdę mocarstwem.

Staralem się tedy szerzyć, o ile to było w mojej mocy, wśród młodzieży naszej kult pracy. Staralem się słowem i przykładem budzić i umacniać w niej przekonanie, że nie przekleństwem, lecz błogosławieństwem jest praca, że ona jedna daje jednostce trwałe zadowolenie i że ona jedna tworzy trwałą siłę społeczeństwa.

Taki był i taki jest mój stosunek do pracy — czyż więc można się dziwić, że odczułem najżywszą radość, gdy właśnie stolica polskiego świata pracy uznała mnie godnym swej nagrody? Czyż głos uznania, który doszedł mnie z tego właśnie miasta, będącego wyrazicielem pracy, nie musi budzić we mnie uczucia najwyższego zadowolenia i słusznej dumy! A obok tych uczuć wzbiera w sercu moim uczucie

głębokiej wdzięczności za odznaczenie, które mnie spotkało, wdzięczność zarówno dla Grona, które o nadaniu nagrody decydowało, jak też dla Zarządu Miasta, któremu nagrodę zawdzięczam. Toteż proszę Wielce Szanownych Panów, aby zechcieli wobec Zarządu Miasta Łodzi być tłumaczem tej mojej szczerze odczutej wdzięczności, by zechcieli sami przyjąć serdeczne podziękowania za podjęty trud wręczenia mi tego tak pięknie wykonanego dyplomu. I proszę mi wierzyć, że tytuł laureata nagrody naukowej Miasta Łodzi będę zawsze uważał za jeden z najszlachetniejszych swoich tytułów.

* * *

W bieżącym roku mija 60. rocznica przyznania prof. **Kazimierzowi Twardowskiemu** nagrody naukowej naszego miasta. Ten wybitny filozof — twórca współczesnego polskiego języka filozoficznego — był założycielem słynnej filozoficznej szkoły zwanej lwowsko-warszawską. Kazimierz Twardowski (1866-1938) to także niezwykle nauczyciel, wychowawca wielu wybitnych uczonych, by wspomnieć tylko: Jana Łukasiewicza, Kazimierza Ajdukiewicza czy Tadeusza Kotarbińskiego.

Nagrodę, zwaną oficjalnie „**Nagrodą miasta Łodzi dla Polskiej Nauki, Literatury pięknej i Sztuk plastycznych**” przyznawał specjalny sąd konkursowy. Składał się on z delegatów wszystkich polskich uniwersytetów, Polskiej Akademii Umiejętności, Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a także przedstawicieli władz miejskich. Uczestnikami sądu byli tak wybitni uczeni jak: prof. prof. Stefan Błachowski (psycholog), Marcei Handelsman (historyk) czy Manfred Kridl (historyk i teoretyk literatury). Władze miejskie reprezentowali m.in. inż. Waclaw Głazek, tymczasowy prezydent miasta Łodzi oraz wiceprezydent Mikołaj Godlewski. Konkurentami K. Twardowskiego byli m.in. tacy wybitni uczeni jak: Jan S. Bystroń, Adam Krzyżanowski, Stanisław Kutrzeba czy Ignacy Chrzanowski.

W uzasadnieniu decyzji sąd przyznał nagrodę uczonemu: „**za całokształt jego wybitnej pracy naukowej w dziedzinie filozofii**”. Decyzję tę podjęto 26 kwietnia 1936 r. Stan zdrowia uczonego nie pozwalał mu na osobiste odebranie nagrody (wynosiła ona 5 tys. ówczesnych złotych). Stąd przedstawiciele miasta: Mieczysław Kalinowski (Dyrektor Zarządu Miejskiego) i Jan Nepomucen Waltratus (Naczelnik Wydziału Oświaty i Kultury) wręczyli ją uczonemu w jego mieszkaniu we Lwowie w dniu 3 października 1936 r. Z tej okazji przemówienie wygłosił dyrektor M. Kalinowski. Odpowiadając mu K. Twardowski wygłosił mowę, wartą przypomnienia, zawiera bowiem interesującą charakterystykę naszego miasta.

Ryszard Kleszcz

* Przemówienie wygłoszone w dniu 3 października 1936 r. z okazji wręczenia Nagrody Miasta Łodzi.

* Tytuł pochodzi od redakcji.

* Informacje o okolicznościach przyznania nagrody zawiera „Dziennik Zarządu Miejskiego w Łodzi”, nr 5, 15 maja 1936, s. 327—330. Tekst podziękowania Laureata zawarty tamże, nr 11, 5 listopada 1936, s. 778—780.

Wszystkich, a zwłaszcza tych, którzy ciężko pracują, należy przyprowadzić do Serca Bożego.

ks. Wincenty Tymieniecki
— pierwszy biskup diecezji łódzkiej

MAREK BUDZIAREK

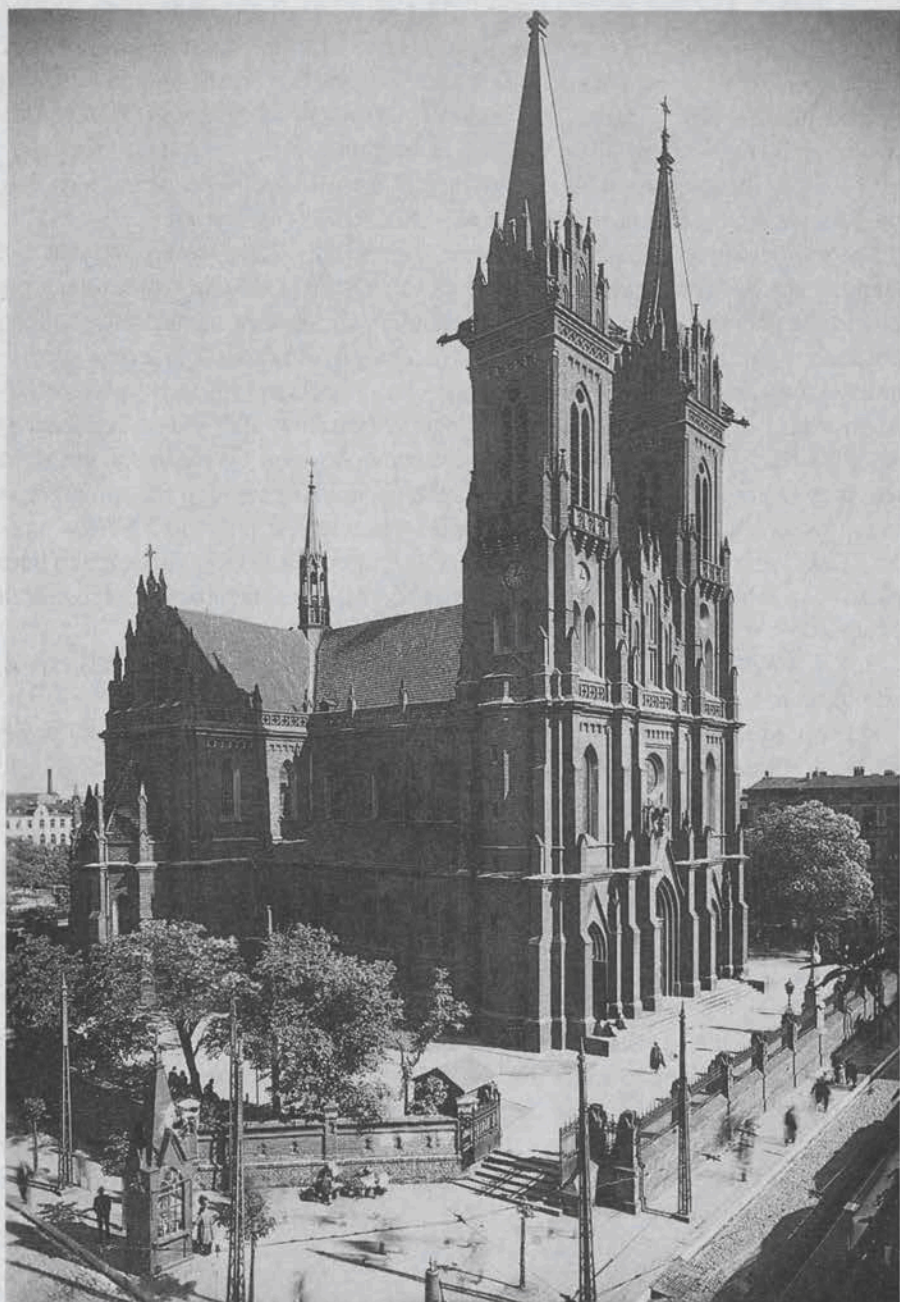
Łódzki fragment historii Kościoła

Brylantowy jubileusz diecezji łódzkiej w sposób naturalny zmusza do analizowania genezy i następstw wydarzeń z końca 1920 r., kiedy to papież Benedykt XV telegraficznie powołał do życia pierwszą diecezję w niepodległej Polsce. Dzieje Kościoła rzymskokatolickiego na Ziemi Łódzkiej mogą poszczycić się rodowodem sięgającym Średniowiecza, zaś niebywały rozwój Łodzi — miasta wielkiego przemysłu — spowodował specyficzne funkcjonowanie rodzimego katolicyzmu, zupełnie niepowtarzalnego na całym obszarze ziem polskich.

Wytworzone w ubiegłym stuleciu formy oddziaływania duszpasterskiego w dużym stopniu wpłynęły na kształt Kościoła łódzkiego w dwudziestoleciu międzywojennym, choć oczywiście rozpoczęto wówczas proces wypracowywania nowego modelu kapłana aktywnie włączającego się w życie społeczno-polityczne. Konsekwencją tych postaw i działań była eksterminacja kleru katolickiego, rozbitcie organizacji kościelnej i poważne nadwerężenie życia religijnego dokonane przez okupanta hitlerowskiego w latach 1939-45. Lata powojenne, jak również ponad półwiecze Polski Ludowej, nie sprzyjały normalnemu funkcjonowaniu Kościoła katolickiego w diecezji łódzkiej. Obecnie katolicyzm łódzki — już w ramach archidiecezji — do tej normalności stopniowo, ale nieustannie zmierza pod przewodnictwem arcybiskupa, księdza Władysława Ziółka.

* * *

Parafie wchodzące w skład dzisiejszej archidiecezji łódzkiej już w XI stuleciu wzmiankowane były w aktach arcybiskupów gnieźnieńskich. Rozwój sieci parafialnej mający miejsce w XIV, a zwłaszcza XV w., powodował pojawienie się na mapie polskiej organizacji kościelnej parafii przy kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Łodzi.



Kościół Wniebowzięcia NMP (przed 1936 r.). Ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi

Jej geneza ginie gdzieś w mrokach XIV w., tak zresztą jak i samej wsi, Łodzią zwanej. Powszechnie przypuszcza się, iż biskup wrocławski Zbilut Galanczewski (1364-83) zbudował nad rzeką Ostrogą (dopiero w XIX stuleciu nazywanej Łódką) kościół, przy którym arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogoria Skotnicki (1342-71) erygował parafię. Kiedy się to jednak stało, nikt naprawdę nie wie. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że erekcja parafii nastąpiła pomiędzy rokiem 1366 (kiedy ukończono budowę świątyni), a 1371 r. (w momencie, kiedy ociemniały arcybiskup zrezygnował z rządów archidiecezją gnieźnieńską).

Dobra łódzkie — monarsza własność — przed 1332 r. przeszły we władanie biskupów wrocławskich. Od początku XV w. sama Łódź posiadała królewskie prawa miejskie, ale pod względem jurysdykcji kościelnej znajdowała się nadal w granicach archidiecezji gnieźnieńskiej. Ot, taka wysepka gnieźnieńska na obszarze podległym Włocławkowi. Zresztą podobnie jak Wolbórz, który także był własnością hierarchów z Włocławka, ale tamtejsza kolegiata podlegała Prymasowi Polski. Nie kończące się spory pomiędzy Gniezmem a Włocławkiem spowodowane były istniejącym dualizmem przynależności terytorialnej i jurysdykcji kościelnej naszego miasta. Przetargi hierarchów kościelnych musiały być poważne, bowiem w połowie XVIII w. „problem łódzki” przekazano do rozstrzygnięcia Stolicy Apostolskiej. Wówczas to bodaj pierwszy raz w historii chrześcijaństwa Kuria Rzymska miała możliwość zapoznać się — w sposób bezpośredni — z Łodzią i jej lokalnym Kościołem.

Już w 1761 r. ordynariusz wrocławski Antoni Dembowski (1753-63) zwrócił się do arcybiskupa gnieźnieńskiego Władysława Łubieńskiego (1759-67) z propozycją wymiany odpowiednich parafii, tak aby ułatwić pracę duszpasterską w obu diecezjach. Ta drobna reorganizacja uzyskała nawet aprobatę Prymasa Polski, jednakże kapituła metropolitalna propozycji tych nie przyjęła. Odwołano się więc do Rzymu. Ojciec św. Klemens XIII (1758-69), zapoznawszy się z całą sprawą i wysłuchawszy wszystkich stron „konfliktu”, wydał dekret *Quod cum pro parte*, którym zakończył wielowiekowy spór. Nuncjusz warszawski Eugeniusz Visconti, jako delegat apostolski, 9 maja 1765 r. ogłosił decyzję papieża. Parafia łódzka wraz z kilkoma innymi miejscowościami (wśród nich był również Wolbórz) ostatecznie przeszła w gestię biskupa wrocławskiego.

Zmiana przynależności diecezjalnej nie na wiele się Łodzi zdała. Co prawda dało to asumpt do wybudowania nowego drewnianego kościoła parafialnego (poświęconego w 1768 r.), jednakże miasto stopniowo podupadało, a ludność coraz bardziej się pauperyzowała. Sytuację tę pogłębiły jeszcze bardziej rozbiory, zwłaszcza drugi, kiedy to Łódź znalazła się w domenie króla Prus. Zaborca, przeprowadziwszy sekularyzację dóbr biskupów wrocławskich, przejął całkowitą administrację miasta, a nawet planował pozbawienie Łodzi praw miejskich.



Katedra łódzka Św. Stanisława Kostki, fot. W. Pfeifer, 1930 (ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

Sytuacja miasta nad Łódką, a także w miejscowej parafii, zmieniła się diametralnie w konstytucyjnej dobie Królestwa Polskiego. W 1820 r. bowiem, z inicjatywy Stanisława Staszica (reprezentującego rząd) i Rajmunda Rembelińskiego (przedstawiciela władz województwa mazowieckiego), Łódź zaliczono w poczet miast fabrycznych. Dwa lata wcześniej, w wyniku reorganizacji Kościoła rzymskokatolickiego w Królestwie Kongresowym, utworzono metropolię warszawską (na mocy bulli papieża Piusa VII *Militantis Ecclesiae* z 12 marca 1818 r.) i dokonano nowego podziału diecezji w całym Królestwie (zgodnie z bullą papieską *Ex imposita nobis* z 30 czerwca 1818 r.). W efekcie tych posunięć Stolicy Apostolskiej parafia łódzka, jak również znaczna część miejscowości z tego obszaru diecezji wrocławskiej, znalazły się w granicach archidiecezji warszawskiej.

Te dwa wydarzenia — państwowe i kościelne — stworzyły dla naszego miasta i miejscowego Kościoła zupełnie nowe formy istnienia i funkcjonowania. Miasto Łódź w niezwykle szybkim tempie przeradzać się zaczęło w wielką metropolię przemysłową, zaś lokalna parafia stanęła przed zupełnie nowymi problemami duszpasterskimi.

Co prawda wspólnota katolicka rozrastała się w 1. połowie XIX w. w sposób zupełnie wyjątkowy (pod koniec ubiegłego stulecia liczyła kilkaset tysięcy wiernych), to jednak przez długi czas nie miała własnych instytucji o charakterze społeczno-państwowym. Nie mogła w sposób swobodny rozwijać swoich narodowych aspiracji (Polacy w tej grupie dominowali), a działalność społeczną ograniczano jedynie do płaszczyzny kościelnej. W ramach miejscowej parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny — jedynej katolickiej parafii — funkcjonowały bractwa, animowano życie liturgiczne i sakramentalne. Rosnąca ciągle liczba mieszkańców miasta powodowała gwałtowny wzrost liczby wiernych, ale dopiero w 1860 r. podjęto próbę budowy nowej świątyni katolickiej — pw. Podwyższenia Świętego Krzyża. Prace rozpoczęte przez miejscowego proboszcza ks. Wojciecha Jakubowicza na długie lata przerwał wybuch powstania styczniowego i popowstaniowe represje administracji carskiej. Te ostatnie (z parafii usunięto ks. Jakubowicza i aresztowano wikarę ks. Józefa Czajkowskiego za czynny udział w akcjach insurekcyjnych) doprowadziły do poważnych perturbacji w życiu parafialnym. Łódzka parafia przez osiem lat była bez stałej opieki duszpasterskiej.

Dopiero od początku lat 70. ubiegłego wieku sytuacja katolików łódzkich zaczęła się stabilizować. W 1872 r. proboszczem łódzkim mianowany został ks. Ludwik Dąbrowski. Wznowiono budowę nowego kościoła przy ul. Dzikiej (obecnie Henryka Sienkiewicza). Uaktywniono stowarzyszenia i bractwa religijne. Jedna świątynia na Starym Mieście, kilku duchownych i ogromna rzesza wiernych — wszystko to powodowało, że prowadzenie działalności apostolskiej w zdeintegrowanym środowisku było niezwykle trudne. Kościół nie nadążał w swych działaniach za lawinowym wzrostem liczby wiernych. Potrzeby były duże, zdawano sobie z nich sprawę, ale nie było środ-

ków na ich realizację. Nadto i tak trudną sytuację duszpasterską ograniczały rozporządzenia administracji petersburskiej. Antykościelna polityka władz carskich skutecznie ograniczała swobodę działania, podsycala antagonizmy narodowościowe, tolerowała ruchy schizmatyczne w łonie samego Kościoła rzymskokatolickiego. Na dodatek pojawiła się — jaskrawo widoczna, zwłaszcza w środowisku łódzkim — kwestia społecznego oddziaływania katolicyzmu w środowisku robotniczym.

Mimo zewnętrznych trudności łódzki Kościół katolicki w „nienormalnych” warunkach wielkiego molocha narodowościowego, kulturowego i wyznaniowego funkcjonował zupełnie poprawnie. A nawet więcej. Stworzono tu pewne formy duszpasterstwa środowiskowego, którymi mógł się poszczycić w skali ogólnopolskiej. Ks. Marceli Godlewski (z kościoła Podwyższenia Św. Krzyża) i ks. Jan Albrecht (wikary z parafii św. Józefa), na przełomie XIX i XX w., podjęli skuteczne próby przeszczerzenia na grunt łódzki wzorców chrześcijańskiego ruchu robotniczego. Ks. Antoni Rogoziński — zaliczany do radykałów społecznych — zabiegał o pracę dla robotników, bronił ich przed nadmiernym wyzyskiem. Ks. Franciszek Szamota zawiązał przy parafii Wniebowzięcia NMP Związek Katolicki, zaś ks. Ludwik Dąbrowski ostro protestował przeciw przeciążaniu pracą dzieci, nocnej pracy dziewcząt i kobiet, gwałceniu praw robotników do świętowania niedziel i świąt kościelnych. Z kolei proboszcz parafii św. Stanisława Kostki, ks. Wincenty Tymieniecki organizował pracę społeczno-patriotyczną wśród swoich parafian.

Zupełnie nowe zadania duszpasterskie pojawiły się w trakcie Wielkiej Wojny, zwłaszcza na polu charytatywnym. Jednakże kwestia specyfiki pracy apostołskiej w środowisku robotniczym Łodzi, trudności w jej prowadzeniu, współdziałanie duchowieństwa ze świeckimi nieustannie były podnoszone wobec rządów archidiecezji warszawskiej. Tych problemów duchowieństwo łódzkie nie mogło samo rozwiązać. Warszawska kuria metropolitalna, a zwłaszcza arcybiskup Aleksander Kakowski, zdając sobie sprawę ze złożoności zagadnień łódzkich, ich rozwiązanie widział w utworzeniu samodzielnej jednostki organizacji kościelnej ze stolicą w Łodzi.

Świadomość tych potrzeb była powszechna w całym episkopacie polskim. Dlatego tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, nie oglądając się na prace konkordatowe, mające unormować stosunki prawne Kościoła rzymskokatolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej, podjęto działania zmierzające do utworzenia diecezji łódzkiej. Uwieńczono je pełnym sukcesem 10 grudnia 1920 r.

* * *

Pierwsze projekty utworzenia diecezji łódzkiej pojawiły się jeszcze w 1915 r., kiedy to niemiecko-rosyjski front wojenny podzielił archidiecezję warszawską. Wówczas to papież Benedykt XV mianował biskupa włocławskiego Stanisława Kazimierza Zdzitowieckiego administratorem apostołskim dla części archidiecezji będącej pod okupacją niemiecką. Wikariuszem generalnym na tym terenie został ks. Henryk

Przeździecki, proboszcz parafii św. Józefa w Łodzi. Na podstawie dekretu metropolity Aleksandra Kakowskiego posiadał on kościelną jurysdykcję na dekanat łódzki, brzeziński i łączycycki.

Po zakończeniu Wielkiej Wojny szczególnego poparcia misji utworzenia samodzielnej diecezji udzielał kardynałowi Kakowskiemu nuncjusz apostolski msgr. Achilles Ratti oraz gabinet premiera Leopolda Skulskiego (1919-20), byłego nadburmistrza miasta Łodzi. Erygowania diecezji ze stolicą w Łodzi domagali się także niemalże wszyscy biskupi polscy. W odpowiedzi na ankietę rozesłaną im w 1920 r., niektórzy z nich (Romuald Jałbrzykowski z Łomży, Augustyn Łosiński z Kielc, Piotr Mańkowski — biskup kamieniecki, Marian Ryx z Sandomierza i Adam Stefan Sapieha z Krakowa) wysuwali tylko propozycje utworzenia nowej jednostki administracji kościelnej. Inni natomiast (Zygmunt Łoziński z Pińska, Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki z Włocławka i kardynał Aleksander Kakowski z Warszawy) wraz z propozycją erygowania diecezji łódzkiej zakresłali plan jej przyszłego terytorium.

Przemiany ekonomiczno-społeczne, jak również specyfika duszpasterska tej części archidiecezji warszawskiej miały bezpośredni wpływ na podjęcie wysiłków wydzielenia w osobną jednostkę administracyjną łódzkiego okręgu duszpasterskiego. Kardynał Kakowski w odezwie do duchowieństwa łódzkiego ogłoszonej 27 grudnia 1920 r. stwierdził, że podejmując starania w celu erygowania diecezji (...) *miał na uwadze szczególne warunki miasta Łodzi, jako siedziby wielkiego przemysłu, a tym samym nagromadzenia znacznej liczby sił robotniczych wymagających szczególnie wzmoczonej pracy apostolskiej.*

Formalnej erekcji diecezji łódzkiej dokonał papież Benedykt XV bullą *Christi Domini, qui sese bonum pastorem* z 10 grudnia 1920 r. Kościół parafialny św. Stanisława Kostki podniesiony został do rangi katedry nowo powstałej diecezji, a tymczasowe rządy w diecezji, jako administratorowi apostolskiemu, powierzono metropolicie warszawskiemu kardynałowi Kakowskiemu. Ten z kolei mianował wikariuszem generalnym dziekana łódzkiego, ks. prałata Wincentego Tymienieckiego (1871-1934). Dokument papieski ogłoszono dopiero 28 kwietnia 1921 r. w kościele katedralnym i dekretem *Nos infrascripti* wprowadzono w życie. Dwa miesiące wcześniej, 11 kwietnia 1921 r., bullą *Commissum humilitati nostrae* Ojciec św. mianował ks. Wincentego Tymienieckiego pierwszym biskupem diecezji łódzkiej. Konsekracja i ingres biskupa łódzkiego miały miejsce 29 czerwca 1921 r.

* * *

W pierwszym liście pasterskim z 29 czerwca 1921 r. biskup Wincenty Tymieniecki określił cel swojego posłania pasterskiego: *Wszystkich, a zwłaszcza tych, którzy ciężko pracują, należy przyprowadzić do Serca Bożego.* Ordynariusz zamierzał nieść pokój i miłość, wychodzić naprzeciw ludziom umęczonym ciągłą walką i nienawi-

ścią, przeciwstawiać się wszelkiemu złu i krzywdzie, a podniesienie poziomu życia religijnego i odrodzenie wiernych uważał za swoje najważniejsze zadanie apostołskie. W realizacji swych zadań duszpasterskich wielką wagę przywiązywał do kolegialnego działania, w myśl umiłowanego hasła: *ut simus unum*, gdyż *tylko wspólnymi siłami można dokonać wiele*.

Na początku swej biskupiej posługi hierarcha łódzki podjął zdecydowaną walkę z nędzą mieszkańców wielkiej aglomeracji miejskiej. W 1928 r. założył Spółkę Akcyjną Towarzystwa Budowy Domków Robotniczych, a półtora roku później przystąpiono do rozdziału 150 budynków jedno- i dwurodzinnych. Akcja ta nabrała ogromnego znaczenia i stała się głośna nie tylko w Łodzi. W konkursie bowiem na projekt zabudowań wzięło udział kilku architektów z Europy Zachodniej. Nie mniej głośną akcją ordynariusza łódzkiego było utworzenie w 1926 r. Biskupiego Komitetu Kolonii Letnich, którego zadaniem stało się organizowanie wakacyjnego odpoczynku dzieci z robotniczych rodzin. Kolonie organizowane według najnowocześniejszych wymogów pedagogicznych cieszyły się ogromną popularnością. W Łagiewnikach pod Łodzią otworzono nawet dom wczasowy „Juvenat”, który przyjmował dzieci przez cały rok. Jak donosiło miejscowe „Słowo Katolickie”, staraniem biskupiego Komitetu, latem 1933 r. poza Łodzią przebywało na koloniach 1257 dzieci. Zagwarantowano im warunki właściwego rozwoju psychofizycznego, ale nie tylko. Biskup zatroszczył się również o sprawy duchowe młodych łodzian. Osobiście wizytował letniska, przydzielał kapłanów wszystkim domom wychowawczym, bursom, koloniom itp. Duchowni ci mieli organizować życie liturgiczne, prowadzić katechezę, przygotowywać dzieci do kwartalnej spowiedzi i komunii świętej.

W trakcie wielkiego kryzysu gospodarczego lat 30., w oparciu o katolicką naukę społeczną papieża Leona XIII i Piusa XI, ordynariusz łódzki wcielał w życie nowe inicjatywy społeczne. W 1931 r. powołał do życia Komitet Pomocy dla Najbiedniejszych „Doraźny Posilek”. Jego zadaniem było wyszukiwanie najbiedniejszych, najbardziej potrzebujących, zbieranie funduszy i ofiar w naturze, organizowanie tanich kuchni, udzielanie pomocy żywnościowej i materialnej. Z kolei, pragnąc podnieść poziom intelektualny robotników łódzkich, w 1930 r. założył Katolicki Uniwersytet Robotniczy. W jego ramach zaznajamiano środowisko łódzkie z katolicką nauką społeczną, podejmowano próbę tworzenia opinii katolickiej oraz wychowania działaczy katolickich. Chcąc pogłębić znajomość tych zagadnień, organizowano ponadto „Tygodnie Społeczne”, podczas których wygłaszano referaty na wybrane zagadnienia dotyczące katolicyzmu społecznego.

W swoich listach pasterskich, kazaniach i przemówieniach biskup Tymieniecki wzywał niejednokrotnie do wyjścia z ciasnoty egoizmu, oparcia stosunków międzyludzkich na zasadach sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Ożywienie życia eucharystycznego miało koncentrować całą pracę duszpasterską. W tym celu latem 1928 r. zorganizował sławny Kongres Eucharystyczny, krzewił kult Najświętszej Maryi Panny, a propagowanie kultu świętych polskich uważał za jeden z najważniej-



Kościół katolicki Św. Kazimierza, Widzew, fot. W. Pfeifer, 1937
(ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

szych masowych środków oddziaływania duszpasterskiego. W historii diecezji łódzkiej biskup ordynariusz zapisał się nie tylko jako jej twórca, ale także jako zdolny organizator pracy społeczno-patriotycznej, krzewiciel bractw kościelnych i katolickich organizacji społecznych, ojciec biednych i kapłan wielu. Kiedy 12 lipca 1934 r. do krypty kościoła katedralnego składano jego doczesne szczątki, rozzwoniły się wszystkie wieże kościelne, ale także zawyły syreny łódzkich fabryk.

Kolejny ordynariusz łódzki, biskup Włodzimierz Jasiński (1873-1946) kontynuował program duszpasterski swojego wielkiego i powszechnie szanowanego po-

przednika. Przede wszystkim wszechstronnie rozbudował organizację Kościoła łódzkiego oraz systematycznie udoskonalał instytucje diecezjalne. Wraz z sufraganiem i całym duchowieństwem niósł pociechę religijną chorym, starcom oraz dzieciom przebywającym w różnych ochronkach, przytułkach i szpitalach łódzkich. Otaczał opieką duszpasterską całą Łódź katolicką, a od 1934 r. prowadził działania na rzecz pogłębienia wiary u mieszkańców miasta. Przy wydatnej pomocy podległych mu księży kontynuował misję charytatywną Biskupi Komitet Niesienia Pomocy dla Najbiedniejszych „Doraźny Posilek”. Biskup powołał do życia Instytut Wyższej Kultury Religijnej oraz Katolicki Uniwersytet Społeczny, *ażebym tutaj w robotniczej Łodzi — jak to stwierdzono na łamach „Słowa Katolickiego” w numerze 6 z 1939 r. — w tym zbiorowisku przekonań i zapatrywań szerzyły oświatę i stały się czynnikiem uświadomienia każdego Polaka.*

Łódź, będąca trudnym terenem duszpasterskim, jeszcze w 1927 r. zyskała gorliwego biskupa sufragana, pisarza i świetnego mówcę, ks. Kazimierza Tomczaka (1883-1967). Jako wikariusz generalny i oficjał sądu biskupiego miał możliwość wnikania w zakamarki niemalże wszystkich dziedzin łódzkiego życia religijnego. Będąc wspaiałym oratorem, głębokie tajemnice wiary przekazywał wiernym przystępnym językiem. To z kolei powodowało jego ogromną popularność wśród mieszkańców Łodzi, bez względu na ich pochodzenie społeczne, narodowe czy wyznaniowe. Był niezwykle życzliwy dla wszystkich, swoją osobą służył zawsze tam, gdzie chodziło o poprawę konkretnej dziedziny życia. Włączył się do organizowania Akcji Katolickiej. Z jego inicjatywy w programie łódzkiej rozgłośni wygłaszano odczyty i pogadanki na tematy religijne, transmitowano koncerty muzyki chóralnej i organowej. Sam często występował przed mikrofonem, *zwracając się do całej katolickiej Łodzi ze słowami, które w chwilach ważnych i przełomowych podnoszą na duchu robotniczą, katolicką Łódź i napawają nadzieją na lepsze jutro* (charakteryzował jego działalność dziennikarz łódzkiego „Słowa Katolickiego” w numerze 18 z 1939 r.).

Inicjatywy społeczne, kulturalne i religijne katolików łódzkich oraz ich duszpasterzy (podjęte w dwudziestoleciu międzywojennym) dowodzą ogromnej aktywności Kościoła katolickiego w robotniczej Łodzi. Wychowani wówczas świeccy i kapłani zdawać musieli egzamin z polskości oraz ideałów chrześcijańskich podczas okupacji hitlerowskiej.

* * *

Okres II wojny światowej był najbardziej tragiczną kartą w dziejach łódzkiego katolicyzmu. Nazistowski terror nie ominął Kościoła katolickiego, a walka z duchowieństwem przybrała cechy wyjątkowo bezwzględne. Zresztą w Kraju Warty (okupacyjnym obszarze ziem zachodniej Polski bezprawnie włączonych do III Rzeszy) właśnie w polityce kościelnej najbardziej uwydatniły się elementy antyreligijne na-

rodowego socjalizmu. Likwidowano tu instytucje kościelne, usuwano polską hierarchię kościelną, duchowieństwo umieszczano w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Walczono z wszelkimi przejawami polskości w łonie Kościoła. W sposób bezwzględny ograniczano praktyki religijne, w efekcie czego prawie zupełnie zanikło życie liturgiczne i sakramentalne.

Oczywiście o normalnym zarządzaniu diecezją nie mogło być mowy. Ciągła inwigilacja utrudniała wszelką pracę duszpasterską. Niemniej jednak ordynariusz Włodzimierz Jasiński swoją postawą dawał przykład duchowieństwu i wiernym. Pomimo trudności, jakie stwarzała mu administracja okupacyjna, działał na wszystkich płaszczyznach duszpasterskich. W kontaktowaniu się z duchownymi diecezji będącymi poza III Rzeszą ordynariusz wykorzystywał kurierów nielegalnie przekraczających granicę z Generalnym Gubernatorstwem. Utrzymywał stałą łączność z nuncjuszem apostolskim Cesare Orsenigo w Berlinie. Przeprowadzał konieczne zmiany na stanowiskach proboszczów i wikariuszów, udzielał dyspens od zapowiedzi przedślubnych, misji kanonicznych, zezwalał na chrzest Żydom łódzkim. Jako jedyny z polskich ordynariuszy znajdujących się w Kraju Warty udzielał wiernym sakramentu bierzmowania. Na uboczu nie pozostawiał pracy społecznej. Jeszcze we wrześniu 1939 r. pod jego patronatem zorganizowano Okręgowy Komitet Społeczny Niesienia Pomocy Żołnierzom i ich Rodzinom. Od października 1939 r. przez dłuższy czas udzielał duchowej i sakramentalnej pociechy rannym żołnierzom polskim przebywającym w łódzkich szpitalach wojskowych.

W wyniku ograniczeń spowodowanych restrykcyjnymi rozporządzeniami władz hitlerowskich kierowane przez biskupa Jasińskiego centralne urzędy diecezjalne działały w zawężonym zakresie. Ograniczeniu uległo również duszpasterstwo liturgiczne i sakramentalne. Zarządzenia okupanta dotyczyły zakazu pracy sądu biskupiego i prowadzenia zajęć w seminarium duchownym, zakazu prowadzenia ksiąg metrykalnych, przekazania ksiąg stanu cywilnego administracji okupacyjnej, określenia czasu odprawiania nabożeństw i świętowania uroczystości kościelnych, udzielania ślubów osobom narodowości polskiej, niemieckiej i żydowskiej, rozdziału narodowościowego w sprawowaniu kultu.

Działalność biskupa Kazimierza Tomczaka w zarządzaniu diecezją nie wykraczała poza obowiązki wypływające z przepisów Prawa Kanonicznego. Ale jego praca społeczna znana i odczuwana była przez wszystkich łódzian. Oto w okresie przejściowym (tzn. po opuszczeniu miasta przez władze polskie, a przed wkroczeniem Wehrmachtu i stworzeniu stałej administracji okupacyjnej) stanął na czele Komitetu Obywatelskiego Miasta Łodzi, którego zadaniem było utrzymanie ładu i porządku w mieście, a jego mieszkańcom zapewnienie aprowizacji, opieki medycznej i zorganizowanie nauki dla dzieci i młodzieży.

Społeczno-polityczna działalność sufragana łódzkiego spowodowała natychmiastowe represje ze strony hitlerowskich władz okupacyjnych. W ramach wielkich areztowań inteligencji łódzkiej, przeprowadzonych w okresie poprzedzającym 11 li-



Kościół Podwyższenia Św. Krzyża (koniec XIX w.)
(ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

stopada, w grupie zatrzymanych 50 duchownych znalazł się także biskup Tomczak. Aresztowanych osadzono w więzieniu na Radogoszczu. Przebywając w nim ponad miesiąc poddawany był wyszukany torturom fizycznym i psychicznym. Po opuszczeniu więzienia od stycznia 1940 r. przebywał w areszcie domowym. Choć w następnych latach diecezja łódzka nie była terenem masowych aresztowań, to jednak zatrzymania, uwięzienia, deportacje duchownych katolickich miały miejsce. W 1941 r. władze hitlerowskie przeprowadziły zmasowane akcje terrorystyczne. W maju ordynariusz wraz z sufraganiem oraz całą kurią biskupią został internowany, początkowo w Szczawinie koło Zgierza, a następnie został przewieziony do Generalnego Gubernatorstwa i przymusowo osadzony w klasztorze reformatów w Bieczu. W październiku aresztowania, określane jako „Aktion zur Zerschlagung der polnischen Kirchen im Reichsgau Wartheland”, objęły niemalże wszystkich kapłanów diecezji łódzkiej znajdujących się w granicach Rzeszy hitlerowskiej. 164 duchownych łódzkich osadzono najpierw w obozie przejściowym w Konstantynowie Łódzkim, a następnie przewieziono do obozu koncentracyjnego w Dachau. Według najnowszych obliczeń zginęło tam 129 księży łódzkich.

Konsekwencją masowych aresztowań był całkowity zanik organizacji dekanalnej i parafialnej. Warto przypomnieć, że wówczas w Łodzi, liczącej ponad 360000 Polaków, duszpasterzowało jedynie sześciu duchownych. Pozostały teren diecezji

obsługiwało sześciu dalszych. W Łodzi otwarte były zaledwie trzy kościoły dla katolików narodowości polskiej (Przemienienia Pańskiego, św. Kazimierza i św. Antoniego) oraz jeden dla niemieckich katolików (Podwyższenia Św. Krzyża). W opuszczonych przez duszpasterzy parafiach natychmiast pozamykano świątynie. Z niektórych uczyniono magazyny, jednakże większość nie miała konkretnego przeznaczenia, stąd powoli, ale systematycznie były dewastowane.

Zamknięcie kościołów spowodowało spontaniczne tworzenie przez miejscową ludność polską potajemnych kaplic w domach prywatnych lub stodołach. Ale tego rodzaju akcje miały ograniczony zasięg i uczestniczyły w nich tylko małe kręgi wiernych. Warunki stworzone przez okupanta w końcu 1941 r. w sposób zdecydowany utrudniały prowadzenie jakiegokolwiek pracy apostołskiej, a jeśli nawet istniała, to efemerycznie. Ograniczone możliwości dotarcia duchownych do wiernych pogłębiały i tak zły stan życia religijnego. Były parafie, do których przez długi czas kapłan w ogóle nie mógł dotrzeć, a życie sakramentalne ograniczało się do minimum. Polityka kościelna nazistowskich władz okupacyjnych, polegająca na likwidacji ordynariatu, wprowadzeniu rozdziału narodowościowego na płaszczyźnie wyznaniowej, ograniczeniu sprawowania kultu, a następnie aresztowaniu duchownych, zamknięciu kościołów i organizowaniu łapanek przed otwartymi jeszcze świątyniami doprowadziła do całkowitego rozbicia organizacji kościelnej i zniszczenia w dużym stopniu życia liturgicznego oraz sakramentalnego wiernych.

Po zakończeniu okupacji niemieckiej zdeorganizowany Kościół łódzki należało niemalże od podstaw przywracać do życia. Tak charakterystyczny dla całego społeczeństwa doby powojennej pęd do odbudowy tego, co zostało zniszczone, ogarnął również Kościół lokalny w Łodzi.

* * *

W trakcie spotkania z przedstawicielami łódzkiego Kościoła, jakie miało miejsce 24 kwietnia 1995 r. w Watykanie, Ojciec św. Jan Paweł II nawiązał do tradycji łódzkiego katolicyzmu. Wyliczając w długim szeregu nasze bogactwa duchowe, jak gdyby wskazywał na złoża naturalne, które należy wydobywać wspólnym wysiłkiem. Scharakteryzował krótką historię działań duchowieństwa i wiernych w dwudziestolecie międzywojennym, jak również przypomniał ogromne straty, jakie poniósł Kościół w diecezji łódzkiej podczas okupacji hitlerowskiej. Ale nie zatrzymał się li tylko na martyrologii. Zauważył, że mimo dotkliwych strat osobowych i zniszczeń materialnych, jakich doznał Kościół łódzki podczas II wojny światowej, ów Kościół nadspodziewanie szybko się odrodził.

Okazało się bowiem, że tragedia lat wojny i okupacji oraz ekstremalne warunki, jakie nazizm stworzył obywatelom polskim i wiernym Kościoła katolickiego, wzmocniły jeszcze bardziej związki środowiska łódzkiego z katolicyzmem. Jak to kiedyś



10671-A

stwierdził na łamach „Tygodnika Powszechnego” ordynariusz łódzki, biskup Józef Rozwadowski, z konfrontacji z systemem hitlerowskim, w istocie swej skrajnie zdehumanizowanym i nihilistycznym, Kościół łódzki wyszedł zwycięsko, ponieważ okazał się bodaj jedyną w tej sytuacji zbiorową ostoją człowieczeństwa i elementarnych praw ludzkich. [Był] Kościołem, który w ogniu okrutnej próby nie zawiódł. Tak rzeczywiście było, jednakże lata, jakie nastąpiły po zakończeniu II wojny światowej, okazały się nie mniej ciężkie. Choć oczywiście o bezpośredniej eksterminacji mowy być nie mogło.

W okres przemian ustrojowych, mających się dokonać według modelu wypracowanego w ZSRR, młody łódzki Kościół wkroczył z bagażem nie tak dawnych okrutnych doświadczeń, ale i wypracowanych metod skutecznego oddziaływania duszpasterskiego w środowisku robotniczym. Jednak swój apostołat rozpoczął niezbyt szczęśliwie. Oto pod koniec 1946 r., zupełnie niespodziewanie, biskup Włodzimierz Jasiński zrezygnował z pełnienia obowiązków ordynariusza diecezji łódzkiej. Równie niespodziewanie szybko zareagowała Stolica Apostolska, mianując Jasińskiego arcybiskupem tytularnym i prekonizując na wakującą stolicę biskupią w Łodzi ks. Michała Klepacza. Do dziś nie wytłumaczono jednoznacznie motywów tych działań — tak biskupa Jasińskiego, jak i papieża Piusa XII. Bez względu na okoliczności i sposób załatwienia tej sprawy, Kościół łódzki, rządzony dotychczas przez nieustraszonego bojownika sprawy polskiej i kościelnej, musiał wkroczyć w okres komunistycznej dominacji pod przewodnictwem młodego hierarchy, byłego profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Dwudziestoletnie rządy diecezją łódzką biskupa Michała Klepacza (1947-67) przypadły na okres bierutowskich „błędów i wypaczeń” (w którym władze komunistyczne prowadziły jednoznaczną i wielopłaszczyznową walkę z Kościołem rzymskokatolickim) oraz gomulkowskiej „epoki minionej” (nie wolnej od nieprzemyślnych szykan wobec hierarchów i wiernych). Z kolei ordynariat biskupa Józefa Rozwadowskiego (1968-86) obejmował lata budowy gierkowskiej „drugiej Polski” (kiedy to ze strony władz państwowych budowano pewną atrapę poprawności stosunków na linii władze PRL-Kościół), ale także lata narodzin „Solidarności” i stanu wojennego. Dopiero posługa apostolska ordynariusza Władysława Ziółka, rozpoczęta w 1986 r., może być traktowana jako normalne funkcjonowanie Kościoła w czasach nam współczesnych.

Epoka „non possumus” charakteryzowała się brakiem podstaw prawnych funkcjonowania Kościoła w PRL, jawnymi represjami wobec biskupów i proboszczów, rozłamową postawą „księży patriotów” oraz środowiska katolików świeckich skupionych w Stowarzyszeniu Społecznie Postępowym PAX, likwidacją organizacji kościelnych. Kwestie te nie były obce Kościołowi łódzkiemu, choć skrajnie dramatycznych chwil nie przeżywał. Zresztą nowo mianowany ordynariusz natychmiast po objęciu rządów w diecezji zorganizował w 1948 r. pierwszy synod diecezjalny. Stał się on forum, na którym ordynariusz z podległym mu duchowieństwem pragnał

dostosować formy duszpasterskiego działania do warunków, w jakich przyszło działać Kościołowi w powojennej Polsce. Drugi synod odbył się również w przełomowym dla Polski i Kościoła momencie — po przełomie październikowym w 1956 r. Oba synody Kościoła łódzkiego stały się czynnikiem integrującym dotychczasowe tradycje, doświadczenia i styl pracy duszpasterskiej oraz uporządkowały wiele spraw natury materialnej wspólnot parafialnych.

Natychmiast po zakończeniu okupacji hitlerowskiej i działań wojennych, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniom społecznym, katolickie środowiska zorganizowały na szeroką skalę akcję dobroczynną. Początkowo prowadzono ją w ramach istniejącego „Caritasu” — rozdawano odzież, żywność i lekarstwa. Po zlikwidowaniu przez władze państwowe tej kościelnej instytucji, akcja charytatywna koordynowana była w poszczególnych parafiach. Systematycznie szkolono opiekunki i opiekunów parafialnych, organizowano również dla nich dni skupienia, rekolekcje zamknięte, konferencje.

Po usunięciu religii ze szkół państwowych, ordynariusz Michał Klepacz musiał stworzyć od podstaw sieć punktów katechetycznych, przygotować odpowiednią grupę katechetów, zapewnić im oraz katechizowanym dzieciom odpowiednie warunki pogłębiania wiedzy religijnej. Biorąc pod uwagę, iż po 1945 r. Łódź stała się dużym ośrodkiem akademickim, należało otoczyć opieką duszpasterską młodzież studiującą na wyższych uczelniach. Już w latach 40. przy miejscowym kościele jezuitów funkcjonowało Studium Wyższej Wiedzy Religijnej. Duszpasterstwo akademickie przez bardzo długi czas skupiało się wyłącznie przy tym właśnie ośrodku. Dopiero w połowie lat 60. tę funkcję duszpasterską przejęły inne parafie.

Niewątpliwie dokształcanie wiernych, zwłaszcza ze środowisk robotniczych, było zawsze palącą potrzebą w łódzkim Kościele. Przez bardzo długie lata problem ten był zdecydowanie torpedowany przez władze państwowe. Łódź bowiem zakwalifikowana została jako miasto proletariatu wielkoprzemysłowego i aktywna część klasy robotniczej socjalistycznego systemu. Stąd wszelkiego rodzaju inicjatywy różnych środowisk katolickich były natychmiast utracane. Wystarczy tylko powiedzieć, że na powstanie w naszym mieście Klubu Inteligencji Katolickiej musiano czekać aż do 1988 r. Co wcale nie znaczy, że nie podejmowano prób uaktywnienia łódzkiego środowiska katolickiego. Przy kościele Matki Boskiej Zwycięskiej od początku lat 70. działał Ośrodek Kultury Religijnej, gdzie prowadzono systematyczne wykłady z zakresu problematyki światopoglądowej. W następnej dekadzie modne były Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. Natomiast w stanie wojennym i w latach bezpośrednio po nim następujących niezwykle aktywne stały się Duszpasterstwa Ludzi Pracy, działające przede wszystkim przy parafiach zakonnych. Obecnie braki w tej dziedzinie, ale już na wyższym szczeblu, stara się wypełnić łódzki Instytut Teologiczny (a przy nim trzyletnie Kolegium Teologiczne) oraz filia Akademii Teologii Katolickiej.

Wydarzeniem wyjątkowym w dziejach Kościoła katolickiego w Łodzi była wizyta w naszym mieście Następcy św. Piotra. Kilkunastogodzinne spotkanie z

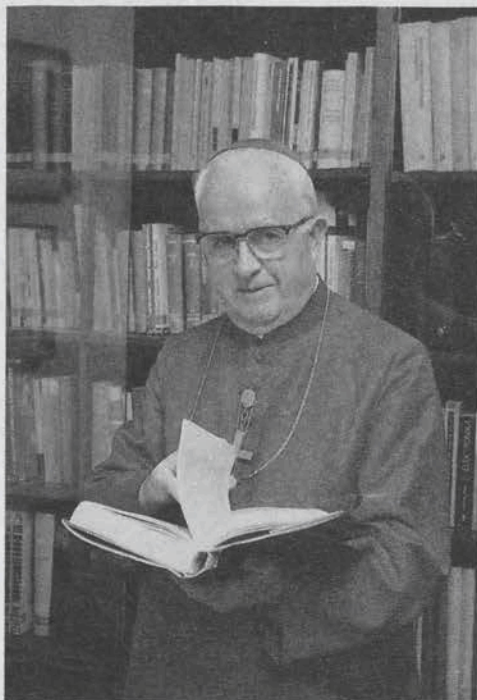
papieżem Janem Pawłem II 13 czerwca 1987 r. wywarło niezatarte wrażenie na całej społeczności łódzkiej. Ojciec św. zwrócił szczególną uwagę na stan moralny łodzian. Systematyczna praca duchownych w konfesjonałach i na ambonach, przy jednoczesnym zaangażowaniu się środowisk świeckich, może zniwelować istniejące niedostatki. Ludziom wyrosłym w systemie negacji tego co duchowe należy ukazać właściwą drogę postępowania, zmusić ich do wyeliminowania ze swego życia kunktatorstwa, serwilizmu, samolubstwa i daleko idącej materializacji życia. Wzmóc należy potrzebę chrześcijańskiego altruizmu, uczciwości, duchowej solidarności, wolności osobistego „ja”. Nieodłączne w tym względzie jest pielęgnowanie życia sakramentalnego, jego stałego pogłębiania i wzrostu. Ojciec św. Jan Paweł II nazwał to działanie stałą katechizacją, widzeniem spraw inaczej — nie tylko w materialistycznej perspektywie. Trzeba mieć pełną świadomość potrzeby tego apostolatu, konieczności zmiany własnego „światopoglądu”, ważności oddziaływania wszystkich na wszystkich, w imię tworzenia lepszego świata zgodnie z zasadami ewangelicznymi.

Zmiana ustroju państwa (jaka nastąpiła po 1989 r.), jak również wyniesienie Łodzi do rangi stolicy arcybiskupstwa bezpośrednio podległego Stolicy Świętej (na mocy bulli papieża Jana Pawła II *Totus Tuus Poloniae Populus* z 25 marca 1992 r.) stworzyła dla Kościoła polskiego (w tym także Kościoła łódzkiego) warunki właściwej, niczym nie ograniczonej realizacji tego zadania.

*Żył dla Tego,
który za nas umarł i zmartwychwstał...*

ks. biskup Jan Wawrzyniec Kulik

27 października 1995 r. zmarł w Łodzi ks. biskup Jan Wawrzyniec Kulik. Niewiele osób wiedziało o jego chorobie. On sam nigdy nie wspominał o pogarszającym się stanie zdrowia, wypełniając do końca niezwykle sumiennie i gorliwie swoje obowiązki.



Biskup **Jan Wawrzyniec Kulik** urodził się 24 czerwca 1918 r. w Milejowie koło Piotrkowa Trybunalskiego. Wyświęcony na kapłana 3 czerwca 1945 r. w katedrze łódzkiej. Po kilku latach pracy w duszpasterstwie parafialnym podjął studia specjalistyczne w zakresie prawa kanonicznego, które zakończył doktoratem w 1955 r. Od dnia sakry biskupiej, którą otrzymał z rąk kard. Stefana Wyszyńskiego 4 października 1959 r., posługiwanie biskupa Jana jest na stałe związane z naszą diecezją. Współodpowiedzialność za Kościół łódzki, pełnione funkcje, kierowanie diecezją po śmierci biskupa Michała Klepacza (1967 r.) — wszystko to wypełniało bez reszty jego posługiwanie.

W niedzielę 8 października odbyły się w archikatedrze łódzkiej uroczystości jubileuszowe 50-lecia kapłaństwa biskupa Jana. Podczas Mszy św., celebrowanej

przez Dostojnego Jubilata, pasterz Kościoła łódzkiego abp Władysław Ziółek powiedział m.in.:

Z księdzem biskupem Janem można bez żadnych obaw współpracować i współpracuje się z nim wyśmienicie. A współpraca to jedna z wielkich bolączek w Polsce. W naszym natomiast przypadku współpraca jest radością. Publicznie stwierdzam tę prawdę i daję świadectwo z całą powagą, na jaką godzi się nam zdobyć w tym liturgicznym, sakralnym wymiarze obecnych obchodów. Dzięki temu szereg zadań, jakich musieliśmy się podjąć w naszym zespole, mogło się szczęśliwie urzeczywistnić bądź też weszły w fazę realizowania. Były rozliczne trudności materialne, administracyjne, wiele przeszkód rzucono nam pod nogi, głównie w latach przed 1989 r., ale płynęły one z zewnątrz. Tym bardziej praca z księdzem biskupem Janem urastała do współpracy radosnej.

Ta „radosna współpraca” wytykała zapewne z chrześcijańskiego optymizmu i zaufania Bogu we wszystkich okolicznościach życiowych. Biskup Jan chętnie dzielił się radością z innymi. Zawsze pogodny, uśmiechnięty, bezpośredni. Jego dowcipne sformułowania i powiedzenia pojawiały się nie tylko w prywatnych wypowiedziach, ale także w oficjalnych wystąpieniach. Odwiedzając parafie chętnie spotykał się z ludźmi chorymi, starszymi, interesował się stanem budownictwa kościelnego i sprawami bytowymi duchowieństwa. Doskonale znał problemy społeczne i duszpasterskie środowiska łódzkiego.

* * *

Niespełna trzy tygodnie po jubileuszowych uroczystościach wierni Kościoła łódzkiego pod przewodnictwem swoich pasterzy, w obecności przedstawicieli Episkopatu Polski, władz miejskich, delegacji Kościołów chrześcijańskich, zgromadzili się, by pożegnać Biskupa Jana. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się 30 października Mszą świętą żałobną w kościele Najświętszego Serca Jezusowego na Julianowie. Przez 25 lat biskup Jan był proboszczem tej parafii. Jego trosce o dobro duchowe wiernych towarzyszyły zawsze starania o piękno domu Bożego. Wierni julianowskiej parafii szacunkiem otaczali swojego Proboszcza. Był ich nauczycielem, spowiednikiem, dzielił się z nimi swoją wiarą i życiowym doświadczeniem. Przez ponad ćwierć wieku wskazywał im drogę do Chrystusa i uczył kochać Kościół. W godzinach wieczornych ciało biskupa Jana przewieziono do bazyliki archikatedralnej, gdzie zostały odprawione żałobne nieszpory.

31 października od wczesnych godzin rannych przy trumnie gromadzili się wierni, by trwać na modlitwie i serdecznie pożegnać Zmarłego. O godzinie 10 rozpoczęła się żałobna liturgia sprawowana przez 32 biskupów i ponad 200 kapłanów, której przewodniczył kard. **Henryk Gulbinowicz** — arcybiskup metropolita wrocławski. Pasterz Kościoła łódzkiego w wygłoszonej homilii ukazał drogę życiową Zmarłego, jego posługę kapłańską i biskupią:

Dziś, gdy tuż przed uroczystością Wszystkich Świętych, przypadło nam odprowadzić księdza biskupa na cmentarz, by tam go już pozostawić do dnia powszechnego zmartwychwstania na końcu czasów, łódzka rodzina diecezjalna jest w smutku. Mamy wciąż do ułożenia tyle skomplikowanych spraw, dla zachowania pokoju i miłości w diecezjalnej rodzinie. Żegnamy Cię, dobry Księżu Biskupie, wypróbowany Przyjacielu. Odszedłeś od nas w chwili, gdy trwa jeszcze Jubileuszowy Rok Kościoła łódzkiego i mozaikowy Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, podarowany nam przez Ojca Świętego, nawiedza nasze parafie. Dziękujemy Ci, że nas wspierałeś. Osobiście dziękuję Ci, że byłeś dla mnie oparciem we wszystkich skomplikowanych chwilach. Teraz wspieraj nas modlitwą przed Obliczem Ojca, którego możesz już, jak ufamy, oglądać „twarzą w twarz”.

* * *

Po zakończeniu Mszy świętej kanclerz Kurii Arcybiskupiej ks. prał. Andrzej Dąbrowski odczytał depesze kondolencyjne. Ze szczególną wdzięcznością przyjęto słowa **Jana Pawła II**:

„«Błogosławieni, którzy w Panu umierają». Biskup Senior Jan Kulik odszedł do Domu Ojca po życiowej wędrówce. Odszedł w 50. roku kapłaństwa i 36. roku posługi biskupiej w Kościele łódzkim. Sługa dobry, świadek swego Mistrza-Chrystusa, zwiastun wiary, którą głosił słowem i swoim kapłaństwem i biskupim życiem. Miłował Kościół, któremu poświęcił swoje siły i zdolności. Brał udział w pracach II Soboru Watykańskiego. Pozostanie w żywej pamięci w sercach Ludu Bożego Archidiecezji łódzkiej. Żył dla Tego, który za nas umarł i zmartwychwstał. I oczekuje teraz na wieczne z Nim przebywanie w chwale Ojca. Wraz z Kościołem łódzkim łączę się w modlitwie za spokój duszy śp. Biskupa Jana i z serca błogosławię tym, których ta śmierć pogrążyła w żałobie, oraz wszystkim uczestnikom pogrzebowych obrzędów”.

Ciało Biskupa Jana zostało złożone w grobie rodzinnym na Starym Cmentarzu w Łodzi, przy ul. Ogrodowej.

ks. Marek Stępiak

Z inicjatywy rektora prof. Tadeusza Kotarbińskiego na sztandarze naszej uczelni umieszczone zostały słowa: „Prawda i Wolność”. Pod koniec lat 40. coraz wyraźniej czuło się ograniczenie wolności i coraz mniej szans pozostawiano prawdzie.

RYSZARD KLESZCZ

Ija Lazari-Pawłowska

Życie filozoficzne w Łodzi powojennej

1945—1956

(dokończenie)

Życie filozoficzne Łodzi — choć niezbyt bogate — przybierało w latach 30. interesujące kształty. Okres II wojny światowej i sytuacja istniejąca w mieście spowodowały jego „zamrożenie”. Zakończenie wojny oznaczało istotną zmianę sytuacji Łodzi na ówczesnej mapie naukowej i intelektualnej kraju. Miasto nasze pełniło, jak wiadomo, przez pewien czas funkcję zastępczej stolicy państwa. Nowe władze Polski lubelskiej jeszcze w Lublinie podjęły decyzję o utworzeniu w Łodzi wyższej uczelni¹. Głównym organizatorem był profesor Teodor Vieweger (1885-1945), przedwojenny rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej. W jego zamiarach łódzka uczelnia miała być kontynuacją warszawskiej wszechnicy. Później plany te uległy zmianie, choć dawni profesorowie WWP odgrywali w pierwszych latach istnienia Uniwersytetu Łódzkiego znaczną rolę. Dekret o utworzeniu UŁ wydano oficjalnie 24 maja 1945 r. Stało się to w dwa dni po tragicznej śmierci prof. T. Viewegera. W tej sytuacji władze powołały na stanowisko rektora profesora **Tadeusza Kotarbińskiego**. Pełnił on tę funkcję z nominacji w okresie 1945-47 oraz z wyboru w okresie 1947-49. Fakt, że rektorem został filozof — uczony o dużym dorobku i autorytecie — nie pozostał bez wpływu tak na kształt uczelni, jak i na status filozofii w jej ramach.

¹ Kształt uczelni, która miała powstać w Łodzi, był przedmiotem dyskusji. W jednej z wersji miała to być uczelnia akademicka obejmująca kierunki mieszczące się w ramach tak uniwersytetu, jak i politechniki. Potem zadecydowano o powołaniu dwu oddzielnych uczelni. Por.: B. Baranowski, K. Baranowski, *Pierwsze lata Uniwersytetu Łódzkiego (1945-1949)*, Łódź 1985, roz. II.

1 Rektor Kotarbiński był zwolennikiem liberalnej koncepcji uniwersytetu, opowiadając się jednocześnie za tradycyjną jego strukturą z włączeniem medycyny. Był też, co oczywiste, zwolennikiem swobody badań i dyskusji naukowych. Jako rektor dawał wielokrotnie wyraz trosce o swobody akademickie, starał się bronić, w miarę możliwości, młodzież przed represjami o charakterze politycznym. W praktyce realizował postulaty tolerancji w życiu społeczności akademickiej².

Nowo powołany Uniwersytet Łódzki liczyć miał początkowo trzy wydziały: Humanistyczny, Matematyczno-Przyrodniczy oraz Prawno-Ekonomiczny, potem zaś dołączono jeszcze trzy wydziały medyczne. Filozofia na Uniwersytecie koncentrowała się na Wydziale Humanistycznym. Tutaj powołane zostały następujące katedry:

- Historii Filozofii w Polsce z **Wiktorem Wąsikiem**;
- Teorii Poznania, Logiki i Metodologii z **Janiną Kamińską** (późniejsza żona T. Kotarbińskiego używająca nazwiska **Kamińska-Kotarbińska**);
- Ontologii z **Benedyktem Bornsteinem**;
- Nauki o Moralności z **Marią Ossowską**.

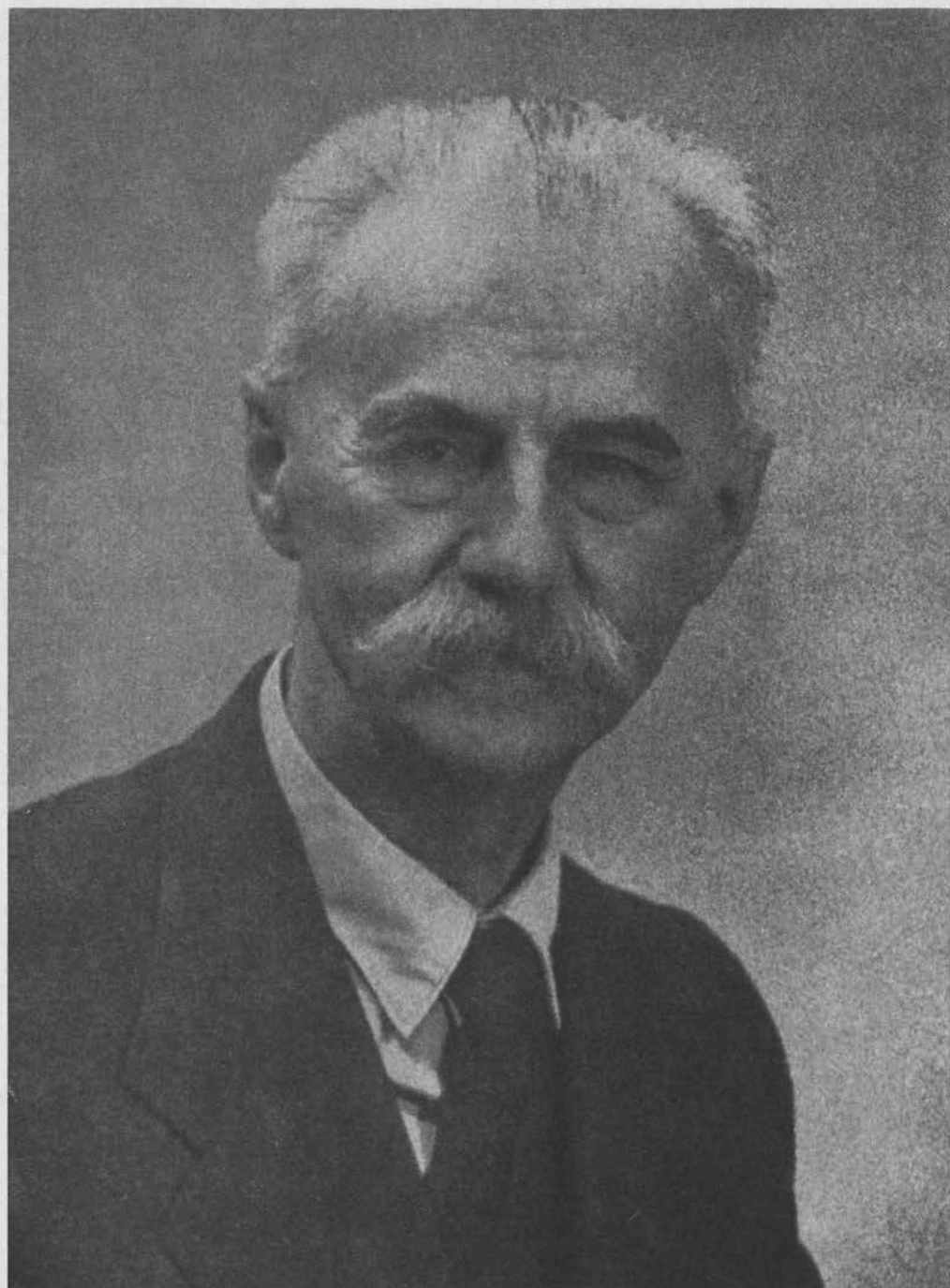
Nadto powołano Katedrę Estetyki z **Mieczysławem Wallisem**, dwie katedry psychologiczne oraz dwie pedagogiczne³. Kierownikiem jednej z tych ostatnich był **Sergiusz Hessen**, przedwojenny profesor WWP (ściśle biorąc — ze względu na brak obywatelstwa polskiego — zastępca profesora). Na Wydziale Humanistycznym pracowali też socjologowie: **Józef Chałasiński**, **Stanisław Ossowski** i **Jan Szczepański**⁴. Z nich S. Ossowski był uczonym o formacji filozoficznej, zajmującym się początkowo semantyką (w szerokim znaczeniu tego słowa, odpowiadającym dzisiejszej semiotyce) oraz estetyką.

Filozofów, czy ludzi o głębokich filozoficznych zainteresowaniach, nie brakło też na innych wydziałach. Na Wydziale Prawno-Ekonomicznym byli to prof. **Aleksander Steinberg-Rudziński** (teoria i filozofia prawa) oraz prof. **Adam Schaff** (współczesne doktryny ekonomiczne). Ten pierwszy, dojeżdżający z Krakowa, wkrótce wyjechał za granicę. Prof. A. Schaff zaś był wówczas, urzędowym niejako, przedstawicielem materializmu dialektycznego i historycznego. Warto też wspomnieć, że na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym także utworzono dwie katedry filozoficzne. Pierwszą z nich — Katedrą Teorii Nauk Dedukcyjnych — kierował dojeź-

² Warto też przypomnieć, iż osobiste ateistyczne i materialistyczne poglądy Kotarbińskiego nie stanowiły dlań przeszkody w zapraszaniu przezeń na posiedzenia Senatu UŁ cenionego w Łodzi duszpastorza akademickiego jezuita o. T. Rostworowskiego.

³ W późniejszym okresie ilość katedr z zakresu nauk psychologicznych i pedagogicznych uległa powiększeniu.

⁴ Socjologia miała mocną reprezentację na ówczesnym Uniwersytecie Łódzkim. Instytut Socjologii UŁ obejmował Katedrę Socjologii z J. Chałasińskim, Katedrę Teorii Kultury ze S. Ossowskim (po jego odejściu kierował nią Jan Szczepański) oraz Katedrę Etnologii z Józefem Obrębskim, którego zastąpiła potem Nina Assorodobraj.

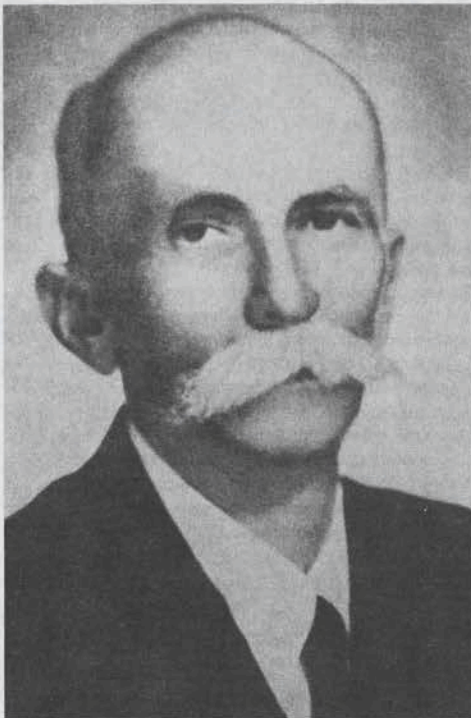


Tadeusz Kotarbiński (fot. Jan Styczyński)

dżający z Poznania najwyższej klasy uczonej, prof. **Kazimierz Ajdukiewicz**, drugą zaś — Teorii Nauk Indukcyjnych — dojeżdżający tym razem z Wrocławia doc. **Henryk Mehlberg**. Obaj ci wybitni uczeni rzadko bywali w Łodzi, sprawując swe funkcje przez niespełna rok.

Ten przegląd kadry profesorskiej pozwala stwierdzić, że spośród profesorów, reprezentujących na UE nauki filozoficzne *sensu stricto*, trzech było przedwojennymi profesorami Wolnej Wszechnicy Polskiej (Bornstein, Hessen, Wąsik). Wszyscy zaś profesorowie dyscyplin filozoficznych byli poważnymi uczonymi, często wybitnymi, o wielkim dorobku naukowym i autorytecie wykraczającym niekiedy poza świat samej nauki.

2 Jeśli chodzi o ich orientację filozoficzną, to wielu z nich można wliczyć w obręb szkoły lwowsko-warszawskiej. Należeli doń rektor T. Kotarbiński, uczeń i doktorant twórcy szkoły K. Twardowskiego (doktorat 1912), J. Kamińska-Kotarbińska — uczennica T. Kotarbińskiego, M. i S. Ossowsky oraz M. Wallis. Wszyscy oni byli (poza Kotarbińskim) absolwentami Uniwersytetu Warszawskiego, w dużej mierze uczniami i wychowankami T. Kotarbińskiego. Później profesorem psychologii został jeszcze jeden uczonej, którego zaliczyć można do wspomnianej szkoły — profesor



Benedykt Borstein

Eugeniusz Geblewicz. Ich zainteresowania obejmowały rozmaite działy filozofii, choć M. Wallis, koncentrujący się na problematyce estetycznej, nie może być uważany za typowego jej reprezentanta. Problematyka badawcza tej szkoły skupiała się raczej na zagadnieniach metodologiczno-logicznych, epistemologicznych, w jakiejś także mierze ontologicznych. Ważne miejsce zajmowała także etyka, do której, wzorem Twardowskiego, przywiązywano duże znaczenie. Filozofów należących do tejże szkoły łączyła nie tyle treść ich dociekań i wspólnota rozstrzygnięć, ile raczej sposób filozofowania. Cechowało ich dążenie do ścisłości i precyzji, zarówno przy stawianiu pytań, jak i formułowaniu odpowiedzi. Łączyło się to często z wykorzystywaniem narzędzi dostarczanych przez współczesną logikę. Ogromną wagę przykładano do uzasadnienia głoszonych tez. Szkoła nie

wykluczała z góry żadnej problematyki (jak to czynił np. neopozytywizm „Koła wie-
deńskiego”), ale cechująca ją ostrożność i niechęć do pewnego typu spekulacji nada-
wały jej charakter szkoły filozoficznej w jakiejś mierze minimalistycznej.

Pozostali profesorowie reprezentowali odmienne podejścia metodologiczne
czy metafizyczne. B. Bornsteina, mimo że był doktorantem K. Twardowskiego
(1907), nie można zaliczać do wspomnianej szkoły. Był to uczony o zainteresowa-
niach spekulatywnych, koncentrujący się wówczas na badaniach z zakresu ontolo-
gii, które znalazły swój wyraz w opublikowanej pod koniec życia pracy *Teoria
absolutu*⁵. Praca ta pozwala na dopatrywanie się związków między dociekaniem
Bornsteina a myślą Hoene-Wrońskiego. Teoria absolutu Bornsteina jest próbą bu-
dowy całkowicie racjonalnego systemu metafizycznego. Poddaje się w nim tre-
ściowej interpretacji symbolikę i formuły logiki formalnej, szuka ich odwzorowa-
nia geometrycznego, a następnie, w oparciu o to, buduje teorię bytu całego. Praca
ta stała się przedmiotem ciekawych, a zarazem zdecydowanie polemicznych uwag
T. Kotarbińskiego. Wskazywał on na fakt, że przedsięwzięta przez Bornsteina próba
geometrycznego odwzorowania logiki musi być uznana za nieudaną. Jeszcze kry-
tyczniej oceniona została przez Kotarbińskiego próba wykrycia, przy pomocy tak
odwzorowanej logiki, struktury i budowy rzeczywistości. Swą recenzję z tej książ-
ki zakończył Kotarbiński uwagą, że wydanie tej pracy było wyrazem tolerancji
wobec kogoś, „kto zacnym życiem zasłużył sobie na pełnię osobistego szacunku, a
przez cały czas... dążył do wykrywania prawd najważniejszych”. Zarazem jednak
dodawał, iż: „Nie odebrano sobie jednak prawa sprzeciwu przeciwko założeniom,
metodom i wynikom dzieła”⁶.

Innym wybitnym uczonym reprezentującym oryginalne stanowisko był Sergiusz
Hessen (1887-1950). Zajmował się on przede wszystkim pedagogiką traktowaną prze-
zeń jako stosowana filozofia, a także filozofią prawa i historią idei. Jego koncepcja
„socjalizmu prawnego” była próbą pogodzenia socjalizmu z liberalizmem. Zaś jego
poglądy filozoficzne cechowało: pluralistyczne widzenie rzeczywistości (wyróżniał
warstwy: biologiczną, społeczną, kultury duchowej oraz warstwę bytu błogosławio-
nego), obiektywizm aksjologiczny oraz personalistyczne nastawienie. Celem wy-
chowania winno być wprowadzanie w obręb ducha obiektywnego, w służbę warto-
ściom. Widać tutaj wyraźnie związki ze szkołami neokantyzmu (w wersji tak badeń-
skiej, jak i marburskiej) z jednej strony, z drugiej zaś odwoływanie się do tradycji
myśli W. Sołowjowa⁷. S. Hessen cieszył się wielkim szacunkiem i uznaniem także ze
strony tych, którzy nie podzielali jego poglądów. O nim to powiedział na spotkaniu

⁵ Por.: *Teoria absolutu. Metafizyka jako nauka ścisła*. Łódzkie Towarzystwo Naukowe. Wydział I,
nr 2, Łódź, 1948; stron 131.

⁶ Recenzja, o której mowa, opublikowana została w kwartalniku „Ruch Filozoficzny”, Tom XVII
(1949-1950), s. 13-16.

⁷ Filozofia Hessena ewoluowała przy tym, co on sam podkreślał, w stronę platonizmu.

poświęconym jego pamięci T. Kotarbiński: „Opuścił nas człowiek wyjątkowo szlachetny i mędrzec, mędrzec niewątpliwy”⁸.

Historycy filozofii, działający wówczas w łódzkim środowisku: prof. W. Wąsik i dr **Stanisław Czajkowski** — znawca nowożytnej filozofii francuskiej, nie dają się zaliczyć do jakiejś wyraźnej szkoły filozoficznej. Wnieśli natomiast wartościowy wkład w badania nad dziejami myśli filozoficznej polskiej i francuskiej.

3 Problematyka filozoficzna nie była obca także środowiskom pozauniwersyteckim. Znajdowała ona swe miejsce wśród inteligencji katolickiej (w tym duchowieństwa), w życiu rozmaitego typu stowarzyszeń, aktywności przedstawicieli świata kultury.

W ówczesnej społeczności katolickiej naszego miasta na pierwszy plan wysuwa się postać ks. biskupa **Michała Klepacza** (1893-1967), przedwojennego profesora Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Biskup M. Klepacz, absolwent Akademii Duchownej w Petersburgu oraz KUL-u, znaczną część swych zainteresowań badawczych kierował w stronę filozofii. Sam pozostając pod wpływem ks. I. Radziszewskiego, interesował się żywo historią filozofii (zwłaszcza w Polsce) oraz problematyką historiozofii. Posiadał także wszechstronną erudycję w zakresie innych dyscyplin filozoficznych. Jego aktywność w środowisku łódzkim wyrażała się oczywiście głównie na płaszczyźnie działalności duszpasterskiej, choć jego dorobek filozoficzny — w części nie opublikowany — wart jest zainteresowania⁹. Jeśli chodzi o środowisko katolickie, należy wspomnieć także o działalności bardziej popularnej, ale prowadzonej systematycznie także w domenie filozofii w ramach organizowanego przez oo. jezuitów Kursu Wyższej Wiedzy Religijnej. Przedmioty filozoficzne wykładane były w jego ramach głównie przez o. **Jana Piwińskiego**.

Mówiąc o środowisku ówczesnej inteligencji łódzkiej wspomnieć należy postać **Kazimierza Bleszyńskiego**, filozofa i tłumacza literatury filozoficznej (m.in. Bergsona), zamieszkałego po wojnie w Łodzi. K. Bleszyński utracił w Warszawie podczas wojny swój dorobek filozoficzny, a po wojnie ograniczył filozoficzną aktywność¹⁰.

4 Przypatrując się ówczesnemu środowisku filozoficznemu, zwłaszcza akademickiemu, dostrzec łatwo jego zróżnicowanie, jeśli chodzi o poglądy w kwestiach społecznych, ideowych i politycznych. Głoszona wówczas teza o „czerwonym uniwersytecie”, choć można znaleźć pewne racje na jej rzecz, nie oddaje całej złożoności proble-

⁸ Wspomnienie o Sergiuszu Hessenie, wygłoszone przez T. Kotarbińskiego na posiedzeniu Wydziału I Łódzkiego Towarzystwa Naukowego w dniu 9 XII 1950.

⁹ Biskup M. Klepacz był m.in. autorem pracy poświęconej Idei Boga w historiozofii Cieszkowskiego. Na temat jego dorobku w zakresie filozofii por.: Sz. W. Ślaga, *Myśl filozoficzna bpa Michała Klepacza*, „Studia Philosophiae Christianae”, 1993, nr 2, s. 7-26.

¹⁰ Informacje na ten temat znajdują się w liście K. Bleszyńskiego w archiwum Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Filozoficznego.

mu¹¹. Pamiętać należy, że początkowo nie było prawie w ogóle uczonych afirmujących aktywnie i w pełni istniejącą rzeczywistość, co wyrażałoby się np. członkostwem w PPR. Zainteresowanie marksizmem jako metodą, co jest łatwo zauważalne w przypadku łódzkich socjologów tamtej doby, nie oznaczało na ogół pełnej afirmacji teorii i praktyki ówczesnego systemu. W domenie filozofii prof. A. Schaff, zajmujący zresztą katedrę nie filozoficzną, lecz istniejącą na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Katedrę Współczesnych Doktryn Ekonomicznych, należał do wyjątków. Najbardziej typowym dla profesury związanej z filozofią wydaje się stanowisko, które ogólnie, choć nie do końca precyzyjnie, określić można mianem liberalno-demokratycznego. A. Walicki, obecny profesor Uniwersytetu Notre Dame (USA), w domu którego bywali często ówcześni przedstawiciele łódzkiej profesury, tak charakteryzuje dominujące w tej grupie poglądy: „... w domu rodzinnym w Łodzi bywali wybitni przedstawiciele tej inteligencji, na ogół związani ze środowiskiem przedwojennej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Ci ludzie, raczej o lewicowych czy — jak to się wtedy mówiło — postępowych przekonaniach, gotowi byli zaakceptować demokratyczny socjalizm i głębokie reformy społeczne, natomiast ich zasadniczy sprzeciw budziły metody sprawowania władzy, indoktrynacja ideologiczna, drastyczne ograniczenia w zakresie wolności słowa, badań naukowych, itp. Mam tu na myśli takich ludzi, jak profesorowie Kotarbiński, Ossowski, Aleksander Kamiński i Mieczysław Wallis, a także Hessen, który sytuował się w tym gronie najbardziej na prawo. Mój ojciec (wybitny historyk sztuki Michał Walicki, przyp. R. K.) reprezentował w tym gronie środowisko nieco inne, jednoznacznie antykomunistyczne. Ale i on daleki był od postawy nieprzejednanego bojkotu nowej władzy”¹². To wspólne nastawienie, powiedzmy liberalno-demokratyczne, łączyło się z odrębnościami w wielu kwestiach. Gdy zaś chodzi o poglądy młodzieży studiującej, to znaleźć tam można reprezentantów rozmaitych orientacji ideowych. Zwłaszcza w pierwszym okresie, do 1948, postawy te ujawniały się w sposób bezpośredni i wyraźny. Wśród studentów filozofii (i kierunków pokrewnych) spotykamy ludzi orientacji, ogólnie mówiąc, liberalnej, katolików, socjalistów oraz tych, którzy wiazali się z opcją marksistowską w wersji komunistycznej.

5 Ówczesny system studiów był zbliżony do przedwojennego. Obejmował kilka obowiązkowych egzaminów rozkładanych na parę lat. Życie filozoficzne natomiast, poza zajęciami uniwersyteckimi, było bardzo bogate. Ówczesny student, pracownik uczelni czy po prostu inteligent zainteresowany filozofią miał do wyboru rozmaite stowarzyszenia bądź instytucje organizujące odczyty. W Łodzi co

¹¹ Rzetelne rozpatrzenie tej kwestii wymagałoby oczywiście obszernych badań, skoro wiadomo, że pewne postawy i formy zaangażowania nie mogły się wówczas ujawniać w płaszczyźnie oficjalnej. Kwestia ta jest z pewnością bardziej skomplikowana niż to przedstawia się w istniejących opracowaniach dotyczących historii UE w tym okresie.

¹² Por.: *W krajobrazie polskim trudno mi się umiejscowić*; rozmowa z A. Walickim, „Zdanie”, 1995, nr 2, s. 4.

prawda nie było wówczas odrębnego, lokalnego towarzystwa filozoficznego. Jednakże w okresie tym, zwłaszcza dotyczy to lat 1946-47, większość posiedzeń Warszawskiego Towarzystwa Filozoficznego odbywała się w Łodzi. Znaczna część członków WTF przebywała bezpośrednio po wojnie w naszym mieście. Pierwsze po II wojnie światowej posiedzenie tegoż Towarzystwa miało miejsce 18 grudnia 1946 r. Odczyt zatytułowany *O pojęciu metody* wygłosił rektor UŁ T. Kotarbiński. Na późniejszych łódzkich posiedzeniach WTW referentami byli m.in.: K. Ajdukiewicz, B. Bornstein, **S. Jaśkowski**, J. Kotarbińska, **J. Kreczmar**, M. Ossowska, M. Wallis. Filozofowie i zainteresowani filozofią spotykali się także w ramach Powszechnych Odczytów Uniwersyteckich, Klubu Profesorów UŁ, Łódzkiego Towarzystwa Naukowego czy też Klubu Inteligencji. I tam wśród referentów spotykamy filozofów czy też filozofujących uczonych. Poza wyżej wymienionymi byli m.in.: **Cz. Białobrzeski**, **T. Czeżowski**, **A. Dryjski**, S. Hessen. W łódzkim środowisku gościli też, prezentując referaty, uczeni zachodnioeuropejscy jak **A. Gregoire** czy **G. Hostelet**. Ważną rolę odgrywały też posiedzenia Koła Studentów Filozofii UŁ, podczas których omawiano rozmaite zagadnienia filozoficzne. Referaty wygłaszali studenci, zaś w posiedzeniach uczestniczyli także profesorowie. Wśród ówczesnych studentów nie brakowało osób potem znanych i zasłużonych. Wymieńmy w tym miejscu wybitnych uczonych, późniejszych profesorów filozofii Uniwersytetu Warszawskiego: **L. Kołakowskiego**, **M. Przełęckiego**, **K. Szaniawskiego**, a także związanych później ze środowiskiem filozoficznym UŁ uczonych: **Iję Lazari** (później **Ija Lazari-Pawłowska**), **T. Pawłowskiego**, **J. Gregorowicza** czy **T. Gerstenkorna**, obecnie profesora matematyki UŁ.



Sergiusz Hessen

W tym zróżnicowanym środowisku, złożonym z ciekawych indywidualności, nie mogło zabraknąć gorących dyskusji i polemik. Wspominałem o krytyce sformułowanej przez Kotarbińskiego wobec pracy Bornsteina. Łatwo też dostrzec konfliktowość podejścia Hesse na i filozofów o nastawieniu empiryczno-scjentyistycznym. Zarazem jednak uczonych tych łączył szacunek wobec odmiennych poglądów, o ile cechowały się rzetelnością i poszukiwaniem prawdy. Stąd nie było niczym szokującym utrzymywanie kontaktów (także towarzyskich) między ludźmi o odmiennych

poglądach. Wiadomo, że kontakty takie utrzymywali np. prof. T. Kotarbiński z biskupem M. Klepaczem. To nastawienie filozofów, kierowane chęcią zrozumienia drugiego człowieka, było też doświadczane przez ówczesnych studentów¹³.

6 Aktywność badawcza i nauczycielska uczonych związanych ze środowiskiem łódzkim wyrażała się także poprzez publikację niezbędnych wówczas podręczników naukowych, jak i poprzez publikowanie nowych monografii naukowych. Do tej pierwszej kategorii należał znany podręcznik T. Kotarbińskiego *Kurs logiki dla prawników*, opublikowany po raz pierwszy w 1947 r. Do kategorii monografii naukowych, wymagających wzmianki, należy opublikowana także w 1947 r. książka M. Ossowskiej *Podstawy nauki o moralności*, będąca efektem wieloletniej pracy. Publikacje łódzkich filozofów znaleźć można na łamach ogólnopolskich periodyków: „Przeгляду Filozoficznego”, „Kwartalnika Filozoficznego” czy też „Ruchu Filozoficznego”. Publikowali tam m.in. J. i T. Kotarbińscy, M. Ossowska, S. Czajkowski. Dla charakterystyki środowiska łódzkiego tej doby niezbędne jest krótkie choćby opisanie ukazującego się w Łodzi (w okresie 1946-48) pisma „Myśl Współczesna”. Periodyk ten, poświęcony różnym gałęziom wiedzy, otwarty był także na zagadnienia filozoficzne. W intencji władz pismo to miało grupować uczonych bliskich nowej rzeczywistości, choć początkowo bez wyraźnego stempla marksistowskiego, a w każdym razie partyjnego¹⁴. W skład redakcji początkowo wchodził m.in. T. Kotarbiński, J. Chałasiński, A. Schaff. Już w pierwszym numerze pojawił się artykuł T. Kotarbińskiego *Zasady dobrej roboty*. Potem spotykamy na tychże łamach artykuły Ajdukiewicza, Hessena, J. Kotarbińskiej, M. i S. Ossowskich czy też Cz. Znamierowskiego, by ograniczyć się do tekstów autorstwa filozofów. „Myśl Współczesna” dopuszczała teksty krytyczne wobec marksizmu (artykuły S. Ossowskiego), choć — jak się wydaje — unikała tekstów wyraźnie antymarksistowskich, które pochodziłyby ze środowisk kwalifikowanych jako wrogie¹⁵. Tekstom uznawanym za niezgodne

¹³ Wspomina to K. Szaniawski, którego doświadczenie osobiste jest tutaj bardzo wymowne: „Zachwycające u wielkich uczonych, jak oni traktują człowieka! Dam inny przykład. Prof. Sergiusz Hessen, znakomity teoretyk pedagogiki i historyk pedagogiki, kolosalnej erudycji człowiek. Kiedy poznałem go w Łodzi, był już dość sędziwy. Otóż zainteresowanie, które poświęcał moim ideom, które były, pożałujcie Boże, no, takim niesłychanie agresywnym pozytywizmem, takim najczystszej wody, dyskwalifikującym absolutnie wszystko, co Hessen uważał za wartościowe w myśli ludzkiej. I ja mu z wyższością ogromną te wszystkie prawdy objawiałem, a on ożywał się i lubił ze mną te rozmowy”. Por.: *W gaju Akademosa*. Z profesorem Klemensem Szaniawskim rozmawiają Ewa Berberyusz i Stanisław Frybes, „Tygodnik Powszechny”, nr 43, 1981, s. 5.

¹⁴ O ile „Myśl Współczesna” była, przynajmniej początkowo, pismem raczej statecznym, to inny charakter miała ukazująca się w Łodzi „Kuźnica”, bojowy organ „walki o nowy porządek świata”. Na łamach tego tygodnika można także napotkać teksty filozoficzne. Pisane są one oczywiście w innej nieco poetyce niż to przystoi miesięcznikowi, choćby nawet postępowemu.

¹⁵ Por.: E. Sądziński, *Kontrowersje filozoficzne na łamach „Myśli Współczesnej”*, „Studia Filozoficzne”, 1983, nr 7, s. 145-168.

z marksizmem towarzyszyły — niejako dla równowagi — teksty marksistowskie, autorów krajowych (W. Krajewski, A. Schaff i inni) lub zagranicznych (np. M. Cornforth). Pismo stopniowo ewoluowało, zamieszczając coraz więcej tekstów marksistowskich, w wersji już wyraźnie stalinowskiej. Dotyczy to zwłaszcza okresu po przeniesieniu do Warszawy, gdzie pismo istniało jeszcze kilka lat, do roku 1951.

7 Schyłek filozofii w łódzkim uniwersytecie wiązać należy, co dla wszystkich jest oczywiste, ze zmianami politycznymi. Począwszy od 1948 r. władze zmierzały do ideologicznej przebudowy nauki. Wskazują na to wyraźnie wspomnienia ówczesnej studentki Iji Lazari, późniejszej profesor UŁ. Ukazują one jednocześnie fakt, iż ofensywa ideologiczna spotykała się z reakcją obronną ze strony profesorów filozofii. Oto słowa oddające realia tamtej epoki:

„Z inicjatywy rektora prof. Tadeusza Kotarbińskiego, na sztandarze naszej uczelni umieszczone zostały słowa: «Prawda» i «Wolność». W pierwszych powojennych latach było jeszcze względnie liberalnie. Pod koniec lat 40. coraz wyraźniej czuło się ograniczenie wolności i coraz mniej szans pozostawiano prawdzie. Marksizm stawał się oficjalnie lansowaną doktryną, a filozoficznym tekstom Lenina i Stalina zaczęto siłą nakazu przypisywać cechy genialności. I wówczas to właśnie — w 1948 lub 1949 roku — prof. Kotarbińska obrała jako temat swojego seminarium książkę Lenina *Materializm a empiriokrytycyzm*. Była to oczywiście normalna, rzetelna, ale bardzo krytyczna analiza serio potraktowanej książki filozoficznej. Wkrótce okazało się jednak, że uniwersytet nie jest już miejscem, w którym można takie analizy inicjować bez ujemnych dla siebie konsekwencji”¹⁶.

Analizując sytuację łódzką należy brać jednak pod uwagę inny jeszcze element. Wiąże się on z odejściem z Łodzi, głównie, choć nie wyłącznie, do Warszawy, wielu wybitnych uczonych. Sądzić zresztą można, że te dwa czynniki łączyły się ze sobą. Wyjazd profesorów rozpoczął się w roku 1948. Funkcje rektora zaczął w tym okresie (od 1949) sprawować prof. J. Chałasiński, odchodzący od koncepcji liberalnej w stronę uniwersytetu socjalistycznego¹⁷. W roku 1948 przenieśli się do Warszawy Maria i Stanisław Ossowsky. Odeszli w sposób naturalny B. Bornstein (1948) i S. Hessen (1950). Sądzić można, że gdyby nie śmierć B. Bornsteina, zarówno losy Katedry Ontologii, jak i jego profesora były łatwe do przewidzenia. S. Hessen zdążył jeszcze doświadczyć efektów nowej polityki władz komunistycznych. Wybitny uczony był zmuszony do odejścia w ostatnim okresie swego życia

¹⁶ Por.: Ija Lazari-Pawłowska, *Janinie Kotarbińskiej na 90-lecie*, „Ruch Filozoficzny”, Tom XLIX, 1992, nr 2, s. 118.

¹⁷ Por.: B. Baranowski, K. Baranowski, *Trudne lata Uniwersytetu Łódzkiego (1949-1956)*, Łódź 1990, rozdz. I. Należy dodać, że współpracownikiem rektora Chałasińskiego był ówczesny zastępca profesora związany formalnie z placówkami psychologicznymi (do odejścia z Łodzi w 1953) Jan Legowicz. Jak wiadomo, głównym przedmiotem zainteresowań tego filozofa była historia filozofii średniowiecznej.

od zajęć z filozofii i pedagogiki i prowadzenia lektoratu z języka rosyjskiego¹⁸. O ile, począwszy od 1948 r. można mówić o schyłku, to początek lat 50. oznacza faktyczny koniec studiów filozoficznych na UŁ. W roku akademickim 1949/50 istniały trzy katedry o profilu filozoficznym. Były to działające poprzednio Katedry Historii Filozofii w Polsce z W. Wąsikiem, Teorii Poznania, Logiki i Metodologii z J. Kotarbińską oraz nowa Katedra Filozofii z T. Kotarbińskim. W roku 1950/51 wstrzymano nabór na studia filozoficzne, pozwalając tylko na dokończenie studiów osobom, które wcześniej je rozpoczęły.

Rok 1951 był rokiem I Kongresu Nauki Polskiej. Na nim to przyjęto, że — mówiąc ówczesnym żargonem — filozofia jest elementem społecznej nadbudowy. Ta zaś nadbudowa, już socjalistyczna, musi odrzucać te systemy, które wchodziły w skład starej nadbudowy. Stwierdzając to ówczesny „szef” polskiej filozofii prof. A. Schaff jednoznacznie głosił w programowym artykule: „Filozof pragnący dziś postępu społecznego oraz pragnący stać na konsekwentnie naukowych pozycjach musi zając stanowisko filozofii marksistowskiej, stanowisko materializmu dialektycznego i historycznego”¹⁹. Oczywiście cel, jakim było uzyskanie monopolu przez ideologię marksistowską, zamierzano osiągnąć uciekając się także do metod administracyjnych. Wiemy, że w skali kraju wielu filozofów, jak choćby: I. Dąmbska, H. Elzenberg, R. Ingarden, M. i S. Ossowsy, W. Tatarkiewicz, zostało odsuniętych od nauczania. Innym pozwolono pozostać na uczelniach, ograniczając ich aktywność do logiki. Tak stało się w przypadku większości filozofów zaliczanych do szkoły lwowsko-warszawskiej. Z uczonych łódzkich prof. W. Wąsik został w roku 1950 wysłany na urlop, a następnie emerytowany²⁰. Profesorowie J. i T. Kotarbińscy w roku akademickim 1952/53 przenieśli się do Warszawy, gdzie zajmowali się logiką. W Łodzi pozostali ich asystenci: J. Gregorowicz, I. Lazari-Pawłowska, T. Pawłowski. Mówiąc o upadku filozofii w Łodzi należy zauważyć, że degradacji uległy też inne pokrewne kierunki, jak np. psychologia. Z kolei Katedra Estetyki połączona została z Katedrą Historii Sztuki.

Uniwersytet Łódzki tracił na znaczeniu, zarówno *de facto*, jak i w planach władz. Podział studiów na dwustopniowe oznaczał, że na wielu kierunkach UŁ nie można było robić magisteriów. Likwidacja studiów filozoficznych oznaczała, że zajęcia z przedmiotów filozoficznych, ograniczane do logiki, miały charakter usługowy. Po

¹⁸ Podobny los spotkał profesora psychologii A. Dryjskiego (studiował na uniwersytecie w Odesie i Petersburgu), którego podobnie jak S. Hessena przeniesiono do prowadzenia lektoratu z języka rosyjskiego. Narazić się miał władzy m.in. tym, że omawiając koncepcje Pawłowa wskazywał, że słynny fizjolog nie był w życiu prywatnym materialistą. Wkrótce potem A. Dryjski przeniesiony został na emeryturę.

¹⁹ Por.: A. Schaff, *Zadania frontu filozoficznego w świetle uchwał I Kongresu Nauki Polskiej*, „Myśl Filozoficzna”, nr 1-2, 1951, s. 48; także: L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu, część III Rozkład*, Warszawa, 1989, s. 927-929.

²⁰ Po przejściu na emeryturę prowadził prof. Wąsik zajęcia zlecone na KUL, zaś w roku 1955 został profesorem na Wydziale Filozofii ATK.

odejściu dobrowolnym lub przymusowym wszystkich profesorów filozofii powołano na UŁ Zespół Katedr Filozoficznych w składzie: Katedra Historii Filozofii, Katedra Logiki oraz dwie katedry socjologiczne. Katedry filozoficzne nie miały początkowo kierowników. Począwszy od roku 1954 ukształtowała się nowa struktura: Zakład Historii Filozofii z Janem Szczepańskim podlegał Katedrze Historii Filozofii i Myśli Społecznej, zaś Katedra Logiki z zastępcą prof. J. Gregorowiczem zachowała samodzielność. W tym okresie filozofami w ścisłym sensie byli: S. Czajkowski (zatrudniony do 1954 r.), J. Gregorowicz, I. Lazari-Pawłowska, T. Pawłowski. Troje ostatnich koncentrowało się na prowadzeniu zajęć z logiki na rozmaitych kierunkach studiów. Warunki do pracy naukowej, która zakłada otwarte dyskusje i możliwość publikowania wyników, były mniej niż sprzyjające²¹.

Równocześnie władze pragnęły podnieść rangę przedmiotów ideologicznych. Powstała Katedra Podstaw Marksizmu-Leninizmu, przekształcona z istniejącego



Od lewej: M. Ossowska, M. Przelęcki, A. Malewski (socjolog), S. Ossowski, T. Pawłowski
(fotografia z lat 50.)

²¹ Należy jednak dodać, że i w ówczesnych warunkach uczeni nie poddawali się. Prof. M. Ossowska organizowała w swym domu w Warszawie prywatne seminarium, w którym uczestniczyli niektórzy z jej uczniów. Wedle świadectwa prof. I. Lazari-Pawłowskiej, będącej jego uczestniczką, toczyły się one w warunkach konspiracyjnych.

wcześniej Studium Nauki o Polsce i Świecie Współczesnym. Katedra ta prowadziła obowiązkowe szkolenie ideologiczne. Obejmowało ono nie tylko studentów, lecz także profesorów. Ta służąca szkoleniu ideologicznemu katedra skupiała pracowników z rozmaitych dziedzin, najwięcej historyków i socjologów. Mniej było wśród nich filozofów. Wśród tych ostatnich, związanych w pewnym choćby okresie z tą placówką, wymienić należy Stefana Amsterdamskiego i Jakuba Litwina. Katedra ta przetrwała do przełomu październikowego.

8 Rzut oka na dzieje filozofii w Łodzi, głównie, choć nie wyłącznie przez pryzmat filozofii uniwersyteckiej, pozwala stwierdzić, że w okresie bezpośrednio powojennym środowisko filozoficzne Łodzi reprezentowało wysoki poziom, zróżnicowane orientacje, a także prowadziło aktywną działalność naukową i popularyzacyjną. Środowisko to uległo prawie całkowitemu unicestwieniu w początkach lat 50. Rok 1956 przyniósł szanse na swobodniejsze dyskusje, badania i publikacje. Wtedy to nakładem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego ukazały się wartościowe monografie z zakresu filozofii: T. Kotarbińskiego, *Traktat o dobrej robocie* (1955), M. Ossowskiej, *Moralność mieszczańska* (1956), M. Wallisa, *Dzieje zwierciadła* (1956). Rok ten zapoczątkował też powstanie Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, które odegrało niemałą rolę w późniejszych dziejach filozofii w Łodzi. Przełom październikowy nie spowodował jednak odrodzenia studiów filozoficznych w UE. Na to wypadnie poczekać jeszcze kilkanaście lat.

* Przy przygotowywaniu poniższego szkicu wykorzystałem istniejące publikacje i niektóre (daleko nie wszystkie) materiały archiwalne. Taki kształt, jaki mu ostatecznie nadałem, nie byłby jednak możliwy bez rozmów jakie odbywałem, niegdyś głównie z prof. Iją Lazari-Pawłowską, przed przygotowaniem zaś tego tekstu z prof. prof. Tadeuszem Gerstenkornem oraz Janem Gregorowiczem.

Pomnik Dekalogu

6 listopada 1995 r., na skraju Parku Staromiejskiego, poniżej ulicy Wolborskiej, odsłonięty został nowy łódzki pomnik — Pomnik Dekalogu. Przedstawia on Mojżesza dźwigającego na ramionach tablice Dekalogu. Autorem pomnika jest profesor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, wybitny artysta-rzeźbiarz Gustaw Zemła. Czworometrowy posąg ustawiono na cokole z czerwonego granitu, w który został wmurowany kamień przywieziony z Ziemi Świętej.

Pomysł budowy pomnika wiąże się z działalnością Fundacji „Karta z dziejów”, założonej w 1991 r. z inicjatywy Polaków z kraju i zagranicy. Pragnęli oni uczcić i utrwalić pamięć o Żydach mieszkających na polskich ziemiach przez stulecia. Ich zagłada sprawiła, że znikły bądź zacierają się ostatnie ślady wielowiekowej obecności Żydów w naszym kraju. Chcąc ocalić pamięć o nich, Fundacja postanowiła inicjować i wspierać powstawanie dzieł sztuki, które zdobić będą miasta i miasteczka zamieszkałe ongiś przez ludność żydowską. Tematyka tych dzieł, głównie rzeźb, osnuta być powinna wokół motywów Starego Testamentu, co podkreślać będzie wspólnotę naszego duchowego dziedzictwa zakorzenionego w Biblii.

Pomnik Dekalogu wpisuje się w ten zamysł. Powstał on na miejscu, gdzie przez blisko dwa wieki mieszkali łódzcy Żydzi i gdzie do listopada 1939 r. stała największa łódzka synagoga, wysadzona przez Niemców. Tę społeczność żydowską, która w Łodzi żyła i zginęła w getcie, przypomina i czci pomnik Dekalogu. Bowiem — jak powiedział podczas odsłonięcia pomnika Prezydent Łodzi Marek Czekalski — „miasto, które wyrzeka się swojej historii jest kalekie. Łódź przez wiele lat zapominała o części swojej zamordowanej duszy. Odsłonięcie pomnika Dekalogu jest kolejnym krokiem do przywracania pamięci i dawania świadectwa prawdzie”.



fot. Piotr Zdrzyński

Bolesław Prus w „Kronikach” opisywał inicjatywy łódzkie, których gotów był pozazdrościć jako warszawiak.

JERZY PORADECKI

Łódź — literacki portret miasta

Autorzy antologii poezji o Łodzi (1982) zatytułowali ją *Kwiaty łódzkie*. Rozumiem ich intencję — tytuł miał przypominać *Kwiaty polskie* Tuwima. Kiedyś umieliśmy na pamięć fragmenty słynnego poematu. Te najbardziej znane, umieszczane w szkolnych podręcznikach, mieściły się znakomicie w komunistycznym widzeniu dziejów jako walki wyzyskiwanych z wyzyskującymi.

*W bramie robotnik usiadł stary,
Suche kartofle z miski je,
A kolor jego żółtoszary,
Bo głodno, chłodno, brudno, źle.*

Trzeba przyznać, że literacki portret miasta zyskał wyrazistość w związku z bujnym rozwojem myślenia socjalistycznego, więc znakomicie nadawał się do propagandowych zastosowań w czasach komunistycznego socrealizmu. Skutki były zresztą niedobre pod wieloma względami. Antologia zawiera wiele powstałych po wojnie schematycznych i banalnych wierszy, literacko i mitotwórczo martwych. To, co znakomicie zaczęło się powieścią Władysława St. Reymonta *Ziemia obiecana* (1897-98) i cyklem reportaży Zygmunta Bartkiewicza *Złe miasto* (1907), po II wojnie zostało rozmiennione na drobne.

Złe miasto

Kiedy Wiktor Dłużniewski, urodzony w zaborze austriackim, związany w latach czterdziestych ubiegłego wieku z cyganerią warszawską, pojawił się kilkanaście lat później w Łodzi jako nauczyciel, trafił do dużej wiochy, w której dopiero zaczynały się zmiany, mające uczynić z niej symbol drapieżnego kapitalizmu. Pisząc pierwszy większy poemat o mieście — *Paweł Łódzia Kubowicz* (1857) dostrzegł wprawdzie „długą Niemców osadę”, „gmachy jak zamki, zbrojne w maszyny” i „tkaczy warsztaty”, interesował go jednak bardziej jedyny kościół w mieście, pozostały jeszcze z dawnych czasów, co napawało go niepokojem, miał bowiem wątpliwości:

*Czyż stara wiara w tak wątłej łodzi
Wyjdzie z tryumfem z nowej powodzi?*

Oczywiście, nie wyszła obronną ręką. Można domniemywać, że autor, jakkolwiek związany z cyganerią, ale przede wszystkim nauczyciel, miał pewien zamiar dydaktyczny — stworzyć legendę początków miasta, to dać mu swego rodzaju kręgosłup, normę i miarę, do której można się odwoływać w powodzi zdarzeń nadchodzących. A była to legenda wiernego królowi Zygmuntovi wojownika, który z narażeniem życia przynosi władcy ważne wieści z pola bitwy z Turkami.

Na nic się zdały zabiegi Dłużniewskiego. Bardziej trafne okazały się obserwacje zawarte w nie opublikowanym dramacie *Wyprawa do Ameryki* (1857), przedstawiające konflikty narodowościowe w rozwijającym się mieście. Zwracali uwagę na te problemy inni dziennikarze i literaci zamieszkali w Łodzi bądź nią zainteresowani: S. Łapiński, K. Łaganowski, A. Mieszkowski. Oni pierwsi zainteresowali Reymonta demonicznymi aspektami gwałtownie rozwijającego się miasta. Autor *Ziemi obiecanej* nie był pierwszym, który podjął te zagadnienia, on jednak potrafił uczynić z nich patetyczny i sugestywny obraz.

Pisał jeden z najwybitniejszych krytyków tamtego czasu, Ignacy Matuzewski:

Widzimy tam na wpół sparaliżowanych królów przemysłu, zużywających ostatek sił życiowych na tyranizowanie podwładnych i walkę z konkurentami; widzimy

flegmatycznych dorobkiewiczów, którzy budują sobie pałace i nie wiedzą, jak się w nich obracać. Dalej idą bezczelni spekulanci, bogacący się przez pożary wysoko zaasekurowanych fabryk, oraz cała zgraja młodych aspirantów do majątku, drących się ze sobą o zarobek, jak wilki o żer. A nad tym wszystkim, nad tą wstrętną areną walki o złoto unosi się ciężka atmosfera, przepelniona dymem fabrycznym i wyziewami potu, z którego rodzi się owo złoto...

[Przemysł w powieści, 1899]

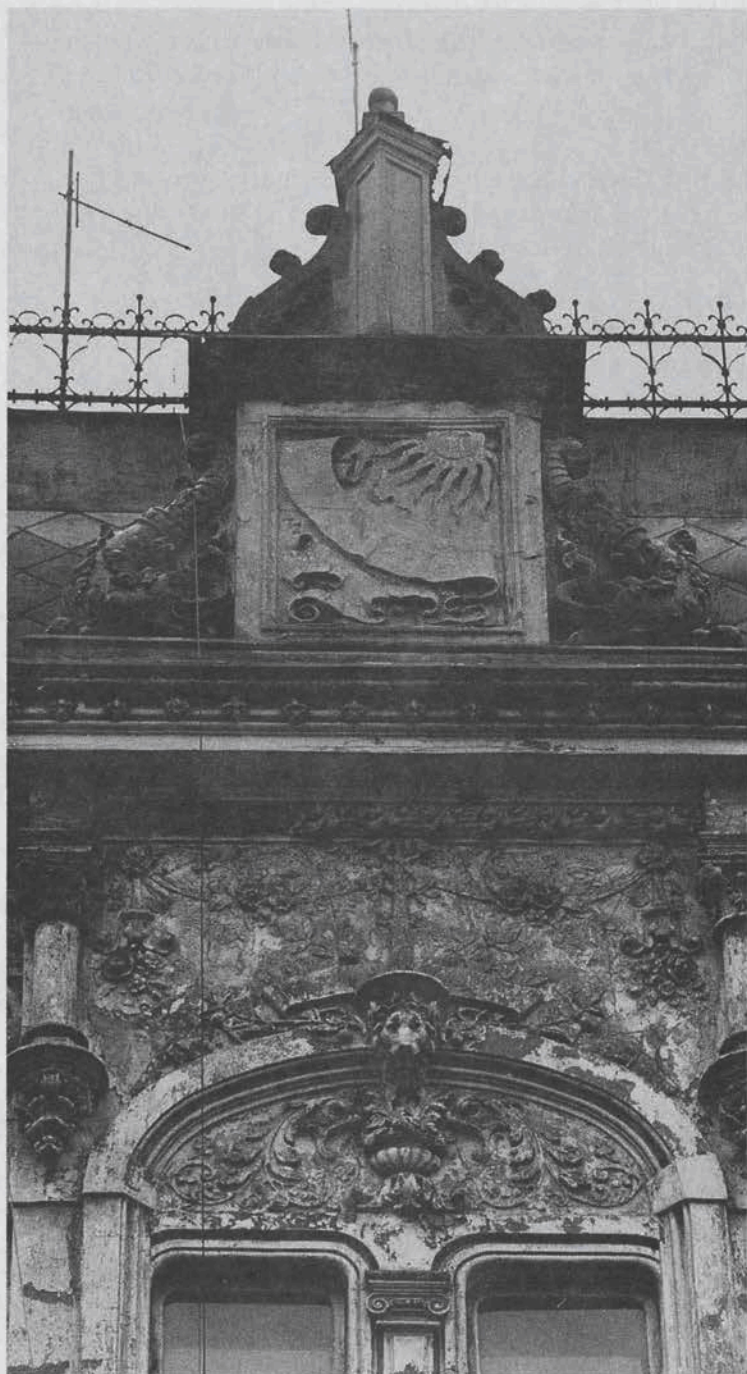
I tak już zostało na długo. Dołączono nowy element — walki robotników o własne sprawy — stwarzając w ten sposób pewną równowagę między walczącymi z sobą siłami zła i dobra, jednak schemat mitu „złego miasta” był gotowy. Wzmocniły go słynne reportaże Bartkiewicza. Żeromski (*Róża*) i Strug (*Dzieje jednego pocisku i Odznaka za wierną służbę*) upowszechnili po 1905 roku obraz Łodzi walczącej — niemniej obraz był czarno-biały.

A taki nie musiał być. Jeszcze w ubiegłym wieku Bolesław Prus niejednokrotnie w swoich *Kronikach* opisywał inicjatywy łódzkie, których gotów był pozazdrościć jako warszawiak. Wiele by było do opisania pięknych spraw z okresu międzywojennego. Zabrakło jednak pisarza, który zrobiłby to wystarczająco sugestywnie, tak by jego utwór miał siłę mogącą zmienić mit Łodzi jako złego miasta.

Na uwagę zasługuje szczególna właściwość obrazu miasta — mimo, iż wielonarodowościowe, to główna linia podziału przebiega w nim między biednymi i bogatymi. Niewiele w tym zakresie mógł zrobić antysemityzm, od czasów pozytywizmu po II wojnę światową przeżywający bujny rozkwit. Związek interesów Polaka — Karola Borowieckiego, Niemca — Maksa Bauma i Żyda — Moryca Welta wyraziście zdominował problemy współpracy i konfliktów narodowościowych, których przecież w Łodzi nie brakowało.

Próbowali wnieść nowe elementy do tego obrazu Władysław Broniewski, Mieczysław Braun i Marian Piechal — jednak problem walki rewolucyjnej o godność człowieka, jakkolwiek sugestywny, bowiem odwoływał się do kataklizmu dziejowego jako jedynej drogi ocalenia, zniszczony został wkrótce przez komunistyczną propagandę. Najciekawiej może w okresie międzywojennym przedstawia się Braunowa próba ujęcia etyki pracy w warunkach wielkoprzemysłowych. Zwróciły na siebie uwagę zwłaszcza dwa pierwsze tomy poety: *Rzemiosła* (1926) i *Przemysły* (1928). Braun jednak przeoczył wpływ organizacji przemysłu na osobowość pracownika. Traktował go jak rzemieślnika, który przecież tak bardzo się różnił od robotnika w wielkiej fabryce. Nowi starzy bogowie nie mogli sobie znaleźć miejsca w nowym świecie i naiwnością uderza dziś taka apostrofa:

*Witajcie, nowi bogowie! witajcie nowymi czasami!
Apollo przy tkackim warsztacie, Zeus w elektrowni zaklęty,*



fot. Piotr Zdrzynicki

*Atene wielkich przemysłów, sił świeżych pełna i krasy,
Hefajstos w piecach fabrycznych, Neptun pędzący okręty.*

[*Nowi bogowie*]

Szlachetny klasycyzm w ujmowaniu sensu ludzkiego losu, czysta strofa i jasne przesłanie światopoglądowe zasługują na szacunek, jednak wyraźnie nie korespondują z wrzącą magmą interesów i nastrojów.

Łódź Tuwima

Najciekawiej na tym tle przedstawia się poemat Tuwima *Kwiaty polskie*. Powstał co prawda na emigracji, co nadało mu cech elegijnego żalu za minionym czasem, jednak zawsze gorący emocjonalnie poeta przedstawił zarys bardzo ciekawego obrazu. Pamiętamy zwykle fragmenty — te ze szkoły i z recitalu Ewy Demarczyk, przypomnijmy sobie jednak zarys fabuły tego dygresyjnego poematu.

Stacjonujący w Łodzi-mieście rosyjski oficer Ilganow zakochał się z wzajemnością w pewnej Polce. Może udałoby się im przezwyciężyć opory ich środowisk, ale wkrótce nadeszła rewolucja 1905 roku i w czasie jednej z robotniczych manifestacji Ilganow został zastrzelony przez demonstrującego robotnika Margiela, który zresztą sam zaraz potem zginął, pozostawiając w nędzy syna Kazika.

Główną bohaterką zostaje Aniela, której matka — w obawie przed złymi językami, przypominającymi jej związek z carskim oficerem — usunęła się na margines życia, a wkrótce po rewolucji zmarła. Po śmierci matki Anielą opiekuje się jej dziadek, ogrodnik Ignacy Dziewierski. Były legionista przenosi się po I wojnie światowej do Warszawy, starając się, by jego wnuczka nie wiedziała nic o swoim kompromitującym pochodzeniu. Nie na wiele się to zdało. Dorastająca dziewczyna rozpoczyna życie równie bujne i niebezpieczne jak jej matka. Wkrótce zostaje kochanką rozpustnego przemysłowca Folbluta. Z pewnych fragmentów można wnosić, że spotka się ona z Kazimierzem Margielem, synem robotnika, który zabił jej ojca, i połączą ich gorące uczucia.

Fabuła to mocno melodramatyczna i dzięki Bogu, że więcej w tym poemacie dygresji niż opisów losów bohaterów. Warto jednak zwrócić uwagę na mocno konfliktową rzeczywistość. Każda z postaci wplątana jest w coś, z czym nie może sobie poradzić. Rosyjski oficer kocha dziewczynę zniewolonego narodu i na odwrót — Polka kocha kogoś ubranego w mundur okupanta. Dziadek legionista wychowuje dziecko rosyjskiego oficera... itd. Światem Tuwima rządzą siły potężniejsze niż patriotyzm, rozsądek, poczucie moralności i obowiązku. To przede wszystkim natrętny biologizm, zwłaszcza w ujmowaniu spraw erotycznych. Od niego nie ma odwołania. I to on decyduje o sugestywności poszczególnych fragmentów, wbrew melodramatycznemu zarysowi fabuły.



fol. Piotr Zdrzynicki

Tuwim do Reymontowskiego obrazu Łodzi dołożył bardzo ważny element. Zasadniczą siłą kierującą działaniami bohaterów *Ziemi obiecanej* było poczucie posiadania, zdobywania — zwłaszcza pieniędzy. One gwarantowały dostępność wszystkiego, bowiem w przekonaniu bohaterów wszystko można za nie kupić. Reymont konsekwentnie demaskował fałszywe przeświadczenia, które kazały cynicznym bohaterom pytać w chwilach szczerości: *Etyka? — co to za towar?* Wspaniale pokazał, co jeszcze uwypuklił w filmie Andrzej Wajda, duchową pospolitość posiadaczy pałaców, dzieł sztuki i nieudolnych organizatorów salonów.

Tuwim sięgnął głębiej. Żądza posiadania była dla niego jednym z objawów bardziej podstawowej żądzy o charakterze biologiczno-erotycznym. W tym świecie nie było postaci czarno-białych. Ten sam biologizm, bliski tradycjom naturalistycznym, popychał do działania zarówno biednych, jak i bogatych, zwycięzców i przegranych, robotników i lodzermenschów. Łódź Tuwima stawała się wielkim kotłem, w którym kłębiły się nieokiełznane temperamenty. Gwałtowność zmian w tym mieście jedynie wyraziściej podkreślała wagę i siłę pierwotnych emocjonalności.

Temat znakomity. Szkoda, że autorowi brakło talentu, by go pełniej zarysować, bez owych chwytów melodramatycznych.

Łódź Reymonta i Tuwima była jedną całością, w ramach której walczyły różnorodne siły. Nie była to jednak jedyna możliwość uchwycenia fenomenu miasta. Równie przejmujący i sugestywny był obraz miasta jako różnorodnych fragmentów, które w żaden sposób nie mogą złożyć się w całość.

Hotel Savoy

Ciekawe, że takie widzenie miasta pierwszy wprowadził do literatury pisarz austriacki, który spędził tu trochę czasu i był właściwie gościem. Joseph Roth lubił swoją pierwszą powieść *Hotel Savoy* (1923). Miejsce akcji nie zostało wskazane wyraziście, ale kiedy z innych źródeł wiadomo, że chodzi o Łódź, dość łatwo w niej odnaleźć miejscowe realia.

Głównymi bohaterami *Hotelu Savoy* są swego rodzaju „ludzie bezdomni”, głównie żołnierze powracający z frontów I wojny światowej. Ciekawe, że zarówno postacie z powieści Reymonta, jak i Rotha, są ludźmi bez korzeni, nie osiedlonymi w stałym miejscu, nie przypisanymi do żadnej ziemi. Jedni przyjeżdżają do rozwijającego się miasta w poszukiwaniu sukcesu, drudzy trafiają tam przypadkowo i nie zatrzymują się na dłużej. I nie ma się czemu dziwić:

Nie skanalizowane miasto cuchnęło. W pochmurne dnię widać było w wąskich, nierównych ściekach wzdłuż drewnianego chodnika żółtą, gliniastą ciecz, szlam z fabryk, ciepły jeszcze i parujący. Cuchnęło w tym mieście, jak gdyby to tutaj spadł deszcz ze smoły i siarki, a nie na Sodomę i Gomorę.

Bóg ukarał to miasto przemysłem. Przemysł jest najsurowszą karą Bożą.

[przełożył S. Berman]

Joseph Roth bardzo silnie podkreśla tymczasowość wszystkiego, co odgrywa w tym mieście jakąś rolę. Kariery finansowe szybko rosną i jeszcze szybciej upadają, przyjeżdża się z interesami do miasta i równie łatwo wyjeżdża, żołnierze wracający z wojny szukają miejsca, gdzie da się żyć i miasto traktują jako przystanek w drodze do innej ziemi obiecanej, np. Ameryki. Większość bohaterów mieszka w hotelu i wielu z nich nie jest w stanie regularnie płacić za pokój. Ulicami pędzą w gorączkowym poszukiwaniu nowych interesów ludzie różnych narodowości. Ci, którzy posiadają własne mieszkania lub domy, są zamknięci w swoich pokojach i w sobie. Każdy przybysz uznawany jest za intruza. W mieście nie ma życia publicznego, które wiązałoby ze sobą mieszkańców. Kabarety są tymczasowe jak goście w hotelowej restauracji.

Przemysł rzeczywiście stał się przekleństwem miasta. Niemał wszystko, co podporządkowane produkcji, nie posiada żadnego waloru trwałości, jest zmienne i kapryśne jak rodzące się i upadające fortuny producentów.

Spostrzeżenie Rotha warte jest głębszego namysłu. Faktycznie od przemysłu może zależeć ilość pieniędzy przeznaczonych na inne sfery życia, ale cechująca rozwój przemysłowy gwałtowność zmian uzależnia od siebie również poczucie duchowej jedności i tożsamości miasta. W Łodzi rwało się wszystko, a najszybciej życie kulturalne. Bywały wielkie wzloty i szybkie upadki. Dopiero okres powojenny, mimo ograniczeń polityki komunistycznej, przyniósł pewną stabilizację. Nie udało się jej narzucić z zewnątrz. Robotnicze miasto nie rozkwitło kulturą wyzwolonego proletariatu — w Łodzi nie było go stać nawet na stworzenie charakterystycznej dla innych miast kultury przedmieść, w której mieszczą się kapele uliczne, bary lub knajpy, niedzielne wycieczki i ich obrzędy, swoista etyka dzielnicowa lub zawodowa. Łódzki Białoszewski czy Nowakowski nie miałby co opisywać — zbyt szybko przemieszczały się masy ludzi przybywających i wyjeżdżających z Łodzi. Nie oznacza to jednak, że nie wytwarzała się tutaj pewna tradycja. Ciekawe jednak, że nie wykraczała ona zwykle poza ściany mieszkania lub domu. Zauważył to już Roth:

Dostałem się na ulicę Gibką. Jest to wytworna ulica na przedmieściu, z białymi, niskimi domami, nowymi i ozdobnymi. W domu Böhlauga widziałem oświetlone okna, ale drzwi były zamknięte. Zastanawiałem się chwilę, czy mam pójść na górę o tej porze, była już może dziesiąta godzina — wtem usłyszałem fortepian i wiolonczelę, kobiety głos i trzask rzuconych kart [...]. Postanowiłem odłożyć wizytę do następnego dnia i wróciłem do hotelu.

Bohater co prawda został wpuszczony do owego domu, jednak starannie i skutecznie zniechęcano go do następnych odwiedzin. Bardzo to ciekawe. Życie, które nie mogło lub nie miało okazji ujawnić się publicznie, chroniło się w ściany własnej lub rodzinnej samotni.

Droga do Chojen

Motyw ten przetrwał w literaturze długo. Pojawił się w powieściach Henryka Grynberga i Zbigniewa Żakiewicza [*To tylko sen, Danielu*]. U Grynberga w *Życiu osobistym* wszelkie niepokoje, pytania i fermenty pozostają w czterech ścianach pokoju, nie mogą znaleźć sobie ujścia. Oczywiście, doszła jeszcze jedna przyczyna — komunistyczna kontrola nad inicjatywami indywidualnych twórców, jednak tym bardziej podtrzymany został mit niemożliwości zaistnienia jawnego, publicznego życia mieszkańców miasta. Publiczne uznanie można było zdobyć tylko poza tym terenem, który został dotknięty przekleństwem praw przemysłowych.

Grynberg miałby wszelkie prawa uważać się za łodzianina, jest w tym mieście jednak tak samo chwilowym przybyszem jak Żakiewicz. Podobnie jak dom Böhlauga

odpycha bohatera powieści Rotha, Łódź kryje swoje tajemnice. Czy one rzeczywiście istnieją?

Miasta ma swoją specyfikę. Wychwytywali ją najwrażliwsi poeci, np. Julian Przyboś i Tadeusz Różewicz.

Bardzo ciekawy jest zapis Przybosia:

... spojrzalem na niski prawy brzeg krajobrazu: zarysy miasta i kominów stały się jeszcze niższe i mniej dostrzegalne. Nie uzyskałem poczucia równowagi, ziemia się przechylała i uczucie zagubienia, niesamowitości i dziwu nie ustępowało. Zacząłem biec do najbliższego słupa, dopadłem go nie patrząc donikąd i objąłem ramionami. Całe Dookoła zawirowało i stanęło. U końca drogi zobaczyłem autobus. Przystanął. To pięćdziesiątka czwórka do Chojen, a stamtąd na stację, na Dworzec Fabryczny. Do brzydoty zwyczajnej, oswojonej, ludzkiej, która broni przed objawieniem nieodkrytych, przerażających stron świata.

[Droga do Chojen]

Proza poetycka Różewicza zatytułowana *Hycle* jest jeszcze bardziej tajemnicza i Kafkowska. Właśnie Kafkowska. Dokonująca się tutaj przemiana człowieka w zwierzę, w psa chwytanego przez hyclów podsuwa pomysł, że ta niesamowita rzeczywistość ukrywa w sobie jakieś nieznanne i okrutne prawa, że pod powłoką brudu i jakiejś bezbarwności kryje się coś szalenie istotnego.

Miasto metafizyczne

Pisarzem, który najpełniej i najsugestywniej uchwycił ten fenomenalny splot groźnej niezwykłości i pozornej bezbarwności jest Bernard Sztajnert. Akcja prawie wszystkich jego utworów dzieje się w Łodzi. Bez jej kolorytu lokalnego nie miałyby sensu metafizyczne i mitologiczne aspekty, tak jak niczym byłby świat ezoteryczny Bruno Schulza bez uliczek, kamienic i korytarzy Drohobycza. W prozie Sztajnerta niemal zawsze „Bóg, Szatan i Śmierć przechodzą bezustannie pod drzwiami”. Rzeczywistość dookolna rwie się, nie ma jasnej i stałej konsystencji. Bohaterowie autora *Trzech ksiąg* [*Księga zdarzeń*, *Księga ojca*, *Księga czasu*] są kalekami, upośledzonymi demiurgami stającymi wobec Wielkiego Demiurga. Na początku pierwszej z tych ksiąg chłopiec doznaje takiego wtajemniczenia:

Siedzę w krótkich białych spodenkach, w sandałach z połyskliwych skórzanych rzemieni, w sandałach zakupionych w mieście, siedzę na żywicznych barakowych belkach. Przynależę do tych, którym wynajęto dom. Oglądam własne ozdobione rzemieniami nogi, poruszam tymi nogami — to fakt i to zdarzenie — jaki będzie dalszy ciąg tego małego zdarzenia?

Zdolny już jestem tak myśleć: najprościej klasyfikować fakty i zdarzenia, zdolny jestem czekać na ciąg dalszy — czyżbym żył w pustce, w pustce, w której nawet najmniejsze zdarzenie może nie mieć dalszego ciągu? Gdzie jest Bóg, który ułożył na cmentarzu pod karłowatymi sosnami dobrych i złych, oraz tych, którzy nie byli ani dobrymi, ani złymi

[Księga zdarzeń]

Pustka, w której zdarzenia mogą nie mieć dalszego ciągu. Jest to jedna z najbardziej pesymistycznych charakterystyk Łodzi. W końcu tak przecież odczuwamy to miasto — gwałtownie wybuchające i znikające fantazmaty wielonarodowościowej symbiozy mieszkańców, przemysłu, rewolucji, socjalizmu. I wszystkie rozmywają się, jak gdyby nie pozostawiały po sobie niczego, co wpływa na przyszłość miasta, niczego, co byłoby jego dziedzictwem.

Chłopak stający wobec takiej pustki postanawia zostać badaczem głębi. Przypomnijmy znakomitą dyskusję z ojcem, który pokroił żonie deskę do mięsa, chcąc chłopcu udowodnić, że istnieje tylko powierzchnia. Do dyskusji włącza się „ten trzeci”, który powiada, że głębia jest nie w przedmiotach, ale w człowieku. I ma rację — bohater-narrator ksiąg w ostatnich słowach trzeciej z nich powiada: „Byłem Królem Czasu”. Czyżby Łódź była skazana na widmowy żywot w świecie rzeczywistym, czyżby miała szansę jedynie jako miasto metafizyczne? Sztajnert zapewne by chętnie dopisał się do takiej diagnozy. W najbardziej nawet konkretnych felietonach pisarz odnajduje udręczone duchy, tułające się wśród ścian starych kamienic, a i żywych bohaterów gnających w nieznanym kierunku jakieś ciemne, nieopanowane siły.

Sztajnert dokonał rzeczy znakomitej — z ubogich konkretów miasta bez cech szczególnych uczynił wielką metaforę losu ludzkiego. Jednak Łódź z jego pisarstwa jest równie daleka od tej rzeczywistości, jak Drohobycz od miasta opisanego w prozach Schulza. Od tego czytelnikowi może się zakręcić w głowie, jak Przybosiowi w drodze do Chojen. By żyć w tym mieście sensownie, trzeba koniecznie zagospodarować jego przestrzeń i czas, trzeba znaleźć lub wykreować jego punkty centralne i obdarzyć je logiką narastających na siebie warstw czasowych. To, co tutaj się stało, nie może nie mieć dalszego ciągu, choćby tragicznego.

Poetycka mapa Łodzi

Najpoważniejszą próbę tego rodzaju podjął Marian Piechal w poemacie *Ogień i popiół* (1976). Czas akcji ograniczył w zasadzie do XX wieku, tak bardzo znaczącego dla kształtowania się charakteru miasta. Nie brak oczywiście odwołań wcześniejszych, jest to jednak swego rodzaju prehistoria. Właściwa historia bowiem zaczyna się dla Łodzi wtedy, gdy miasto musi sobie poradzić z bardzo różnorodnym i konfliktowym dziedzictwem.

Drugim istotnym wyróżnikiem było powiązanie dziejów miasta z własną biografją. Obydwie te sfery znakomicie się wspierają i uwiarytelniają. Przeglądając antologię wierszy o Łodzi warto zwrócić uwagę, jak mało z nich poświęcono wybitnym ludziom tutaj działającym. Piechal sam był wyróżniającą się indywidualnością i jego wieloletnie związki z miastem kształtowały osobowość poety. Reymont i Roth byli tu gośćmi, Tuwim znakomicie czuł się w Warszawie, a w jego łódzkich wspomnieniach nie widać niezbędnego związku między osobowością poety a atmosferą miasta. Wskazali nań, jako na swego rodzaju konieczność, dopiero Piechal i Sztajnert. Piechal miał jednak wyjątkowo ważną cechę — jego autoportret na tle miasta uczynił dokonania poety sprawą otwartą, sprawą kultury miasta i jego społeczności.

Kolejne wiersze Piechala składały się na sugestywny obraz miasta, a *Ogień i popiół* stał się czymś w rodzaju niezbędnej mapy Łodzi. Posiada ona wreszcie swoje ulice centralne, swoje najważniejsze wydarzenia, swoje peryferia — i swój los, zarysowany co prawda nazbyt optymistycznie, bowiem trudno uwierzyć, że Łódź jest miastem nadziei, ziemią obiecaną dosłownie, bez ironicznych cudzy-słówów.

Piechal wyróżnił trzy strefy: ulicę Kilińskiego, śródmieście i peryferia. Śródmieście jest strefą niejako oficjalną i reprezentacyjną, pozostającą w konflikcie z innymi dzielnicami. Peryferia są terenem, na którym rodzą się nowe siły wspierające miasto w rozwoju lub uciekające z miasta, kiedy nie można go zaakceptować. Jest to strefa archaiczności i nie ukształtowanej jeszcze przyszłości. Strefę pośrednią symbolizuje ulica Kilińskiego. Ulica napięć narodowościowych i społecznych, ulica na której ostrzej niż gdziekolwiek indziej widać ścierające się w Łodzi siły. Jest to także ulica poetów, którzy wywodząc się z owej strefy pośredniej, lepiej i prawdziwiej niż inni widzą świat.

Bardzo istotna jest ta topografia. Nie jest nawet ważne, na ile odzwierciedla ona prawdę o mieście. Ten całościowy obraz-schemat jest od tej chwili trwałym punktem odniesienia dla tworzenia obrazu miasta. Schemat ten można teraz dopełniać i wypełniać innymi treściami. Robił to sam Piechal, który pod koniec życia zebrał w jednym bardzo ciekawym tomie swoje wiersze o Łodzi (*Miasto Troiste*, 1988) i coraz ciekawiej robią to poeci młodszych pokoleń. Na szczególną uwagę zasługują wiersze Jerzego Waleńczyka, ogromnie wrażliwego na niepowtarzalny koloryt życia miasta.

* * *

Poemat Piechala kończy jakby spór o ukształtowanie wizji tradycji miasta. Pozostają w nim aktualne tradycje robotnicze i socjalistyczne, zarysowane jest bujne życie środowisk proletariackich i mieszczańskich, wpisane są miejsca dla kultury artystycznej. Miasto nie traci nic ze swojej specyfiki — przeciwnie, zyskuje wyrazistość.



fot. Piotr Zdrzyński

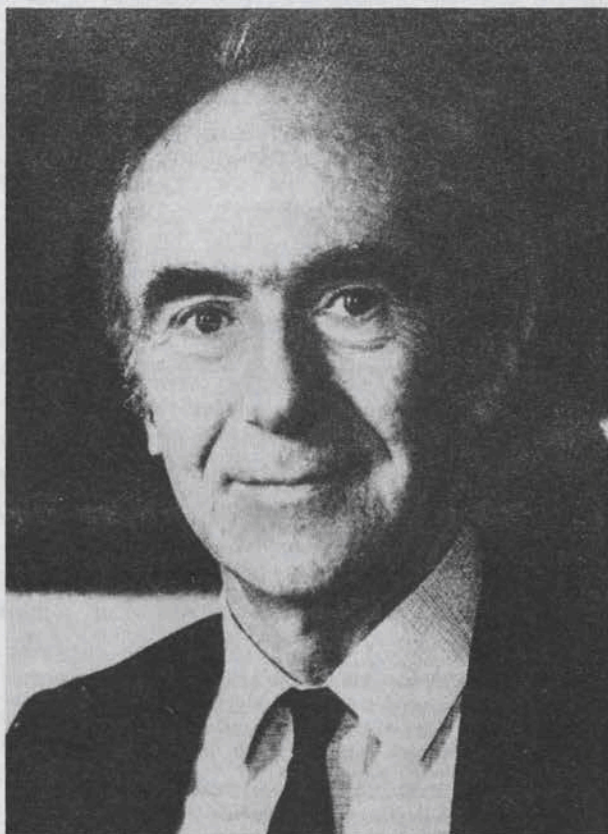
I co bardzo ważne — okazały się zbędne tradycje przenoszone według obcych Łodzi wzorców. Niepotrzebna okazała się rycerska przeszłość przywoływana przez Dłużniewskiego, dokonana się korekta tradycji rewolucyjnych, tak eksponowanych w powieściach choćby Władysława Rymkiewicza.

W ostatnich latach widać wyraźnie ożywienie w gronie miłośników miasta. Ukazują się tomy wspomnień i opracowań różnorodnych tematów łódzkich. Wspierają się nawzajem mit i dzieje Łodzi. Nie musi to niczego zapowiadać. Wykryształowała się jednak wyczuwalna odrębność Łodzi zauważalna nawet dla goszczących tutaj pisarzy zagranicznych. Łódź staje się atrakcyjnym tematem literackim i warto obserwować, jak ona się kształtuje i przekształca.

*Byłem bardziej zadowolony w królestwie
muz i fantazji niż w republice nagich faktów.*

KARL DEDECIUS

Przez mgłę, jakby we śnie...



Wspominać Łódź. Wspominać z odległości 56 lat, które były i dobre
i złe, i ciężkie i lekkie.

Moje wspomnienia są dwojakie, mała garsteczka wspomnień realnych z przeszłości i gruba księga wspomnień fantastycznych — z przyszłości. Wspominając dzieciństwo i młodość zdaje sobie coraz wyraźniej sprawę z tego, że żyłem jednak w tych okresach mojej niedojrzałej jeszcze świadomości (do 1939 roku) raczej w świecie nierzeczywistym (poezja, muzyka), ponadrealnym, uwarunkowanym czasem przyszedłym, nie teraźniejszością albo przeszłością. Nie pamiętam nawet domu, w którym się urodziłem, bodajże, jeśli mnie pamięć nie myli, w jednym z oficyn ulicy Wólczajskiej. Po kilku latach przeprowadziliśmy się na ulicę Przędzalnianą. Ponieważ byłem jeszcze dzieckiem w wieku przedszkolnym, często spędzałem godziny na parapecie okna naszego mieszkania na pierwszym piętrze, skąd z ciekawością przyglądałem się ruchowi ulicznemu: naprzeciwko okna były jakieś koszary, a obok kościół mariawitów. Kilka lat później zamieniliśmy mieszkanie na inne na ul. Abramowskiego, znów pierwsze frontowe piętro — ale nigdy nie były to mieszkania większe niż pokój z kuchnią. Dopiero w latach trzydziestych rodzice, oboje pracując, zaoszczędzili tyle, że mogli zacząć budować domek jednorodzinny na końcu Starego Rokicia. Za domem i naprzeciw bujał wtedy jeszcze złocisty łan zboża. Tym razem były to już trzy małe pokoiki z kuchnią, ale tylko jeden i kuchnia umeblowane. Na więcej mebli nie starczyło pieniędzy. Rodzice byli zapracowani i prowadzili życie skromne, pocziwe.

* * *

Łódź mojego dzieciństwa i mojej młodości widzę coraz bardziej przez mgłę, jakby we śnie. Byłem bardziej zadowolony w królestwie muz i fantazji niż w republice nagich faktów. Kiepski był ze mnie w szkole matematyk, fizyk i botanik, kiepski historyk. Nie bawiły mnie pola chwały, pełne trupów, zwycięstwa heroiczne, które kończyły się kompletną nędzą, mierzenie czynów na zamiary (przepiękne zamiary — bez konieczności czynów). To nie kokieteria starszego pana — proszę się zapytać moich kolegów szkolnych — nie mogłem się wydzwignąć ponad te zatroskane trójeczki, które jak jednolity mur chiński zdobią moje świadectwo niedojrzałości. Dla jednego tylko profesora (pana Sobolewskiego) byłem szczerą radością, bo grałem często solo na skrzypcach, potem w kwartecie Haydna na tajemniczej violi d'amore, wreszcie i w orkiestrze szkolnej na wiolonczeli, tzn. na trzech instrumentach i to zawsze i wszędzie, gdzie tylko była potrzeba. Profesor muzyki cenił to sobie bardzo i ozdabiał moje świadectwo — tylko on jeden — wyjątkowym dla mnie stopniem „bardzo dobrym”. Z językiem polskim dawałem sobie radę jako tako, mniej „górną”, więcej „chmurną” (u profesorów Stankiewicza i Janigi). Nasz germanista prof. Kunitzer (jego syn, malarz, mieszka w pobliżu Frankfurtu nad Menem, zwiedzałem jego oryginalną pracownię w domu, który sobie tutaj po wojnie, w otwartym polu wybudował, z jego hodowlą owiec, ryb we własnym stawie, i choinek na sprzedaż,

corocznie przed świętami Bożego Narodzenia), prof. Kunitzer więc chwalił mnie nawet za moje wypracowania, ale był strasznie podejrzliwy i zawsze pytał niedowierzająco: „A skąd ty to przepisałeś, co?”, a ja — w samotności — pisałem właśnie sam i chętnie, niechętny byłem tylko wobec zaskakujących pytań, które nie sprzyjały mojemu ciągłemu roztargnieniu, „intelektualnej nieobecności”. Nigdy nie potrafiłem oderwać się od moich zainteresowań i lektur „nadobowiązkowych”. Podczas gdy w klasie przerabiano *Trylogię*, *Lalkę* itp., ja ciągle jeszcze tkwiłem w jakichś tam somnabulicznych „balladach i romansach”, w lekturach (zupełnie nie przewidzianych w programie szkoły) filozofów niemieckich, poetów europejskiego renesansu. Nieprzewidziane przedmioty, nazwiska i książki bardziej mi były bliskie, fascynujące, niż te „obowiązkowe”, które nie imaly się mojej woli i pamięci. Co tu gadać, żyłem zawsze troszeczkę „poza”, mniej „w” i mniej „z”.

A inni (niektórzy) — rozsądni, uważnie zapatrzeni w czarną tablicę na białej frontowej ścianie klasy, na znaki na niej białą kredą widniejące — zdobywali wiedzę programowo, posłusznie i systematycznie. Zwycięsko. Ja — zapatrywałem się w to, co widniało i co się działo za oknem, przy którym siedziałem: w błękit nieba, chmury z ich fascynującym ruchem i niebieskie migdały. Czy warto o takiej młodości wspominać? Wstyd. Zażenowanie i poczucie winy. (Wyrok ostateczny, poufały, do wiadomości ojca: „Zdolny to on jest, ale leniwy.”) Dwóch serdecznych, bliskich mi przyjaciół miałem do samego końca. Leona Tomczaka i Tadeusza Bartoszewskiego. Z nimi chodziliśmy na węgry, płataliśmy figle i śpiewaliśmy z entuzjazmem na trzy głosy.

Aha, było wtedy jeszcze moje zainteresowanie teatrem. W konkursie recytatorskim szkół średnich w Teatrze Miejskim — przypominam sobie niejasno — dostałem nawet jakieś wyróżnienie za recytację *Sokratesa tańczącego* Tuwima (już wtedy wyróżniałem się nienormalnym, ludzako „przepitym” — choć nigdy alkoholu, do tej pory, nie znosiłem — basem). Przemiały dyrektor nasz, prof. Marczyński, odkrył w tym moją jedyną szansę na przyszłość i poszedł ze mną „na egzamin” do głośnego wtedy reżysera teatru, jeśli się nie mylę o nazwisku Krasnowicki albo Krasnowiecki, albo podobnie. Reżyser chwalił mój głos, możliwości modulacji — ale mnie w teatrze interesowało przecież nie aktorstwo, a dramaturgia. No i po tej konferencji w trójkę została powzięta decyzja immatrykulacji w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie, której dyrektorem był Tymon Terlecki (obecnie Londyn). Spotkałem go w roku 1968 w Nowym Jorku, gdzie przebywał z odczytem i z wystawą poloników niemieckich na zaproszenie Polskiej Akademii. Gdy emigracja polska wyróżniła mnie wtedy nagrodą Jurzykowskiego, prof. Terlecki wygłosił arcymilą laudację. Drugim laudatorem był Aleksander Jałta-Półczyński, poeta i antykwariusz poloników, u którego mieszkalem i który obwoził mnie po amerykańskich uniwersytetach i instytucjach polonijnych.

Do studiów we wrześniu 1939 roku oczywiście nie doszło. Doszło do wojny, której wybuch zastał mnie w okolicach Łomży w Junackich Hufcach Pracy. Uciekliśmy przed frontem, chowaliśmy się, dobrnęliśmy do Lwowa, ale ten już zajmowali Rosjanie — we Lwowie, schowany przed Rosjanami w prywatnym mieszkaniu rodziny polskiej, przechorowałem kilka tygodni. Do Łodzi wracałem pod koniec 1939 roku przeważnie pieszo, ciągle jeszcze chory na żółtaczkę. Zastąłem ojca zrozpaczonego i chorą, umierającą matkę. Na mnie czekało już powołanie do służby pracy niemieckiej.

Wybuch wojny przebudził mnie ze snu. Ażeby nie być świadkiem tego, co przeżywała Łódź pod reżymem okupacyjnym, zgłosiłem się dobrowolnie do pracy fizycznej na budowę dróg koło Tropawy w Sudetach. Była to jedyna możliwość ucieczki z Łodzi, bez narażania siebie, bliskich i przyjaciół. Bez „kariery” stanu wojennego. W lagrze koło Tropawy pracowałem do końca 1940 roku, a po kilkudniowym urlopie wcielony zostałem automatycznie do służby wojskowej we Frankfurcie nad Odrą (do orkiestry! pułkowej, z moją szczyptą szczęścia w kieszeni i dzięki aniołowi stróżowi, którego wypatrzyłem sobie w szkole, patrząc przez okno w niebieskie niebo, a nie na czarną tablicę). Taki był koniec (nieprzewidziany, niewymarzony) łódzkiej części mojej biografii.

A potem? Zadomowiłem się w Europie. W przyszłości.

KARL DEDECIOUS — Urodził się w Łodzi 21 maja 1921 r. Tu, jeszcze przed wybuchem wojny, zdał maturę. Wcielony w 1941 r. do Wehrmachtu, walczył pod Stalingradem, gdzie dostał się do niewoli rosyjskiej. Zwolniony w 1950 r., osiadł najpierw w Niemczech Wschodnich, skąd dwa lata później wraz z rodziną uciekł do Republiki Federalnej Niemiec.

Wybitny tłumacz literatury polskiej, a zwłaszcza poezji (m.in. wiersze Cz. Miłosza, T. Różewicza, W. Szymborskiej) na język niemiecki oraz popularyzator polskiej kultury w tym kraju. Założyciel i dyrektor słynnego Deutsches Polen — Institut w Darmstadt. Jednocześnie wysoko ceniony w Polsce i Niemczech (Wielki Krzyż Zasługi z Gwiazdą Rzeczypospolitej Polski i Republiki Federalnej Niemiec). Doktor honoris causa czterech uniwersytetów: kołoińskiego, KUL, łódzkiego i toruńskiego. Laureat prestiżowych nagród: Nagrody Pokoju Księgarzy Niemieckich i Fundacji Jurzykowskiego.

Nigdy nie zapomniał o swoim rodzinnym mieście, którego jest honorowym obywatelem i przewodniczącym Rady Naukowej Ośrodka Badań Niemcoznawczych Uniwersytetu Łódzkiego.

*... Członkowie ziomkostwa pragnęliby do-
czekać się uznania dla pracy swojej i swo-
ich przodków w Łodzi — tylko tyle i aż tyle.*

Janusz Dunin

MIECZYŚLAW GUMOLA

Nad Sprewą i Renem

Styczeń 1945 r. zamknął niemiecki rozdział dziejów Łodzi. Po wojnie tysiące Niemców łódzkich szukało dachu nad głową i pracy w nowej ojczyźnie nad Sprewą, Łabą i Renem. Powrót do Łodzi był dla nich niemożliwy. Zostali pozbawieni obywatelstwa polskiego, a to, czego się dorobili przez dziesięciolecia, uległo konfiskacie. Zatrzymywali się najczęściej we wschodniej części Niemiec, a kiedy stała się ona radziecką strefą okupacyjną, wędrowali na zachód, do strefy amerykańskiej, angielskiej, francuskiej. Najwięcej Niemców z Polski osiadło w Dolnej Saksonii, Północnej Nadrenii-Westfalii, Bawarii i Badenii-Wirtembergii.

1 W Niemczech niewielu miało krewnych. Większość mogła liczyć tylko na własne siły. W nowym środowisku przyjmowano ich nieufnie i niechętnie. Przez wiele lat, do 1955 r., nie uznawano ich obywatelstwa niemieckiego i traktowano jako obywateli polskich. W zniszczonych miastach nie było gdzie mieszkać, gnieździł się więc w barakach i różnego rodzaju mieszkaniach zastępczych. Nie wiadomo było, na jakiej zasadzie przyznawać im renty i emerytury. Wykazywali się jednak zaradnością i hartem ducha. Byli uparci i pracowici, dzięki czemu stopniowo zdobywali akceptację i szacunek otoczenia.

Władze alianckie nie pozwalały na zakładanie stowarzyszeń i organizacji przesiedleńczych, wolno było natomiast działać w ramach struktur kościelnych. W sierpniu 1945 r. powołano „Akcję Pomocy Kościoła Ewangelickiego w Niemczech”. W październiku 1945 odbyło się w Ansbach, gdzie mieściło się kierownictwo Ewange-

licko-Luterańskiego Kościoła w Bawarii, spotkanie pastorów, którzy wraz ze swoimi wiernymi znaleźli się w Niemczech. Doprowadziło to do powołania „Komitetu Pomocy dla ewangelicko-luterańskich Niemców z Polski”. Na czele Komitetu Pomocy stanęli pastory — Paul Otto i dr Erich Dietrich z Łodzi, zaś w Radzie Komitetu znaleźli się pastory ze wszystkich stref okupacyjnych.

Przez lata swojej działalności Komitet Pomocy wystawił tysiące najrozmaitszych zaświadczeń — zastępczych świadectw urodzenia, zawarcia małżeństwa, poświadczenia obywatelstwa. Bogata kartoteka nazwisk z adresami, sporządzona na podstawie spisów w poszczególnych parafiach, umożliwiła wielu ludziom odnalezienie krewnych i znajomych.

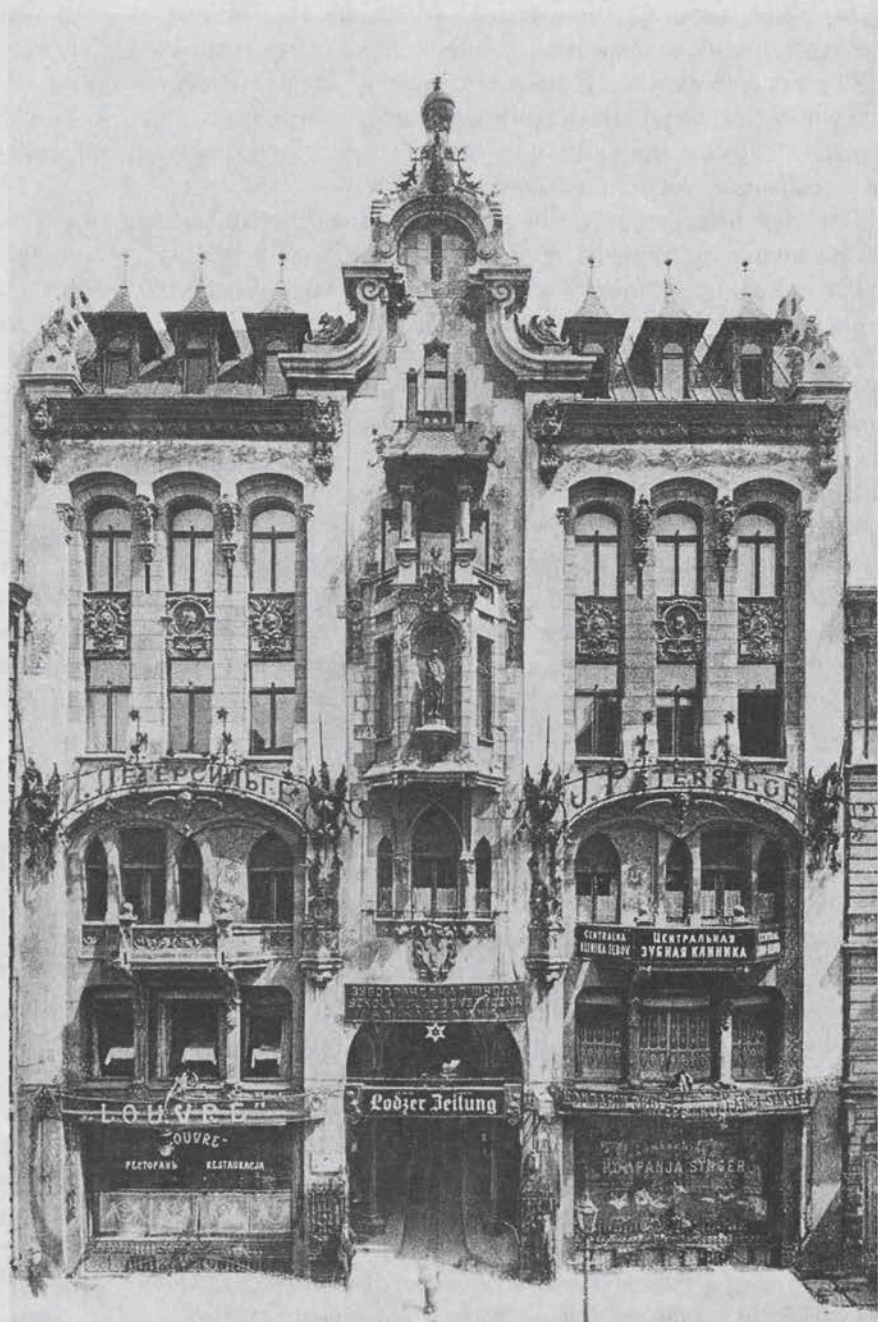
Komitetowi Pomocy udało się nawet doprowadzić do otwarcia przez 20 Łódzian, w pomieszczeniach marynarki wojennej w Wilhelmshaven, własnych przedsiębiorstw. Zajmowano się także rozdziałem skierowań do sanatoriów i domów wczasowych, wysyłką leków, tłumaczeniem różnego rodzaju dokumentów. Komitet Pomocy działa do dzisiaj, od 1986 r. kieruje nim pastor Georg Sichler.

2 Po utworzeniu Republiki Federalnej Niemiec zaczęły powstawać ziomkostwa. Jednym z nich było, powstałe 4 października 1949 r., Ziomkostwo Wisła-Warta (Landsmannschaft Weichsel-Warthe), w którym skupili się Niemcy z poznańskiego, Łodzi i łódzkiego okręgu przemysłowego, Wołynia i Galicji.

Działalność Ziomkostwa Wisła-Warta, jak i innych ziomkostw, była ostro krytykowana przez wszystkie środki przekazu, jakimi dysponowała propaganda komunistyczna. Trudno się temu dziwić, skoro obwieszczały one, że przeciwstawiają się komunizmowi nie tylko we własnym interesie, ale również w interesie wszystkich narodów za żelazną kurtyną. W „Karcie Niemieckich Wygnańców ze Stron Rodzinnych”, przyjętej 5 sierpnia 1950 r. w Stuttgarcie, oświadczono: *Popierać będziemy z całych sił każde przedsięwzięcie zmierzające do utworzenia zjednoczonej Europy, w której narody mogłyby żyć bez strachu i przymusu.*

Pokojowe oświadczenia kłóciły się jednak z wypowiedziami przywódców ruchu ziomkowskiego, szczególnie Górnoślązaków, Pomorzian i z Prus Wschodnich, którzy nie chcieli pogodzić się z realiami powojennej Europy i uznać zachodnich granic Polski. Niechęć wzbudzała też oprawa spotkań ziomkowskich — marsze ze sztandarami, werble i fanfary. Słowem ziomkostwa nie miały ani dobrej prasy, ani dobrej opinii.

Sytuacja ta trwała kilkadziesiąt lat. Kiedy stosunki między Polską a Republiką Federalną Niemiec stały się normalne — po uznaniu istniejącej granicy z Polską w 1990 r. i zawarciu w 1991 r. „Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy” — ziomkostwa również zaczęły się zmieniać. Pragnąłem zobaczyć, jak zmiany te wyglądają w Ziomkostwie Wisła-Warta, dlatego wybrałem się, jako dziennikarz z Łodzi, na 17 zjazd krajowy tego ziomkostwa, który odbywał się 15 i 16 czerwca 1991 r. w Münster — Westfalia. Z bliska ziomkostwo wyglądało zwyczajnie. Jeśli miałbym szukać porównań — podobnie jak koła miłośników folkloru Łodzi, Kalisza czy Opoczna.



Dom Petersilgego, ul. Piotrkowska 86
(ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

3 Szczególnie zapamiętałem nabożeństwo ekumeniczne, na którym do ziomków przemówił franciszkanin Hilarius Breitinger, do 1945 r. mieszkający w Poznaniu. Za przyczynę wszystkich nieszczęść, jakie spadły na Niemców z Polski, tak w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu, uznał ich grzechy wobec Boga i pychę wobec bliźnich. Odkupienie win i zadośćuczynienie powinno więc prowadzić do szukania dróg pojednania z Polską i Polakami.

Dla większości przybyłych na zjazd osób najważniejsze wydawało się spotkanie w dawnym kręgu sąsiedzkim. Zasiadali w dużej sali przy kilku rzędach nakrytych białymi obrusami stołów; na nich ustawiono tekturowe tabliczki z wypisanymi nazwami miast, w których kiedyś mieszkali. Obok największych — Łodzi, Poznania, Lwowa — były i pomniejsze: Krotoszyn, Aleksandrów, Zgierz, Konstantynów i dziesiątki innych miejscowości. Właściwie niewiele rozmawiano, bo cóż nowego można było powiedzieć na 17. już spotkaniu. Chodziło o zaznaczenie swojej obecności, faktu, że jeszcze się trwa, żyje, jest razem z tymi, którzy pozostali i przyjechali do Münster.

Kiedyś, a nie jest to odległy horyzont czasowy, ziomkostwo zniknie. Dorosłe dzieci, ani tym bardziej wnuki nie interesują się tego rodzaju spotkaniami zupełnie, a liczba osób, najczęściej powyżej 70. lat, przyjeżdżających na kolejne, systematycznie maleje. Warto jednak interesować się działalnością ziomkostwa z kilku powodów — skupia ona ludzi wychowanych w Polsce, żywo reagujących na wydarzenia w naszym kraju, preferuje tematy łódzkie, jest aktywne kulturalnie i prowadzi ożywioną działalność wydawniczą.

Na kolejny zjazd Ziomkostwa Wisła-Warta w dniach 18 i 19 czerwca 1993 r. zaproszono prof. Janusza Dunina z Uniwersytetu Łódzkiego, który wygłosił oczekiwany z wielkim zainteresowaniem referat zatytułowany: „Niemcy, Żydzi i Polacy w Łodzi”. Nie pominął w nim spraw trudnych, dotyczących lat wojny, wysiedleń Polaków, a później Niemców. Zdołał sobie sympatię i aplauz słuchaczy. Dyskusja nad jego wystąpieniem, już nieoficjalna, przy piwie, trwała do późnej nocy.

4 Oto obraz Stowarzyszenia przedstawiony przez Janusza Dunina w artykule *Łodzermensche — zapomnieni łodzianie*, opublikowanym w „Gazecie Łódzkiej”:

... Jakimi jawią się ci niemieccy łodzianie? Na pierwszy rzut oka widać, że są już dobrze na nowym miejscu urzędzeni. Spotykają się, by wspominać dawne lata, najchętniej te sprzed 1939 r. Są dumni z pracy i osiągnięć swoich przodków. Z biegiem czasu pamięć upiększa przestrzeń dzieciństwa. Trudno znaleźć tylu patriotów Łodzi, Pabianic czy Zgierza, ilu ich zebrało się w Münster. Wśród blisko 2 tysięcy uczestników zjazdu stanowili oni przynajmniej 500-osobową grupę.

Dotychczas zdołali opublikować wiele wspomnień i opracowań. Stale ukazują się wiele czasopism i książek poświęconych problematyce polsko-niemieckiej. Zebrała się tego spora biblioteka.

Świadomość, że ginie pamięć o nich na świecie, skłoniła do powołania daleko od rodzinnej Łodzi, już przy granicy francuskiej, w Mönchengladbach, instytucji zwanej „Archiwum Niemców z Centralnej Polski i Wołynia”. Byłem zapewne pierwszym polskim naukowcem, który tam dotarł. W kilkupokojowym lokalu złożono setki druków, dokumentów, fotografii i innych przedmiotów. Istnieje też stała wystawa. Mimo szerokiego zamysłu, główny akcent w kolekcji pada na łódzki okręg przemysłowy, imponująca jest kolekcja kart pocztowych z naszego miasta licząca ok. 2 tys. sztuk. Ośrodek wydaje biuletyn zawierający nie tylko wspomnienia i wiersze wyrażające tęsknotę za krajem dzieciństwa, interesujące przyczynki historyczne, ale również teksty w niemiecko-łódzkim dialekcie.

... Członkowie ziomkostwa pragnęliby doczekać się uznania dla pracy swojej i swych przodków w Łodzi — tylko tyle i aż tyle.

Na 19. zjazd, odbywający się 10 i 11 czerwca 1995 r. w Münster, przewodnicząca Stowarzyszenia — Ursula Brehmer, przesłała zaproszenia honorowe dla prezydenta Łodzi — Marka Czekalskiego i wiceprezydent — Elżbiety Hibner. Było to wydarzenie bezprecedensowe — żadne z ziomkostw niemieckich nie zaprosiło dotąd reprezentantów miast polskich na swoje obrady. Poślanie prezydenta Łodzi odczytano z trybuny zjazdu. Oto jego fragment:

Tragiczna wojna oddaliła nas na dystans, który wydawał się nie do przewyciężenia za życia najbliższych pokoleń. W 50 lat po zakończeniu wojny spotykamy się jako sąsiedzi, po obu stronach granicy polsko-niemieckiej. Dobre sąsiedztwo wymaga wzajemnego poznania, wymiany doświadczeń i współpracy w różnych dziedzinach życia. Liczymy, że Państwa znajomość Polski dobrze będzie służyć tym celom. Liczymy także, że sentyment do stron rodzinnych, do Łodzi, przejmą Państwa dzieci i wnuki.

5 Kilka miesięcy później Ośrodek Badań Niemcoznawczych Uniwersytetu Łódzkiego zaprosił gości z Niemiec na sesję naukową, zorganizowaną w dniach 8-10 listopada 1995 r., zatytułowaną: „Niemcy w Łodzi 1823-1939”. Przyjechali m.in. dr Richard Breyer — honorowy przewodniczący ziomkostwa i Ursula Brehmer, obecna przewodnicząca. Dr Breyer wygłosił jeden z kluczowych dla sesji referatów. Natomiast Ursula Brehmer przywiozła ze Stuttgartu wystawę, poświęconą dziejom Niemców łódzkich.

Niemieccy uczestnicy sesji przyjęci zostali przez prezydenta Marka Czekalskiego, a podczas spotkania z rektorem Uniwersytetu Łódzkiego — prof. dr. hab. Michałem Seweryńskim rozmawiali o planach dalszej współpracy naukowej z Łodzią.

Nie wszystko w tych międzyłódzkich i jednocześnie polsko-niemieckich kontaktach jest bezdyskusyjne — tematów trudnych też nie brakuje. Jednak dawną wrogość i podejrzliwość zastępuje dialog. Rozmawiamy ze sobą i mówimy tym samym językiem — po polsku. Możemy się więc porozumieć.

*O mojej to Łodzi
piosenka...*

*Stąd
gdzie wszystkim przyznano balkony
niby pierwsze przyczółki metafizyki*

Krzysztof Smoczyk

Kiedy dzisiaj patrzę na mapę Łodzi, migocze mi przed oczami mapa moich doświadczeń po wiek dojrzały, i czuję, że ta droga — droga moich osobistych przemian — była kręta i zmienna jak stare ulice Łodzi.

Oto ulica Małgorzaty Fornalskiej z połowy lat 60. (dzisiaj Wileńska), stał tam wielki, częściowo drewniany dom nie opodal torów kolejowych, dla kumpli z pobliskich bloków Osiedla Młodych byliśmy „chłopakami z drewniaka”. Po wodę chodziło się do studni, a do wychodka w drugi koniec podwórka. Pamiętam rozległe jeszcze pola, łąki, nawet rosło gdzieś zboże... A były to zaledwie 2 przystanki od dworca Kaliskiego, gdzie znajdowała się unikalna (kto o tym jeszcze wie) sala kinowa czynna non stop, do której można było wejść i wyjść w dowolnej chwili seansu. A kino „Polesie” miało wówczas drewniane krzesła i rozkładane pulpity, które puszczano się w ruch i lekko z ekranu zniknął Winnetou, a pojawiały się czarne cyfry, krzyżyki i trzaski. Za kinem był szpital im. Madurowicza, gdzie pracowała moja mama i dokąd chodziłem kąpać się ukradkiem w prawdziwej wannie. Dopiero jeśli ktoś wybierał się dalej niż do dworca, mówił: „jadę do miasta”. Miałem chyba 12 lat, kiedy ojciec przyniósł niespodziewanie do domu maszynę do pisania — wyremontowana, błyszcząca, z ozdobnym napisem „Torpedo” zaczarowała mnie na wiele lat. Pod koniec podstawówki, odurzony z kolei powieściami fantastyczno-naukowymi, chodziłem na wagary marzyć o innych planetach i cywilizacjach do Parku Poniatowskiego (czyli „Poniatocha”), o wiele większego i bardziej dzikiego niż dzisiaj. Zaszylałem się w krzakach i przewracałem nałogowo kartki z poczuciem, że spoży-

wam zakazany owoc, a moimi towarzyszami byli głównie emeryci i, ciekawe, że chociaż prawie ich wtedy nie zauważałem, to po latach właśnie o nich napisałem wiersz:

X X X

*tę stronę życia porastają obfite parki
nieruchome wodospady ciemniejącej zieleni
bielmo słońca podkrążone późnym zmierzchaniem
czasem jeszcze gwizd pociągu z dalekim wiatrem
lub skrzydła zatoczone w daremny łuk
nad głowami tych co zdjęli już cięciwę
i przy kamiennych stołach grają w damkę*

(z tomu *Porządki*, 1979)

Miałem 16 lat (początek lat 70.), kiedy z rodzicami przeprowadziłem się do kamienicy przy ul. Więckowskiego, co odczułem jako wyjątkowy awans: w domu był telefon, a po remoncie: c.o., osobna toaleta, łazienka, 2 pokoje z kuchnią. Nieprędko zauważyłem, że kamienica jest bardzo wiekowa, z typowym podwórkiem-studnią, gdzie nie rośnie nawet jedna trawka, a do mojego pokoiku na parterze słońce wcale nie zagląda. Odnalazłem tu jednak ślady dawnej świetności: rzeźbione okucie na ocalałej połówce bramy, resztki witraży w oknach na klatkach schodowych, wymyślne sztukaterie na sufitach u sąsiadów. Starsi mieszkańcy mówili, że była to kamienica bogatych Żydów, a po wojnie ogromne wielopokojowe mieszkania podzielono na mniejsze. Tam spędziłem następne 20 lat, w tym burzliwy okres dojrzewania i soczyste lata młodości, pełne artystycznych uniesień. Skończyłem technikum, przeżyłem pierwszą miłość 17-latką, na studiach poznałem grono moich przyszłych przyjaciół i znajomych — niektórzy z nich są dziś dobrze znani mieszkańcom Łodzi. Tam też chodziłem, a właściwie wpadałem w inne światy: do wytwornej szkoły muzycznej na ul. Gdańskiej, skąd często wychodziłem z wypiekami na twarzy, taszcząc gitarę w wielkim pokrowcu, do sąsiedniego Muzeum Sztuki (malowałem i rysowałem myśląc o liceum plastycznym), a wreszcie na wiele lat zatopiłem się w ciszy biblioteki Waryńskiego (dzisiaj Piłsudskiego) — pamiętam tę szczególną porę zmierzchu, kiedy grzybki lampek zapalały się jedna po drugiej, jak gdyby zarażając się nawzajem światłem... Sporo śladów dziwnej i dusznej atmosfery naszego śródmieścia i mojej kamienicy odnajduję dziś w wierszach z tomu *Piękni dwudziestoletni*, np. całą gorączkę początku lat 80. oddaje wiersz *Ogłoszenie*:

*początkującemu poecie oferuję
moje nocne miasto*



fot. Piotr Zdrzyński

*jego wzdętą majaczącą półprzytomną twarz
pokrytą rozdrapanymi przez złe sny
pęcherzami neonowych świateł
z których wyciekają strużki kolorów
i jego oddech zawieszony odstąpię
pełen nieprzetrawionej wódki
i trujących szczątków gazet*

*nade wszystko polecam mu właśnie to miasto
które przyjmuje od nas nocą
w każdym swoim zaułku moc i zwierzenia
i na ściany czynszowych kamienic
występują ciemne plamy
zarysowują się kontury
powstają nieustannie śmiałe szkice
do nie ocenzonej mapy
zbiorowej duszy*

*początkującemu poecie
w mieście moim wynajmę
cztery ściany niepokoju
poduszkę odwróconą na bezsenną stronę*

Moim niepokojom towarzyszyła też narastająca tęsknota do większej samodzielności, czego finał przypomina nieco zakończenie wiersza *Opowieść najstarszego członka samorządu* z 1977 r.:

*(...)
i byli niedowiarkowie
którzy wyjąc
z naelektryzowanymi włosami
z pierzem na ramieniu
z plamą na bucie
uciekali stąd
całymi latami
do bloków*

Tak więc pragnienie to przybrało w końcu postać nowiutkiego, schludnego bloku z wielkiej płyty i mieszkania pełnego światła na drugim krańcu miasta, naprzeciwko rozległych zielonych działek. A moja mama, już po raz drugi wdowa, zamie-

szkała w bloku, który widzę z mojego balkonu. To samo miasto, a jakże wszystko znowu inne. Stąd początek wiersza *Przeprowadzka*, który napisałem w grudniu 1991 r., wręcz odurzony możliwością wyjścia na własny balkon, upojony obcowaniem z wiatrem i niebem, i w tym szczególnym nastroju na tydzień przed świętami:

*stąd
gdzie wszystkim przyznano balkony
niby pierwsze przyczółki metafizyki
a w dali jarzy się trakt i płomyki okien
jak wigilijna choinka olbrzymia
widzę cię mamie lepiej
kruchą i prawie siwą
(...)*

I tutaj, na Widzewie, znów jak w dzieciństwie, mieszkam niedaleko torów kolejowych, wzdłuż których chodzimy z moją żoną Bogusią na długie spacerunki.

Łódź... Teraz myślę, że nie jest mi tu źle. Sam coraz dalej i z boku wielu spraw, żyję w mieście, które nie jest przecież ani przemysłową, ani kulturalną metropolią, ot, nie za duże i nie za małe — w sam raz dla mnie. Często, kiedy jadę przez miasto, widzę bramy, domy, ulice, skrzyżowania, z którymi, wiążą się moje wspomnienia, choć nie czuję, aby m n i e wiązały. Co innego niż taka tożsamość wydaje mi się dzisiaj ważne.

Jednakże, przecież i ja mam do wyśpiewania piosenkę o mojej Łodzi...

Józef Robakowski

Pobyt pierwszy (1949 r.) — to odległe czasy małego chłopca z III klasy szkoły podstawowej. SZKOŁY w starej kamienicy czynszowej, dzisiaj oznaczonej nr 29 na ul. Gdańskiej, z maleńkim podwórkiem, które musiało nam wystarczyć jako boisko do gry w piłkę. Nasze mieszkanie mieściło się w narożnym budynku przy ul. 1 Maja i Gdańskiej (nr 31a), gdzie wraz z mamą i starszym o 3 lata bratem Andrzejem przeżyliśmy cały rok. Rok marny. Pamiętam dokładnie ciągły brak wody, wilgoć i kolejki po słoninę jeszcze przed pójściem do szkoły. Kiedy jednak w 1950 r. wyjechaliśmy do Inowrocławia, gdzie mama otrzymała posadę wychowawczyni w Domu Dziecka, mogłem imponować nowym kolegom w klasie, że przyjechałem z największego miasta w Polsce. ŁÓDŹ była wtedy metropolią, prawie stolicą kraju. Nigdy nie miałem odwagi oddalić się zbyt daleko od ulicy Gdańskiej, gdyż miasto to wydawało się ogromne. Mogłem chwalić się bratem Andrzejem, który zeskoczył dwa razy na moich oczach z wieży spadochronowej na stadionie ŁKS. A również tym, że jest w Łodzi najwięcej kin — bo około 30, że byłem 7 razy na radzieckim filmie *Samotny biały żagiel* w kinie „Młoda Gwardia”. Szczyciłem się też opowieściami o piłkarzach ŁKS (widziałem jak gra Baran) i wyścigach rowerowych, w których startowali bracia Beckowie, itd., itd... Pamiętam do tej pory imponujące, ale przecież absurdalne biegi chłopaków z naszego kwartału dokoła ulic: Gdańskiej, Więckowskiego, Żeromskiego, Próchnika. Mogłem przebiec ten dystans — na tzw. wytrzymałość — 40 razy bez zatrzymania. Był jednak wśród nas RUDY, który potrafił przebiec ten odcinek 60 razy. Zaimponował nawet tym wyczynem starszym kolegom mojego brata. Mój świat intymny kształtowałem razem z Kozłowskim, kolegą z klasy. Po lekcjach konstruowaliśmy u niego w domu pierwsze aparaty projekcyjne do wyświetlania naszych ręcznie malowanych filmów. Miłość do KINA przywiozłem z Gdyni, gdzie moja ciotka była właścicielką kina „Warszawa”. Prowadziłem specjalny pamiętnik, w którym systematycznie zapisywałem swoje pobyty w kinach. Według tego zapisu w 1949 r. widziałem już około 140 filmów. W następnych latach mieszkałem w róż-

nych miastach naszego kraju. O Łodzi przypominał mi zespół mandolinistów pod dyrekcją p. Ciukszy, który grał zawsze w niedzielę o godz. 14⁰⁰ w Polskim Radiu oraz książka *Wicek i Wacek*, którą podziwiali moi koledzy i przyjaciele w latach 60., już w „czasach toruńskich”.

Pobyt drugi (1958 r.) — to czas mojej pierwszej wielkiej porażki. Wymyśliłem sobie, że muszę ponownie zamieszkać w Łodzi z powodu mitycznej Szkoły Filmowej. Do egzaminu na Wydział Operatorski przygotowywałem się bardzo długo. Mój pamiętnik filmowy obejmował już 1400 pozycji. Naprawdę dobrze znałem historię kina. Od paru lat też fotografowałem. Wydawało mi się, że SZKOŁA stoi otworem dla takich jak JA! Podczas przygotowań do egzaminu odwiedziłem Łódź parokrotnie. Odkryłem dla siebie Muzeum Sztuki ze wspaniałą kolekcją „a. r.”, Strzeмиńskim, Kobro, a nade wszystko K. Hillerem z jego zaczarowanymi heliografiami. Zaczęłem też malować tuszami na papierze fotograficznym. Po „wywołaniu” otrzymywałem kolorowe abstrakcje. Zawiozłem cały ten „dorobek” na egzamin. Skończyło się tragicznie, gdyż część komisji podejrzewała, że te prace nie są moje.

Pobyt trzeci (1966 r.). Skończyłem studia muzealnicze w Toruniu. Za mną około 14 wystaw słynnej już toruńskiej grupy fotograficznej ZERO-61, kilka filmów eksperymentalnych zrealizowanych w toruńskiej „Pętli”, studia z historii sztuki, parę artystycznych prowokacji i pewność, że tym razem nikt nie jest w stanie przeszkodzić mi w dostaniu się do wymarzonej Szkoły. Wymyśliłem sobie, że dla zmylenia „przeciwnika” pierwszą eliminację przejdę w Warszawie. Bałem się, że w Łodzi mogą rozpoznać tamtego Robakowskiego, który usiłował kiedyś zdać egzamin „podstawionymi” pracami.

Ku mojemu zaskoczeniu w Warszawie komisję egzaminacyjną prowadził prof. J. Mierzejewski, który już w progu krzyknął: — „Witam cię, mój drogi oszuście!”.

Dostałem się do SZKOŁY, która akurat w tym momencie powoli umierała. Istniał tylko jej wielki mit. Już na pierwszym roku podnieśliśmy larum (rodzaj strajku), że wiele zajęć wypada z programu, a produkcja kuleje z powodu braku dobrej organizacji i pieniędzy. W szkole tworzy się pewnego rodzaju opozycja. Studenci zaczynają działania na własną rękę, uruchamiają np. Koło Naukowe. Jest to w ogóle czas zmian, spowodowanych wydarzeniami politycznymi — Marcem 1968 i w konsekwencji odejściem Rektora J. Toeplitza oraz wielu innych profesorów.

Zakładamy w SZKOLE pierwszą interdyscyplinarną grupę artystyczną pod nazwą WARSZTAT FORMY FILMOWEJ (W. Boruszewski, R. Waśko, P. Kwiek, R. Lenczewski, J. Robakowski, A. Mikołajczyk, J. Kołodrubiec, A. Paruzel, Ł. Czolnowski, K. Bendkowi, J. Freda, A. Różycki, W. Antczak, Z. Rybczyński, J. Szczerek, T. Junak, J. Połom). Jestem przekonany, że był to początek FILMOWEJ SZKOŁY ŁÓDZKIEJ, którą obok tzw. WARSZTATÓW tworzyli mieszkający tu filmowcy, jak np. G. Królikiewicz, B. Dziworski, M. Koterski, A. Barański, Z. Wichłacz,

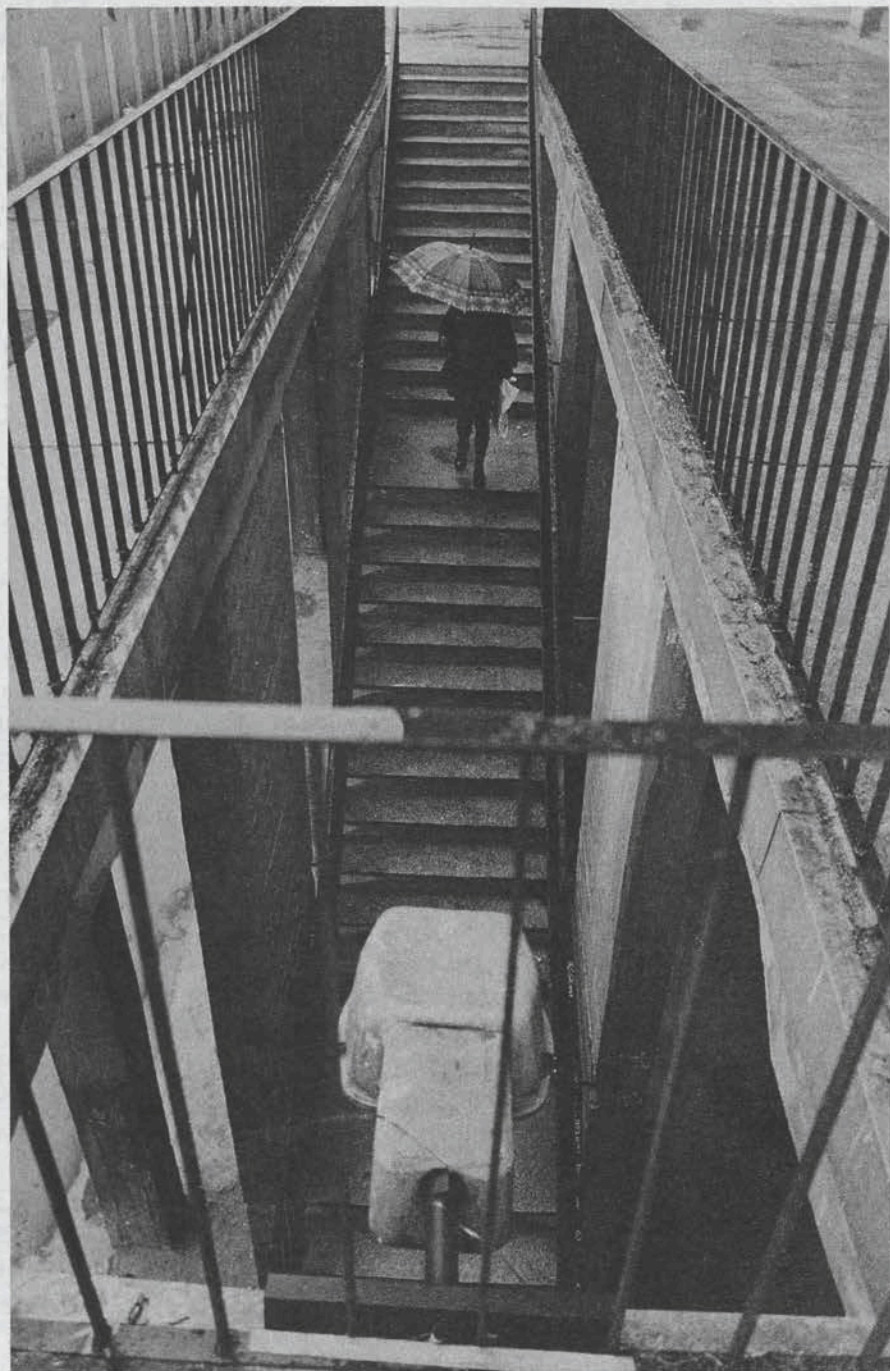


foto. Piotr Zdrzyński

H. Dederko, K. Ptak, A. Wyrozębski, W. Wasilewski, W. Wiszniewski i inni. Grupa realizatorów łódzkich (z ulicy Chełmskiej) podjęła inny sposób realizacji filmów — językiem kreacji metaforycznej. KREACJA ta polegała też na poszukiwaniu nowego języka, sposobu wniknięcia w tzw. zastaną rzeczywistość, ale własnymi, subiektywnymi zdaniami. Bohaterem poszukiwań stał się nie tylko LOS LUDZKI, ale też świadomość samych realizatorów. ICH kontekstualny status w tej społeczności. Dlatego z takim uporem penetrowali oni relację obiektywnego z subiektywnym. Środowisko artystyczne tego miasta wykreowało „osobne rozumienie filmu”, m.in. dzięki wielu innym artystom tu mieszkającym. Zjawisko filmowe traktowane było w Łodzi jako praca artystyczna, a nie tylko interwencja publicystyczna. Olbrzymią rolę odegrali w tym ruchu np. Z. Warpechowski — scenograf wielu filmów, A. Mikołajczyk — współrealizator wielu przedsięwzięć artystycznych, J. Freda — kompozytor i dźwiękowiec, wielu plastyków, fotografów, montażystów oraz autorów scenariuszy, jak np. J. Zagrodzki. Obecnie zabrakło w naszym mieście miejsca dla tych twórców. Umiera życie filmowe, w trudnej sytuacji są łódzkie muzea i inne placówki kulturalne. W okrutnym stanie wojennym udało się „władzom kulturalnym” naszego miasta przetrząść kręgosłup wielu niepodległym twórcom, zabierając im możliwość funkcjonowania. To niesamowite, że do tej pory nie umieliśmy na władzach tego miasta wymusić ambitnie prowadzonej placówki w postaci GALERII MIEJSKIEJ z archiwum, biblioteką i videoteką dorobku łódzkich twórców. Dorobek ten ginie, niszczyje w prywatnych domach, maleńkich pracowniach i przypadkowych, rozproszonych po całym mieście kolekcjach. Łódź można kochać za jej mitologię — jedyne miejsce na ziemi z jej kulturą i sztuką, na którą stać było tych, a nie innych mieszkańców. Szybko „złapmy” ten czas, gdy niektórzy go jeszcze pamiętają!

*Gdy praca człowieka traci sens,
jedynie strajk jest pełnym sensu
zachowaniem się człowieka pracy.*

ks. prof. Józef Tischner, *Kultura pracy*

WOJCIECH GÓRECKI

Strajki robotnicze w Łodzi

w latach 1945-47

(dokończenie)

Rok 1946

W pierwszym miesiącu 1946 r. meldunki WK PPS odnotowały wybuch 9 strajków. Powodem, tak jak i w roku poprzednim, były niskie zarobki i zła aprowizacja — opóźnienia w przydziale dotacji żywnościowych sięgały kilku miesięcy, w styczniu realizowano dotacje za październik poprzedniego roku.

Mnożyły się kradzieże. W sporządzonym przez aktywistów PPS sprawozdaniu czytamy: *Na zebraniach robotnicy oświadczają jawnie, wobec przedstawicieli partii politycznych, jak i Zw. Zaw., że zmuszeni są do popełniania kradzieży z powodu złych warunków zarobkowych i aprowizacyjnych, to zło jest koniecznością ich egzystencji.* Problem ten poruszano także na posiedzeniach plenarnych KŁ PPR: mówiło się tam o zorganizowanych szajkach, o obronie złodziei przez dyrektora jednej z fabryk, o kradzieży 46% produkcji, w innej postulowano wprowadzenie sądów doraźnych. Towarzysz Preliński z Wydziału Przemysłowego KŁ PPR zaproponował, żeby w tej sytuacji *powiesić kilku złodziei publicznie.*

W następnych miesiącach pierwszego półrocza 1946 r. sytuacja nie uległa zasadniczej zmianie: wybuchły 24 strajki (w lutym — 5, w marcu — 13, w kwietniu — 6) i jeśli zdaniem PPS miały one przede wszystkim podłoże ekonomiczne, to według PPR — polityczne. Rzeczywiście: wiosną pojawiły się przesłanki strajków o wyraźnie politycznym charakterze.

* * *

Początek maja przyniósł niepokoje w środowisku studenckim, rozpoczęte obchodami niemile widzianej przez władzę rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. *Po przeprowadzeniu kampanii 1-szo Majowej wróg przystąpił do manifestowania swojej siły na terenie woj. łódzkiego* — referował trzy miesiące później I sekretarz

KL PPR, Ignacy Loga-Sowiński. — *Jednym z pierwszych wystąpień reakcyjnych była próba zorganizowania manifestacji w dniu 3 Maja przez studentów w Łodzi. Próby reakcji zostały udaremnione przez grupy partyjne i ormowskie.*

Sprawę protestu łódzkich studentów należałoby rzetelnie zbadać, gdyż z oficjalnych wypowiedzi na ich temat niewiele, poza ogólnikami, wynika. H. Wachowicz, na posiedzeniu CKW PPS, ograniczył się na przykład do stwierdzenia, że obok strajków ekonomicznych *istnieją również grupy zagadnień politycznych, wśród których na czoło wysuwa się problem akademicki, który urósł do wielkiego zagadnienia politycznego. Strajki studenckie a równocześnie akcja przeciwko dekretowi o reformie uczelni.* Do protestów w środowiskach akademickich (studenci strajkowali w tym czasie także w Gliwicach, Lublinie, Toruniu i Warszawie) ustosunkował się też, na tym samym posiedzeniu, sekretarz generalny CKW PPS, Józef Cyrankiewicz. Powiedział on, że *stanowisko nasze [PPS-u — W. G.] wobec 3 maja powinno być wrogie lub co najmniej obojętne. 3 maja uczy nas, że ośrodki dyspozycyjne NSZ i WiN z lasu przechodzą do akcji w miastach. Młodzież akademicka, tak jak obecnie wygląda, może dać nam kadry sędziów czy prokuratorów typu przedwojennego. Aby ten stan rzeczy uleczyć, wyłoniła się koncepcja energicznego dobrania się do szkół wyższych. Konieczne jest wyciągnięcie konsekwencji z wypadków 3-majowych i relegowanie uczestniczących w nich akademików z wyższych uczelni.*

Wiele wskazuje, że był jakiś związek pomiędzy wspomnianą manifestacją trzeciomaową i łączącym się z nią strajkiem studenckim a strajkami robotniczymi, które wybuchły w tym czasie w kilku fabrykach Łodzi i Pabianic. Loga-Sowiński sugerował, że w obu środowiskach działali po prostu przedstawiciele tych samych „agentur”: po nieudanych próbach strajków studenckich *wrogie elementy przerzuciły swoją uwagę na odcinek robotniczy, szczególnie w Łodzi, Pabianicach i Zgierzu.* Sytuacja nie tylko w Łodzi była dość napięta — zbliżało się referendum (wyznaczone na 30 czerwca) i niewykluczone, iż rzeczywiście miały miejsce jakieś próby skoordynowanej akcji opozycyjnej.

W każdym razie w maju przerwały pracę załogi kilku znaczących przedsiębiorstw. Skala strajków, wszczętych przeciwko nowemu systemowi wynagrodzeń, zdawała się przerastać oczekiwania pepeerowców, którzy nie zdołali ugasić ich własnymi siłami i konieczna była pomoc ormowców. W referacie sprawozdawczym na II Konferencji Wojewódzkiej w Łodzi, 25-26 maja 1946 r., I sekretarz KL PPR, Ignacy Loga-Sowiński stwierdził: *Nie mogą się poszczycić koła partyjne Scheiblera, Biedermana-Eisenbrauna, Geyera tym, że panują nad sytuacją w swoich fabrykach. Niczym nie wykazały one, że są na wyższym poziomie politycznym od reszty robotników. Nasi towarzysze ulegają tym samym wpływom reakcyjnej agitacji. Miały miejsce i takie wypadki, że nasi popierali akcje strajkową, np. na zebraniu koła partyjnego Scheiblera niektórzy towarzysze wykazali całkowitą dezorientację polityczną, odnieśli się nieprzyjaźnie względem tych towarzyszy, którzy wypowiadali się zdecydowanie przeciwko strajkom.*

Strajk miał spory zasięg, gdyż brało w nim udział około 20 tysięcy robotników.

H. Gnatowska wspomina, niestety w jednym tylko zdaniu, o związkach wspomnianego już protestu studentów ze strajkiem tramwajarzy¹. Strajk „na tramwajach” wybuchł z powodu niedotrzymania terminu wypłaty premii i przybrał masowy charakter, mimo że w środowisku tym działały prężne kilkusetosobowe organizacje zarówno PPR, jak i PPS. Protestowi tramwajarzy wiele miejsca poświęcili uczestnicy II Konferencji Wojewódzkiej PPR (25-26 maja 1946), poprawiając sobie nastroje wypowiedziami o zaangażowaniu miejscowego koła PPR, które nie dopuściło do rozszerzenia strajku i opanowania go przez reakcję, o przykładzie, jaki tramwajarze dali całej partii, oczyszczając swe szeregi z wrogich elementów, wreszcie o zatrzymaniu prowodyrów. Istotnie, władze bojąc się, że protest obejmie także pracowników innych służb komunalnych, zdecydowały się zastosować wobec jego organizatorów krótkotrwały areszt (zatrzymano 56 osób). Tego rodzaju represji wcześniej nie praktykowano — były znakiem, że przerwy w pracy długo już tolerowane nie będą (za zorganizowanie podczas tej samej fali protestów strajku u Kruschego i Endera w Pabianicach, na dziesięć lat więzienia skazany zostały niejaki Tadeusz Borowiec).

Na tym samym posiedzeniu skrytykowano PSL, oceniając próbę wniesienia przez jego działaczy sprawy łódzkich Strajków do Komisji Przemysłowej KRN jako celową prowokację. Zdaniem Logi-Sowińskiego przywódcy Stronictwa w *przymierzu z bandytami NSZ i WiN-u, wykorzystując legalność organizacji PSL, próbują przeniknąć do ośrodków robotniczych, siać tu ferment i organizować dywersje strajkowe, prowadząc w niektórych okolicach akcje bandyckie*.

W lipcu nadal dochodziło w Łodzi do strajków robotniczych, co zaprzeczałoby tezom PPR, iż miały one na celu wyłącznie zakłócenie przygotowań do referendum, nie wyklucza jednak politycznego podłoża protestów. 11 lipca, podczas strajku u Scheiblera i Grohmana, pobito w tkalni sekretarza komórki PPS i kierownika kadr. Załoga zakładów Dietzla, która przerwała pracę następnego dnia, wysunęła żądanie polityczne (nie wiadomo, niestety, jakie konkretnie)².

27 lipca 1946 r. członkowie KW i KŁ PPR omówili na posiedzeniu plenarnym strajki, jakie miały miejsce w Łodzi w pierwszym półroczu — ocenili, że były dobrze zorganizowane i w pierwszym rządzie miały na celu podważenie zaufania społeczeństwa do władzy ludowej. Wysunięto pewne wnioski na przyszłość, sugerując że do zażegnania napięć może przyczynić się: 1) zmiana powszechnie krytykowanego systemu wynagradzania przez wprowadzenie dodatkowego protokołu do umowy zbiorowej; 2) obniżka cen artykułów pierwszej potrzeby (mięso, tłuszcz, chleb); 3) zamknięcie sześciu łódzkich lokali rozrywkowych, czego doma-

¹ Helena Gnatowska, *Strajki w Polsce w latach 1945-1947 w świetle dokumentów PRL*. „Z pola walki”, nr 3/1985, s. 108.

² Tamże.



fot. Piotr Zdrzyński

gali się strajkujący robotnicy (podnosili oni, że lokale te są oświetlone całą noc, podczas gdy na halach brakuje żarówek); 4) poprawa sytuacji mieszkaniowej. Obecni na posiedzeniu przyznali, że stosowane w pracy propagandowej metody nie zawsze okazywały się skuteczne.

* * *

W ostatnich sześciu miesiącach 1946 r. strajki robotnicze nadal w Łodzi wybuchaly, a obok postulatów ekonomicznych obecne były i akcenty polityczne. Warto wymienić protesty związane z pogromem ludności żydowskiej w Kielcach, 4 lipca 1946 r. Sprawozdania niektórych zakładów („Hoffrichter”, „Gampe i Albrecht”, „Wólczanka”) sugerowały, iż robotnicy przez strajk chcieli wymusić uwolnienie skazanych za popełnione morderstwa, Loga-Sowiński potwierdzał, że w mieście panują silne antyżydowskie nastroje, obarczając winą za nie „wroga”. Warto przytoczyć dłuższy fragment wywodów I sekretarza KŁ PPR:

Ostatnio wypadki kieleckie dowodzą, że właśnie elementy zacofane, nawet w samej klasie robotniczej, nie są dość odporne, a wręcz odwrotnie, bardzo czułe, na tego rodzaju agitację. Tego dowodzą ostatnie strajki na tle wypadków kieleckich w Łodzi, na fabrykach Łódzkiej Niciarni, Scheibler, Gampe i Albrecht, Kinderman oraz na fabrykach konfekcyjnych Tempo, Zimmerman, Ditzel i Wólczanka. Strajk ten był wybitnym

strajkiem politycznym. Objął on 16 tysięcy osób. Nacisk agitacji antyżydowskiej jest bardzo silny nie tylko w Łodzi, ale w całym łódzkim okręgu przemysłowym. Główne ostrze tej agitacji jest skierowane na Łódź. Prawdopodobnie ze względu na dość dużą ilość zamieszkałej ludności żydowskiej na terenie miasta Łodzi. Ze względu na polityczne znaczenie Łodzi i dość dużą siłę reakcji i chybotliwą skłonność Łodzi w nastrojach, którą poważnie docenia wróg i pragnie wykorzystać dla swoich politycznych interesów. Kontrakcje ze strony partii pokrzyżowały zamiary prowokacji pogromowej w poważnej mierze. To jednak sprawa ta nie została zdecydowanie odparta. Sytuację w Łodzi oceniamy na pogromową, bardzo napiętą. Musi być prowadzona nadal energiczna akcja w kierunku całkowitego rozładowania tej sytuacji. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że wróg dąży właśnie do pogromu antyżydowskiego w Łodzi, rozlewem krwi, byłoby to jego zwycięstwem nad demokracją. Właśnie dlatego z takim naciskiem wróg koncentruje swoją uwagę na Łódź i miasta województwa łódzkiego.

Jesienią przez Łódź i podłódzkie miejscowości przetoczyła się kolejna fala strajków — stają Geyer, Gampe i Albrecht, Union-Textil, Poznański, Eitingon i Widzewska Manufaktura. Postulaty miały charakter ekonomiczny.

Rok 1947

Po wyborach do Sejmu (19 stycznia 1947) w centrum uwagi władzy ludowej znalazły się sprawy ekonomiczne — plan trzyletni stawiał przed krajem zadanie osiągnięcia, przynajmniej globalnie, przedwojennego stanu gospodarczego. Decydująco o obliczu i charakterze Łodzi przemysł włókienniczy miał w latach 1947 i 1948 podnieść produkcję o blisko 70 % w stosunku do poziomu z 1946 r. W noworocznym numerze „Głosu Robotniczego” I sekretarz KŁ PPR, Loga-Sowiński stwierdził, iż *koła fabryczne PPR wypowiedziały nieubłaganą walkę postojom, które wpływają na obniżenie realnych zarobków ludzi pracy i że w trosce o ich dobro Polska Partia Robotnicza prowadzi walkę ze szkodnictwem i kradzieżami, z szabrownikami i spekulacją.*

Ze sprawozdania Wydziału Ekonomicznego KŁ PPR wynika, że podjęta przez łódzką PPR walka nie przyniosła spodziewanych efektów — produkcja przemysłu włókienniczego za styczeń 1947 stanowiła 90,1% produkcji grudnia 1946, mimo, że efektywny czas pracy był dłuższy (192 roboczogodzin w stosunku do 184). Analogiczny wskaźnik odnosił się do wszystkich pozostałych przemysłów. Nastąpił *olbrzymi spadek jakości gatunku I na korzyść II i III, wzrosły ponadto kradzieże i nadużycia w zastraszający sposób, zanotowano kilkanaście postojów.* Dalszemu pogorszeniu uległo zaopatrzenie.

Wydział Przemysłu KŁ PPR upatrywał przyczynę tych niekorzystnych zmian w odejściu części robotników-aktywistów od produkcji i zajęciu się przez nich kampanią przed wyborami do Sejmu (19.01.1947). Zacytujmy fragment tych kuriozal-

nych wyjaśnień: *Analiza produkcji i analiza wyników wyborów przedstawia nam jasno, jak potężny wpływ posiada organizacja łódzka PPR. Odciągnięcie 16 tysięcy członków od pracy zawodowej pociągnęło za sobą natychmiastowe załamanie w planie produkcji tak pod względem ilości jak i jakości. (...) W myśl zarządzeń KC wciągnięto cały aparat administracyjny do przygotowania wyborów, a wzbraniających się podpisywania rezolucji za manifestacyjnym głosowaniem na listę bloku demokratycznego zwolniono z pracy.*

Rzeczywista przyczyna krytycznej sytuacji tkwiła w trudnościach surowcowych. Łączne zapasy bawełny, jakimi dysponowały fabryki i Dyrekcja Bawełniana (instytucja zajmująca się zaopatrzeniem i dystrybucją materiałów), wynosiły w lutym 1100 ton, co wystarczyło na sześciodniową produkcję. W podobnej sytuacji znajdował się przemysł wełniany — prócz wełny brakowało także włókien sztucznych (komponent tkanin wełnianych). Stan ten powodował postoje, co z kolei miało wpływ na zmniejszenie zarobków i rozgoryczenie robotników.

O kłopotach tych rozpisywała się łódzka prasa: *Zasady racjonalnej gospodarki w przemyśle bawełnianym* — pisał „Głos Robotniczy” — *przewidując pracę opartą o minimalne, trzymiesięczne zapasy surowca. (...) Obniżenie zapasów bawełny poniżej minimum grozi po prostu postojami fabrycznymi. (...) Wieczna walka o utrzymanie fabryki w ruchu, prowadzona w gorączkowej atmosferze, zniechęca w końcu i kierowników i robotników powodując ogólne rozprężenie.*

W sprawozdaniu miesięcznym Wydziału Ekonomicznego KW PPR znajdujemy rzetelną, jak się wydaje, ocenę nastroju wśród załóg: *Wytworzona sytuacja jest niezmiernie poważna, wymaga i wymagać będzie od całej Partii (...) olbrzymich wysiłków, by sytuację załagodzić i nie dopuścić do strajków na fabrykach włókienniczych.*

Mimo tych obaw w pierwszym kwartale strajk wybuchł jedynie w PZPB w Ozorkowie. 22 lutego pracę przerwała tkalnia, a 24 lutego przędzalnia. Na ponad 1000 zatrudnionych (w grudniu 1946 r. dokładnie 1059) udział w proteście wzięło około 600 osób (w tkalni 450, strajk trwał 31 godzin, w przędzalni — 150, strajk trwał 13 godzin). Powodem ozorkowskiego wystąpienia były niskie zarobki i wysokie ceny artykułów żywnościowych, obuwia i odzieży. Według Związków Zawodowych strajk wywołała *grupa ludzi reakcyjnie nastawionych, która podburzała robotników i wysuwała coraz to nowe argumenty.*

* * *

Tymczasem sytuacja w łódzkim przemyśle włókienniczym pogarszała się niemal z dnia na dzień — fabryki nie miały z czego produkować. W marcu 1947 r. Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego wysłał na urlopy pięć tysięcy robotników z jedenastu przędzalni (Scheibler, Poznański, Gampe i Albrecht, Steinert, Tietzen, E. Ramisch, bracia Zajbert, Danzinger, Steigert, F. Ramisch i Kroening), którzy pracowali na 342 tysiącach wrzecion. Trudności surowcowe wystąpiły też w prze-

myśle metalowym, chemicznym i gumowym, zakłady stały przed groźbą unieruchomienia.

Pogarszał się stan zaopatrzenia ludności w żywność i opał, gwałtownie wzrosły ceny, w efekcie czego rozkwitła spekulacja artykułami spożywczymi. Dostawy UNRRA, łagodzące wcześniej w pewnym stopniu braki na rynku, skończyły się: organizację tę właśnie rozwiązano.

Na wojewódzkiej konferencji PPS w Łodzi (22 marca 1947) Józef Cyrankiewicza i Henryk Wachowicz poddali krytycznej ocenie sytuację w przemyśle włókienniczym, wskazali na jego złą organizację w dziedzinie zarządzania, na niewłaściwy system premiowy oraz na niską jakość produkcji. Z coraz większym niepokojem wypowiadali się również pepeerowcy: *Obawiamy się — czytamy w sprawozdaniu KŁ PPR za marzec 1947 — że rozładowanie nastrojów tylko przy pomocy agitacji politycznej i dyskusji na kołach [fabrycznych PPR — W. G.] nie da pozytywnych rezultatów, sytuacja z każdym dniem jest poważniejsza i będzie wymagała jakiegoś choćby dorywczego, ale realnego posunięcia gospodarczego.*

W kwietniu doszło do kilku krótkotrwałych strajków w PZPB Nr 1, PZPB Nr 12 i PZPB Nr 19. Ton kolejnego sprawozdania KŁ PPR daleki był od optymizmu i bojowości Logi-Sowińskiego sprzed trzech miesięcy: *Niezadowolenie i odruchy strajkowe, które udało się częściowo przelamać na skutek silnej agitacji i wysiłku partii w związku z przygotowaniem 1-majowym, zyskuje obecnie na sile i zachodzi poważna obawa nawrotu fali strajków. Daje się zauważyć wyraźnie na fabrykach nastroj oczekiwania i szukania oparcia, wobec którego elementy niezadowolenia mogłyby się skoncentrować i wysuwając żądania zastrajkować.*

Stan łódzkiego przemysłu włókienniczego w kwietniu 1947 r. określić można mianem katastrofalnego. Bywało, że zakłady miały zapasy wystarczające za ledwie na jedno- dwudniową produkcję. Nie lepiej zabezpieczenie surowcowo-materialowe wyglądało w zakładach innych branż.

Gwałtownie wzrosły wolnorynkowe ceny zboża — żyto zdrożało do 4500 zł, pszenica do 7000 zł za kwintal, przy jednoczesnym ustaniu podaży po cenach urzędowych (odpowiednio 2700 i 4600 zł). *Wobec olbrzymiej zwyczajki cen zboża przewidywać należy zwyczajkę cen chleba i mąki, na co ze względu na panujące nastroje na fabrykach pójść nie możemy, mogłoby to wywołać falę strajków* — odnotowano w sprawozdaniu KŁ PPR.

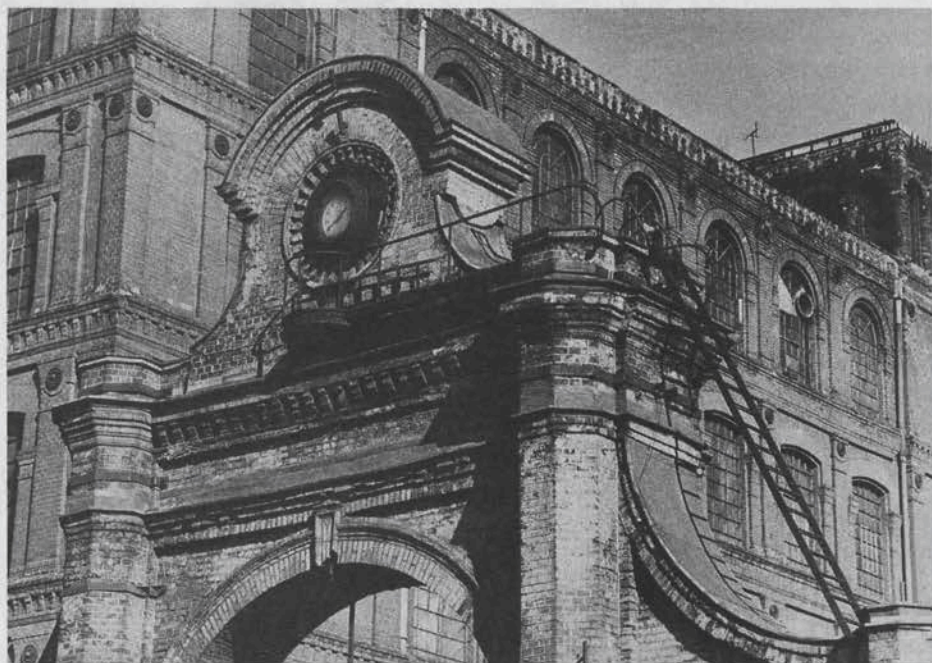
W maju miały miejsce strajki w PZPB Nr 17 (strajkowało przez 5 godzin około 500 robotników) i w Textil-Union (około 400 robotników przez 4 godziny). W ocenie Wydziału Przemysłowego KŁ PPR wybuchły one na podłożu ekonomicznym, nie były zorganizowane i odbywały się w atmosferze przygnębienia i obojętności.

W czerwcu 1947 r. Wydział Przemysłowy KŁ PPR na wniosek swojego I sekretarza, Logi-Sowińskiego, zdecydował o wstrzymaniu zapowiedzianej już akcji przechodzenia załóg fabrycznych na obsługę większej liczby maszyn, uznając że może to

nastąpić nie wcześniej jak 1 sierpnia (faktycznie nastąpiło we wrześniu), po uprzednim przygotowaniu technicznym (zapewnienie jakościowo dobrego surowca i innych materiałów, fachowej obsługi majsterskiej itp.) i „politycznym” (uzgodnienie sprawy z PPS i mobilizacja obydwu partii). Indywidualne decyzje o wcześniejszym przejściu na „zwiększoną obsługę” były zupełnie dobrowolne, ale podejmowało je niewielu robotników, mimo iż zapewniano im surowce (a co za tym idzie — ciągłą pracę i większe zarobki) i obsługę techniczną. Osoby takie traktowane były przez resztę załóg jako „nadgorliwcy”, a sam pomysł spotkał się z jak najgorszym przyjęciem. W sprawozdaniu pepeerowskiego Wydziału Przemysłowego zanotowano: *Z dotychczasowej praktyki przeprowadzenia akcji widzimy po pierwsze wrogą agitację elementów reakcyjnych, a częściowo i PPS (PZPB Nr 3), przeciwko akcji jako argument wysuwany jest slogan, że „nawet za sanacji nie obsługiwaliśmy takich ilości maszyn”.*

W czerwcu na niewielką skalę przeprowadzono wspomnianą akcję w PZPB Nr 1 i PZPB Nr 2 (załogi przyjęły ją ze spokojem) i w PZPB Nr 21 (odnotowano dwunastogodzinny strajk).

Krótkie, kilkugodzinne strajki na tle płacowym miały w tym miesiącu miejsce także w PZPB Nr 5, PZPB Nr 12 i PZPW Nr 26. Drugim powodem przerywania pracy była zła jakość surowca — kiepska bawełna powodowała spadek produkcji i obniżenie jakości wyrobów, co powodowało niewywiązywanie się z umów ekspor-



fot. Piotr Zdrzyński

towych. Przykładem może być odrzut przeznaczonych dla ZSRR tkanin bawełnianych, zdyskwalifikowanych z powodu nieodpowiednich parametrów wytrzymałościowych.

W lipcu i sierpniu do strajków nie dochodziło, w fabrykach miały jednak miejsce liczne zatargi. Za ich przyczynę Wydział Społeczno-Zawodowy WK PPS uznał *przede wszystkim niewłaściwe stosowanie norm pracy, złe określenie premii indywidualnych i zespołowych, niedostarczanie robotnikom węgla deputatowego zagwarantowanego umową.*

* * *

Z dokumentów PPS i PPR wynika, że partie te różniły się w podejściu do problematyki gospodarczej, między innymi do założeń planu trzyletniego w przemyśle i sposobów jego wykonania. Międzypartyjna narada gospodarcza, odbyta 2 sierpnia 1947 r. w Łodzi, zakończyła się co prawda przyjęciem wspólnej rezolucji, określającej zadania PPR i PPS w realizacji planu, stanowiska jednak pepeerowców i pepeesowców nie uległy zbliżeniu. Działacze PPS uważali, że założenia planu są nierealne i nawet przy wprowadzeniu *drakońskich zarządzeń* nie zostanie on wykonany. Dlatego też należy go urealnić poprzez *odpowiednie usprawnienia, których dotychczas nie było (...) abyśmy mieli pewność jego realizacji przy najmniejszym wysiłku robotników. (...) I wtedy we wspólnej walce zrealizujemy go.* Z kolei działacze PPR byli zdania, że plan produkcyjny jest w pełni realny, nie zachodzi więc potrzeba „urealniania” go. Ich zdaniem sprawa najbardziej pilna to podjęcie wspólnego wysiłku, aby *zmobilizować załogi robotnicze do bardziej wydajnej pracy.*

Owa „mobilizacja załóg” to, jak się okazało, propozycje przedłużenia dnia roboczego do 12 godzin lub wprowadzenia pracy w niedzielę. Wywołało to protesty wśród robotników i ostrą reakcję Henryka Wachowicza, który na posiedzeniu Prezydium CKW PPS, 9 września 1947 r., skrytykował pepeerowców nie tylko za sam pomysł, lecz także za nieprzekonsultowanie go z jego partią i ze związkami zawodowymi: *Próbowano sztucznie wywołać spontaniczny nastrój za przedłużeniem dnia pracy. To przyniosło wręcz odwrotny skutek — wielkie zamieszanie i rozgoryczenie klasy robotniczej.*

* * *

Do pomysłów z przedłużeniem dnia bądź tygodnia pracy już nie wracano, natomiast, aby ratować zagrożony plan trzyletni oraz odrobić zaległości produkcyjne, spowodowane brakiem surowca w pierwszym półroczu, powrócono do wspomnianej już, zapoczątkowanej w czerwcu akcji przechodzenia na obsługę zwiększonej liczby wrzecion i krosien, czyli na tzw. system wielowarsztatowy. Stało się to jedną z przyczyn największej w latach 1945-47 fali strajków, jaka ogarnęła Łódź.

Wszystko zaczęło się w PZPB Nr 2: dyrekcja firmy, chcąc zapewnić 16 prządom, które jako pierwsze podjęły pracę w systemie wielowarsztatowym, jak najlepsze warunki, udostępniła im najlepiej na oddziale przędzalni cienkoprzędnej oświetloną halę, wyposażoną w najlepsze maszyny; zatrudnione tam dotychczas pracownice przeniesiono na inne, gorsze stanowiska pracy. Spowodowało to zdecydowany opór większości robotnic, które bały się, że po pewnym czasie wszystkie będą musiały przejść na zwiększoną obsługę maszyn.

H. Wachowicz relacjonował: *Wypowiedzi były przeważnie następujące: nie mamy sił pracować na 2 krosnach i na 2 stronach, skąd mamy mieć siły, aby pracować na 4 i 5 krosnach (tkalnia) bądź też na 3 lub 4 stronach (przędzalnia). Argument, że jeśli ktoś nie chce, czy nie może, to nie musi pracować na zwiększonej ilości maszyn, trafiał w próżnię, gdyż powszechnie raczej były nastroje, że na początek to mówi się o ochotnikach (czkach), a po pewnym czasie — stanie się to regułą obowiązującą wszystkich. Argument, że kto będzie obsługiwał większą ilość maszyn, będzie więcej zarabiał — traktowano podobnie jak i pierwszy: powinniśmy i teraz zarabiać tyle, ażeby wystarczyło nam na życie, jak przejdziemy na większą ilość maszyn, to później zostaną zwiększone normy i zarobimy tyle, co teraz na 2 stronach lub 2 krosnach.*

Strajk rozpoczął się 13 września, przed południem — stanęła przędzalnia, stopniowo dołączały się inne wydziały. Wachowicz sugerował, że strajk nie wybuchnie spontanicznie, jednak nie udało się wyłowić właściwych organizatorów: *Jest rzeczą charakterystyczną, że o ile np. przed wojną wybuchł strajk, to administracja prawie natychmiast знаła nazwiska organizatorów strajku, obecnie z dużym trudem ustalono i to w poszczególnych tylko wypadkach, nazwiska agresywniejszych jednostek, a nie właściwych organizatorów strajku.*

Zakłady PZPB Nr 2 (Poznańskiego) uchodziły przed wojną za bastion chadecji. Henryk Wachowicz napisał, że firma ta znana była wówczas *jako fabryka łamistrąjkowska. Fabryka ta z uwagi na skład w administracji (...) i wybitnie klerykalne poglądy robotników zwana była Częstochową.* Lider łódzkiego PPS zdawał się sądzić, że miało to związek z wypadkami we wrześniu 1947 r.

15 września pracę przerwały przygotowalnie, następnego dnia tkalnia. Strajkowało wtedy już 4500 robotników, przeciwnych protestowi nie dopuszczano do pracy. 18 września miało miejsce „zajście” (sprawozdanie PPS nie precyzuje, o co dokładnie chodziło) pomiędzy jedną z kobiet a funkcjonariuszem PPR, co spowodowało szerzenie się plotek o rannych, o pobitych, wśród których miały być ciężarne, a nawet o zabitych. Sytuacja zaostrzyła się. Na znak solidarności zastrajkował I i II Oddział PZPB Nr 2, oraz PZPB Nr 8, zatrudniające łącznie ponad 2700 robotników. 18 września wieczorem odbyła się narada przedstawicieli KŁ PPR i WK PPS, na której postanowiono wezwać pod rygiem organizacyjnym członków partii z protestujących zakładów, aby następnego dnia przystąpili od rana do pracy. Dla zapewnienia im bezpieczeństwa postanowiono nie wpuścić strajkujących na teren fabrycz-

ny. Wypadki zaczęły się jednak wymykać spod kontroli — do strajku przystąpiły następne zakłady.

Wieczorem 19 września strajkiem objętych było już 12 fabryk, zatrudniających około 21000 robotników (w proteście brało udział prawie 14000 osób). Wieczorem 20 września stało już 17 zakładów, a liczbę uczestników strajku szacowano na około 26 tysięcy robotników.

Od 23 września strajk zaczął wygasać, a w dniu następnym rozpoczęły pracę wszystkie dotychczas unieruchomione fabryki.

Straty były poważne. Nie wyprodukowano 90561 kg przędzy i 859746 mb tkanin, co równało się sumie 70852043 zł.

W okresie trwania strajków żadna z wychodzących w Łodzi gazet nie zamieściła o nich nawet najmniejszej wzmianki, 21 września natomiast wszystkie tytuły poinformowały o odbytej poprzedniego dnia naradzie aktywu PPR i PPS przemysłu włókienniczego. Ani w relacjach z narady, ani w przyjętej przez jej uczestników rezolucji nie wspomniano nic o trwających 10 dni strajkach. Mowa była o tym, iż *agenty przy pomocy szeptanej propagandy prowokacyjnych plotek usiłują siać ferment, a robotnicy dając posłuch warchołom i agentom wroga narażają siebie i swe rodziny na biedę i niedostatek, fabrykę Poznańskiego zaś (PZPB Nr 2) określono przedmiotem wicherzeń strajkowych.*

KW PPR informował Komitet Centralny, w sprawozdaniu sygnowanym jako tajne, o interesujących się strajkiem łódzkich dziennikarzach: *Charakterystyczne są wypowiedzi niektórych pracowników „Kuriera Popularnego” w związku z akcją strajkową, która miała miejsce w poprzednim miesiącu sprawozdawczym [we wrześniu 1947 — W. G.] w Łodzi. Z-ca nacz. redaktora, Pokorski, ubolewał np., że „u nas dużo mówi się o strajkach za granicą, ale nic się nie mówi o tym, co dzieje się w Polsce. Wprawdzie redakcja otrzymała Biuletyn Informacyjny, ale zaznaczone jest na nim, że wiadomości te nie są do publikacji. Chciałoby się coś napisać, ale cenzor zaraz obetnie, a samemu znajdzie się na indeksie UB”. Drugi współpracownik, Kosiński, dodał do tego, że on prawdy o tym, co się dzieje w Polsce, dowiedział się dopiero podczas 2-tygodniowego pobytu w Anglii, gdzie istnieje faktyczna wolność słowa.*

Ze sporządzonych przez komitety PPR i PPS sprawozdań wynika, że w strajkach brało udział wielu członków obydwu partii (dokładna liczba jest trudna do ustalenia). Egzekutywa KŁ PPR, 10 października 1947 r., postanowiła usunąć z partii 25 członków (w PZPB Nr 2—6, w PZPB Nr 4—7, w PZPB Nr 5—3, w PZPB Nr 8—5, i w PZPB Nr 9—4). Stwierdzono, że *towarzysze ci pod wpływem wrogiej propagandy kolportowali reakcyjne plotki, agitowali za strajkiem, prowadzili wrogą kampanię przeciwko tym, którzy w najlepszym zrozumieniu interesu klasy robotniczej nie przerwali pracy. Towarzysze ci strajkując poszli za głosem szeptanej propagandy wrogów Polski Ludowej, za głosem płatnych agentów kapitału podziemia, szpiegów i dywersantów. Działali oni na szkodę robotników, którzy porzucając pracę obniżali zarobki własne, oraz na szkodę odbudowującego się państwa Ludu Pracującego.*

Poddali się wichrzycielskiej robocie reakcji w momencie, kiedy na każdym członku Partii spoczywa obowiązek przeciwdziałania, przeciwstawienia się warchołom klasy robotniczej. Ludzie, którzy sprzeniewierzyli się i splamili honor Partii, nie mogą być jej członkami.

Inne stanowisko zajął WK PPS, który w sprawozdaniu przekazanym do Sekretariatu Generalnego CKW informował: *Nie uważaliśmy za słuszne wydalać z Partii administracyjnie poszczególnych robotników, gdyż w takiej sytuacji więcej da nam akcja uświadamiająca i wykazanie błędów, niż wydalenie publiczne kilku robotników za samo przerwanie pracy. Wydalenie z Partii będzie omówione na kole partyjnym — jako sprawa przykładowo-poglądowa i to da więcej korzyści Partii i bardziej utrwali się w świadomości pozostałych członków partii. Mechaniczne wydalenie — niewiele by dało, szczególnie w okresach nienormalnych stosunków — podniecenia strajkowego.*

* * *

Tak zakończył się strajk, będący w pierwszych latach władzy ludowej największym protestem nie tylko w Łodzi — trudno znaleźć w tym czasie analogiczne wydarzenia w innych miastach. Nie jest sprawą jasną, jak udało się strajk ten zgasić; wiele wskazuje, że wystarczyła silna agitacja wśród załóg, zawierająca pewne groźby. Rzeczą charakterystyczną było pojawienie się wzywających do strajku plakatów, znajdujących przed fabrykami, które się jeszcze do protestu nie przyłączyły: może to być — wobec znacznej atomizacji i dezintegracji środowisk robotniczych — pewna poszlaka wskazująca na sprowokowanie zajęć przez jakąś działającą w podziemiu grupę³.

Zakończenie

Kariera Łodzi zaczęła się w latach 20. ubiegłego wieku. W roku 1821 powołano do życia osadę fabryczną z przeznaczeniem na przemysł włókienniczy. Przedsiębiorcom zaoferowano działki i korzystne kredyty, dla chłopów z okolicznych, przeludnionych wsi pojawiła się możliwość pracy. W latach 80. miasto liczyło 120 tysięcy mieszkańców, tuż przed wybuchem pierwszej wojny — 600 tysięcy. W tempie rozwoju dorównywało mu jedynie Chicago.

Historia miasta i jego specyfika (wielonarodowość i wielokulturowość, wielki przemysł, karykaturalne wręcz kontrasty (ogromna nędza i wielkie bogactwo) wpły-

³ APŁ, zespół „WK PPS”. Dział Ekonomiczno-Przemysłowy. Sprawozdania dotyczące strajków w zakładach produkcyjnych. Rok 1945-1948. sygn. 22/XIV/41. Sprawozdanie sekretarza wojewódzkiego PPS do Sekretariatu Generalnego Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS, L. Dz. 239/op. Sekr./47. z 6 października 1947 r.

nęły na ukształtowanie się niezwykłego i nie występującego nigdzie indziej typu robotnika — odważnego, walczącego o swoje, interesującego się polityką, ale na swój sposób „wykorzenionego” — Łódź nie mająca miejskich tradycji składała się niemal wyłącznie z przybyszów. U progu niepodległości miasto stało się twierdzą polskich socjalistów, jednak prawem nieuniknionego paradoksu stało się również ostoją ruchu narodowego — sympatie rozkładały się właśnie dwubiegunowo.

W 1936 r. PPS zatriumfowała w wyborach do Rady Miejskiej, tworząc samorząd określany w rozmaitych publikacjach mianem „czerwonego”. Wprawdzie minister spraw wewnętrznych nie zatwierdził wytypowanego przez radnych na prezydenta miasta Norberta Barlickiego, rozwiązał RM i wprowadził zarząd komisaryczny, jednak w kolejnych wyborach, w 1938, pepeesowcy powtórzyli sukces.

* * *

Ta przydługa dygresja ma za zadanie pomóc w umiejscowieniu wydarzeń lat 1945-47 w pewnym ciągu czasowym, bez świadomości którego nie da się w moim przekonaniu dobrze ich zbadać. Łódź, której tkanka miejska w porównaniu z innymi ośrodkami ucierpiała w czasie II wojny stosunkowo mało, weszła w okres władzy ludowej z poważnym uszczerbkiem ludzkim — przed wojną wśród 700 tysięcy mieszkańców Łodzi było 200 tysięcy Żydów i prawie 100 tysięcy Niemców. W roku 1945 zostało 300 tysięcy łodzian, prawie samych Polaków. Jeśli w omawianym okresie strajki wybuchały bardzo często, to tłumaczenie tego faktu tradycją takich wystąpień wydaje się uproszczeniem — analogia, w zmienionej sytuacji narodowościowej, nie może być pełna.

Duża liczba strajków dowodzi w moim przekonaniu optymizmu łódzkich robotników. Optymizmu nie w rozumieniu potocznym — trudne warunki materialne, drożyzna, za wysokie normy w pracy, wszystko to nie sprzyjało spoglądaniu w przyszłość z ufnością. Miał za to miejsce optymizm polegający na wierze, że w tym nowym ustroju jakoś będzie można żyć. Wiadomo, że strajk podejmuje się po to, aby coś osiągnąć, coś dla siebie wywalczyć, i nie ma powodu sądzić, że w Łodzi w drugiej połowie lat 40. przerywano pracę z innych przyczyn. Nauka, że w nowych warunkach niczego się w ten sposób nie osiągnie, zajęła dwa lata.

W okresie tym robotnicy w pierwszym pokoleniu stanowili już w Łodzi zdecydowaną mniejszość: przeważali tacy, których ojcowie, a często i dziadowie, wykonywali podobne zajęcia, nieraz w tej samej fabryce. W cenie było przywiązanie do miejsca pracy, rzetelność, uczciwość i pewien konserwatyzm — do niedawna jeszcze mało który przedstawiciel starszego pokolenia nazywał dawno upaństwowione zakłady inaczej niż imieniem dawnego właściciela.

W latach 1948-56 strajków w Łodzi nie było, bo być nie mogło, nastąpiły jednak w łódzkim przemyśle ogromne zmiany demograficzne — stworzenie na mocy decyzji z okresu pierwszych pięciolatek bezprecedensowej industrialnej monokultu-

ry doprowadziło do jego sfeminizowania. W efekcie podczas kolejnych tzw. „zakrętów historii”, Łódź sytuowała się raczej w ariergardzie fal protestów — wielka liczba pracujących kobiet powodowała, że miasto potrafiło znieść więcej niż inne ośrodki i kiedy podejmowano tu strajk, tzn. kiedy decydowały się przerwać pracę obarczone domem i dziećmi łódzkie prządki, szwaczki i tkaczki, znaczyło to, że już jest naprawdę źle. Tak było w roku 1971 i w 1980, kiedy Łódź stanęła na końcu. A w roku 1981 włóknianki tłumnie uczestniczyły w „marszach głodowych”.

Strajki łódzkie z lat 1945-47 nadal czekają na opisanie, być może w kontekście szerszym, obejmującym po pierwsze inne, nie tylko robotnicze środowiska (np. studentów), po drugie — protesty w pozostałych wielkich ośrodkach miejskich. Opracowanie takie mogłoby stać się częścią również nie napisanej jeszcze „strajkowej historii PRL”.

* Niniejszy tekst stanowi dokończenie artykułu W. Góreckiego pod takim samym tytułem, zamieszczonego w numerze 2/95 „Kroniki Miasta Łodzi”.

* Całość przygotowana była na seminarium prof. Krystyny Kersten „Społeczne i kulturalne aspekty transformacji 1944-1945”.

* Ponieważ „Kronika” nie jest pismem naukowym, redakcja zrezygnowała z wielu przypisów, ograniczając je wyłącznie do niezbędnych.

ANDRZEJ MAJER

Bieda wielkiego miasta

Nie ma, jak sądzę, żadnej dobrej definicji biedy. Jest ona zarówno zjawiskiem, jak pewnym stanem lub cechą. Twierdzenie (przykładowo): „Łódź jest biednym miastem” może opierać się jedynie na odczuciu lub też na solidnej podstawie empirycznych badań. Kłopot z ustaleniem znaczenia bierze się stąd, że „bieda” jest pojęciem niejednoznacznym i relacjonalnym — czyli takim, którego sens daje się określić jedynie w przybliżeniu oraz przez odniesienie do innych, związanych z nim pojęć — mierników. Nie zagłębiając się w metodologię ustalania pojęć niejednoznacznych, można mówić o biedzie zwanej przez badaczy społecznych „absolutną”, co oznacza całkowitą niemożliwość zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych (wyżywienie, mieszkanie, ubranie się, wykształcenie dzieci itp.) oraz „biedzie względnej” — czyli standardzie życia ubogiego według miar obowiązujących w danym społeczeństwie przy jego aktualnym poziomie życia.¹ Nie tylko z powodu sygnalizowanych tu trudności, zawsze należałoby rozpatrywać kwestię biedy w sposób wyważony, to jest możliwie bez emocji lub tym bardziej nie z pozycji doktrynalnych.

Twarze biedy

Bieda, po pierwsze, jest nieodłączna od ustroju, który zaczęliśmy niedawno w Polsce odbudowywać (dla wyjaśnienia — istniała również w poprzedniej formacji, przybierając tylko nieco inne kształty). Z samej istoty kapitalizmu biorą się nierówności społeczne, których górny pułap określa się mianem bogactwa, a dolny — biedy. Nie da się zatem „zlikwidować biedy” ani „znieść bogactwa”. Ka-

¹ W. Warzywoda-Kruszyńska, J. Leder, *Łódzka bieda*, (w:) *Zbiorowości terytorialne i więzi społeczne*, p. red. P. Starosty, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, 1995, s. 136-137.

pitalizm rozważa jedynie sposoby ograniczenia rozmiarów biedy w społeczeństwie lub różne formy pomocy osobom biednym, pamiętając że jest to zjawisko permanentne i nieusuwalne.

Po drugie, **bieda jest względna**. W Polsce nie jest tym samym, czym bywa w najbogatszych krajach świata. Różni się też od biedy umierającej z głodu i chorób ludności krajów afrykańskich. Są w naszym kraju regiony w wyraźnie lepszej sytuacji ekonomicznej, w których bieda jest mniejsza, przynajmniej w sensie statystycznym, niż np. na obszarze Ściany Wschodniej. Są wreszcie różne miary bogactwa lub dostatku, do których możemy przykładać niejednakowe wyznaczniki biedy (jak wiadomo, bogactwo i bieda są syjamskimi braćmi — jest się zamożnym na tle biedaków lub odwrotnie). Paradoks biedy w dzisiejszej Polsce polega między innymi na tym, że im lepsze wskaźniki rozwoju gospodarczego kraju i wyraźniejszy awans całego społeczeństwa, tym bardziej się ono rozwarstwia; innymi słowy — im wyżej podnosi się poziom życia, tym bardziej zaznaczają się na jego tle wszyscy od niego odstający, czyli biedni. W 1993 r. (według oficjalnych statystyk) ponad 40% gospodarstw domowych żyło poniżej przyjętego w Polsce poziomu zwanego „minimum socjalnym”, oznaczającym ilość środków umożliwiających zaspokojenie podstawowych potrzeb. Niezależnie od wielu możliwych liczbowych ujęć, pauperyzacja w Polsce jest faktem najlepiej widocznym w świetle blisko 380% dynamiki wzrostu liczby osób korzystających z różnych form pomocy społecznej w latach 1989-92. Czym innym, w sensie ilościowym, a zwłaszcza pod względem cech jakościowych, jest zjawisko biedy w mieście w stosunku do biedy wiejskiej. W najwyżej rozwiniętych krajach, jak USA, dysproporcja między biedą skoncentrowaną w mieście i na wsi jest znaczna — na około 20% Amerykanów żyjących w ubóstwie, 67% skupiało się w miastach.

Po trzecie, **bieda ma wiele postaci, obejmuje różne drastyczne sytuacje, w jakich znaleźć się mogą ludzie**. Na formację biedy składają się: bezrobocie, bezdomność, niepełność i patologia rodzin, przemoc domowa, kolor skóry, który z całą pewnością jest czynnikiem biedy w społeczeństwach wielorasowych, pochodzenie etniczne lub nawet wyznanie religijne (np. konflikt w Ulsterze ma u podłoża dyskryminację warunków życiowych na tle różnic religijnych, podobnie jak tragiczna wojna w Bośni). Jest bieda emeryta z najniższą rentą, bez możliwości pomocy z zewnątrz i bieda narkomana, który musi pozbyć się wszystkiego by zdobyć swoją działkę.

Według oficjalnego raportu nt. sytuacji w amerykańskich dużych miastach z 1992 r. istnieje kilka głównych obszarów szeroko pojmowanej patologii społecznej i formacji biedy:

- * dyskryminacja rasowa i etniczna,
- * warunki mieszkaniowe (w tym wypadku tzw. slumsy),
- * ubóstwo — populację Amerykanów żyjących w warunkach ubóstwa oficjalne statystyki określały na 13% w 1990 r., w rzeczywistości może to być około 15% obywateli światowego supermocarstwa!

* choroby (ponad 11% Amerykanów nie korzysta z żadnej formy ubezpieczenia medycznego, a spośród pozostałych 35% nie stać na pokrywanie kosztów leczenia),

* bezrobocie,

* niskie płace — problem szczególnie drastyczny w dużych miastach, skąd uciekł przemysł,

* brak możliwości zdobycia wykształcenia (blisko 25% absolwentów publicznych szkół miejskich w ubogich dzielnicach to półanalfabeci!),

* zaburzenia życia rodzinnego (wystarczy powiedzieć, że blisko 2/3 przychodzących dziś na świat czarnych Amerykanów jest owocem związków pozamałżeńskich),

* przestępczość; począwszy od pojedynczych rabunków ulicznych po zorganizowane gangi, dotycząca głównie — choć nie wyłącznie nie-białej ludności miast (np. ponad 1/4 Murzynów w wieku 20-30 lat stale niemal siedzi w więzieniach).

Po czwarte, **bieda może być przejściowa lub stała**. Popadnięcie w stan biedy bywa rezultatem utraty pracy lub nieszczęśliwego splotu okoliczności, po których możliwe jest odzyskanie statusu względnego dostatku. Nawet jednak w najwyżej rozwiniętych krajach świata istnieje zawsze pewna część społeczeństwa żyjąca w stanie biedy z powodu chronicznego, niezawinionego przez siebie braku szans na lepsze życie (np. postęp technologiczny wciąż powiększa zastępy biedaków redukując ich miejsca pracy). Jest również część społeczeństwa — wybitny polski socjolog Florian Znaniecki nazywał ich „beznadziejnymi proletariuszami” — dla której bieda jest stylem lub niekiedy sposobem życia. Najczęściej nie polega to na ich swobodnym wyborze, ale na dziedzicznym obciążeniu syndromem biedy, np. takim, jaki staje się udziałem dzieci przychodzących na świat w spauperyzowanym lub patologicznym środowisku. Mają oni ograniczone szanse na wyrwanie się z niego (myślę tu o reprodukowaniu się biedy, zjawisku dobrze znanym np. w dużych miastach Zachodu, w których dziecko z biednej rodziny nie ma szans na naukę w dobrej szkole i w rezultacie na otrzymanie dobrej pracy; w ten sposób może być naznaczone syndromem ubóstwa do końca swojego życia).

Po piąte, **bieda zależy od ludzi** — ich zaradności życiowej, umiejętności lub chęci przetrwania, poziomu potrzeb czy oczekiwań wobec życia, a niekiedy poczucia godności lub całkowitego braku takiego poczucia. O wiele więcej na ten temat mieliby do powiedzenia pracownicy instytucji opieki społecznej, którzy potrafią zindywidualizować w dużym stopniu stan biedy, w zależności od tego kogo — jakiej osoby, rodziny — on dotyczy.

Po szóste wreszcie, **poziom biedy w społeczeństwie w ogromnym stopniu, choć nigdy nie wprost, zależy od wydolności i charakteru polityki społecznej**. Ścisłej od tego, ile owa gospodarka zdoła przygotować i utrzymać miejsc pracy (by ograniczyć bezrobocie, jedno z głównych źródeł biedy). Także jak duże i przez jaki okres utrzymywane będzie obciążenie produktu narodowego per capita wydatkami

na cele pomocy społecznej, czyli alimentowanie biedy. Przez „gospodarkę” rozumie tutaj zarówno wszelkie zarejestrowane, jak i nie zarejestrowane typy działalności gospodarczej: jak wiadomo bieda najczęściej przenika się z tzw. szarą strefą i jest przez nią w pewnym sensie zasilana. Mogłyby o tym świadczyć — gdyby się udało je sporządzić — prawdziwe dane o rynku pracy w Łodzi.

Ryba czy wędka

Odpowiednia polityka społeczna, to najbardziej chyba czuły, najdelikatniejszy w moralnym, społecznym i politycznym sensie moment dotyczący kwestii biedy. Dodajmy, iż między religiami czy systemami wartości na świecie nie ma w tej kwestii żadnych różnic — wszystkie nakazują potrzebę zmierzenia się z nią, a z chrześcijańskiego nakazu dzielenia się z innymi zrodziła się np. charytatywność. Używając bardzo prostej metafory można powiedzieć, iż przyzwyczailiśmy się do myśli o konieczności troskliwej opieki różnych instancji władzy nad biednymi, niczym czulego ojca nad mniej udanymi dziećmi. Tymczasem starsi bracia w takiej rodzinie, którym się lepiej powiodło, zgłaszać mogą co do tego zastrzeżenia: Dlaczego musimy dzielić się z nieudacznikami? Innymi słowy, poziom alimentacji biedy przez władze (państwo, władze lokalne czy jakiegokolwiek inne instytucje) jest nie tylko kwestią zasobności kasy, ale także odpowiednich rozstrzygnięć polityki opiekuńczej. Nie trzeba wyjaśniać, że jest to żelazny temat kontrowersji między różnymi politycznymi ugrupowaniami we wszystkich niemal parlamentach i radach miejskich świata. Wydając więcej na potrzebujących — zwiększa się nieuchronnie obciążenie podatników, wydając mniej — dopuszcza się do tego, by ludzie spali na ulicach, a niemowlęta umierały z niedożywienia. Ten prosty rachunek muszą wziąć na swoje sumienia parlamentarzyści, ministrowie, burmistrzowie i prezydenci miast. W ubiegłym roku jeden z najbardziej zapalnych punktów sporu między prezydentem Billem Clintonem a republikańskim kongresem USA dotyczył utrzymania lub też zniesienia bezpłatnych obiadów (school lunches) w szkołach publicznych. Niejednokrotnie jest to jedyny posiłek, jaki dzieci z murzyńskich i latynoamerykańskich gett jedzą w ciągu dnia. Tuż po objęciu swego urzędu w ubiegłym roku konserwatywno-republikański burmistrz Nowego Jorku, Giuliani, zlikwidował (tak jak zapowiadał uczciwie w zwycięskiej dla siebie kampanii wyborczej) niemal połowę utrzymywanych przez miasto noclegowni dla bezdomnych, chcąc w ten sposób „zaoszczędzić” sumy potrzebne mu do dofinansowania policji. Koronnym, wartym wzięcia pod uwagę argumentem przeciwników nadmiernego subsydiowania pomocy społecznej jest to, że utrwała się w ten sposób obszar biedy, ponieważ łatwo dostępna alimentacja (zasiłki, dotacje, bony żywnościowe itp.) nie skłania biednych do zmiany swojego stanu. Jest to typowy przykład nie dającego się rozstrzygnąć dylematu: „ryba czy wędka?”.

Zamykanie schronisk dla bezdomnych w Nowym Jorku nie ma bezpośrednio wiele wspólnego z biedą w Łodzi, ale pośrednio wskazuje, że są to różne kostki tego samego domina. **Musimy widzieć ubożenie naszego społeczeństwa i miasta w znacznie szerszym, politycznym i ekonomicznym planie.** Głównie dlatego, by zrozumieć źródła tego zjawiska mającego podobne strukturalne uwarunkowania w całym świecie kapitalistycznego sposobu gospodarowania. Następnie, by rozumiejąc przyczyny i objawy, tym łatwiej móc postawić właściwą diagnozę i zaproponować adekwatne możliwości złagodzenia skutków. Dalej, musimy uczyć się od innych, znacznie bogatszych i bardziej od naszego doświadczonych społeczeństw, jakie są rzeczywiste szanse zmniejszenia skali problemu. **Musimy oswajać się stopniowo z myślą o tym, że „sfery niedostatku” (określenie jednej z pierwszych badaczy biedy w Polsce Lucyny Frąckiewicz) będą się stopniowo rozszerzały i częściowo przynajmniej utrwały — inaczej mówiąc — trzeba właściwie przygotować się do nieustannego łagodzenia skutków, nie licząc wcale na wyleczenie objawów.**

Gorszy świat

Bieda jest z Łodzią od początku dziejów miasta; wystarczy nieco uważniej czytać Reymontowską *Ziemię obiecaną*: „Domy stare, odarte, brudne, poobtlukiwane z



fot. Piotr Zdrzyński

tynków, świecące niby ranami nagą cegłą, miejscami drewniane albo ze zwykłego pruskiego muru, który pękał i rozsypywał się przy drzwiach i oknach, o krzywych obsadach futryn, pokrzywione, wysrane, zablocone — stały ohydny rzędem domów-trupów [...] Z jednej strony okien widać było podwórza domów robotniczych [...], a z lewej szła, tak samo jak od frontu, ostatnia zamiejska ulica, nie brukowana, otoczona rowami o kilkunastokrotnej głębokości, nad którymi stały stare, umierające drzewa, chylące się coraz bardziej, podmywane ściekami spływającymi z sąsiednich fabryk, a za nimi oczy leciały po wielkim kawale ziemi pełnej dołów, kałuż gnijącej wody, [...] stosów rumowisk i śmieci...” Ten kronikarski opis łódzkiej biedy dziwnie koresponduje z takim oto widokiem: „W dole nad rzeką stoją liczne garbarnie, które napełniają całą okolicę odorem [...]. Na podwórza [...] schodzi się najczęściej po ciasnych schodach, do domów zaś dociera się tylko po kupach gruzu i śmieci.”² Można dowolnie mnożyć takie obrazy. To Manchester opisywany przez Engelsa w jednej z najgłośniejszych książek świata *Położenie klasy robotniczej w Anglii*. Nie lepiej wygląda w 1860 r. Londyn opisany przez Mayhewa w *London Labour and the London Poor (Londyńscy pracujący i londyńscy biedacy)*. Te same widoki powtarza czterdzieści lat później w swoim drobiazgowym opisie Londynu Sir Cecil Booth w *Life and Labour of the People of London (Życie i praca ludności Londynu)*. Od tego czasu w jednym z największych i najbogatszych miast świata wszystko się zmieniło. Czy na pewno? Oto fragment z Davida Widgery’ego *Some lives! (Niektórzy to żyją!)* dotyczy prawdziwych kosztów eleganckiego osiedla Canary Wharf na londyńskim East End: „Mury forteczne otaczające niegdyś doki zostały nie tyle zburzone, co zamienione na szereg przegród, osłon strzeżonych przejść i zakazów zbliżania się, których zadaniem jest trzymać klasę robotniczą z daleka od tego nowego, wolnego od proletariatu osiedla *yuppie* [...] ja natomiast widzę na ulicach East Endu społeczną cenę jaką za to zapłacono: schizofreników tępiejących na widoku publicznym, młodą matkę kąpiącą niemowlę w zlewie swojego B-i-B³, emeryta umierającego z wynędznienia i zimna w rozpadającym się mieszkaniu komunalnym, sprytnie dzieciaki z zadatkami na złą drogę szybciej lykające narkotyki niż szkolną naukę.” W dzisiejszym Londynie jest niewiele mniej biedy niż przed stu laty, bo chociaż „dawni” biedacy w ciągu życia kilku pokoleń awansowali i zasilili szeregi dzisiejszej klasy średniej, ich miejsce — obok wszystkich nieprzystosowanych życiowo lub dotkniętych nieszczęściami — zajęli „nowi”, ciągnący do bogatej stolicy dawnego imperium z całej Afryki i Azji. Londyńska bieda tylko geograficznie i zapewne ilościowo różni się od łódzkiej. Ma to samo źródło i podlega dokładnie takim samym prawom co bieda w Manchesterze, Lyonie, Detroit czy Iwanowie.

Obok cech wspólnych są takie, które wyznaczają specyfikę biedy w Łodzi.

² F. Engels, *Położenie klasy robotniczej w Anglii*, Warszawa 1952, s. 98.

³ *B-and-B*, czyli *bed-and-breakfast*, tanie mieszkanie, najczęściej pojedynczy pokój wynajmowany w jednorodzinny domu z opłaconym śniadaniem, tu: nazwa ogólna.

Łódzka geografia

Pierwszą z nich jest brak wyraźnej koncentracji przestrzennej. Przez koncentrację rozumiem zarówno skupienie się w pewnych fragmentach miasta, jak i w skali ulicy czy domu (typowa łódzka kamienica czynszowa miała od frontu mieszkania dla bogatych, w w oficynach — dla biednych). Bieda w Łodzi rozprzestrzeniona jest dzisiaj po całym mieście, w przeciwieństwie do przedwojennej Łodzi, w której skupiała się generalnie na Bałutach i Chojnach (wyraźnie ślady takiej koncentracji odnotował jeszcze w 1960 r. Waław Piotrowski w swoim studium społeczno-przestrzennej struktury miasta, m.in. w postaci wyższych wskaźników patologii społecznej). Nie ma w Łodzi wyraźnie biednych dzielnic czy ulic, choć poszczególne regiony są pod tym względem mocno zróżnicowane. Przez czterdzieści kilka powojennych lat doszło do sporego przemieszania w przestrzeni miasta ludzi o różnej społecznej pozycji, odmiennym stylu życia itp. **Jednak dekoncentracja przestrzenna (dyspersja) biedy w Łodzi nie będzie trwała długo.** Wraz z awansem ekonomicznym mieszkańców i odtwarzaniem się wolnego rynku mieszkaniowego będziemy niebawem (jeżeli już nie jesteśmy) świadkami przybierającej stopniowo na sile migracji klasy średniej ku przedmieściom lub do wydzielonych enklaw. Będzie to ucieczka przed biedą, a ściślej przed jej kłopotliwym sąsiedztwem, która w rezultacie pozostawi samym sobie ludzi, nie mogących sobie na nią pozwolić, w dzielnicach biedy. To naturalny, znany doskonale z historii urbanizacji wyżej rozwiniętych krajów etap nazywany suburbanizacją, w wyniku którego powstaje w czasie mniej więcej dwóch dziesięcioleci struktura miasta przypominającego obwarzanek, w którym środek (skoncetrowana przestrzennie bieda) obwiedziony jest pierścieniem dostatku. Równoległe z suburbanizacją zachodzić będzie — nawet gdyby broniły przed tym wyjątkowo liberalne regulacje prawne — proces „wypychania” biedy z wartościowych w sensie użytkowym budynków śródmieścia, swego rodzaju sukcesja dzisiejszej biedy przez kapitał. Można wyobrazić sobie, że nie tylko przyszli właściciele sprywatyzowanych domów, ale także miasto i biznes zainteresowani będą „oczyszczeniem” eleganckiego centrum Łodzi z nalotu biedy, tak np. jak dawno już stało się to w mającym wiele wspólnego z Łodzią w sensie kompozycji urbanistycznej, bogatym Frankfurcie nad Menem. Bieda koncentrować się będzie w jedynej dostępnej dla niej tzw. strefie przejściowej⁴ — to jest pomiędzy handlowym centrum a przedmieściami zamieszkałymi przez klasę średnią (klasa wyższa mieszkać będzie jeszcze dalej od miasta). Tym rodzajem następstwa zjawisk w czasie nie da się sterować, a przynajmniej nie da się go powstrzymać. Być może wzdłuż obecnej Wólczańskiej i Kilińskiego rozciągać się będą jakiś czas łódzkie slumsy. Chociaż nigdy nie muszą one

⁴ Nawiązuję tu do modelu struktury przestrzennej miasta Ernesta W. Burgessa, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli *Chicago School* (Szkoły Chicagowskiej) w socjologii miasta z lat 20. naszego stulecia.

przybrać tak drastycznej postaci jak w nowojorskich dzielnicach Harlem czy Bronx, mimo to nie przestaną być „strefą niedostatku”. Rozciągając tę prognozę w czasie — slumsy znieśnie częściowo, bo nigdy nie zlikwiduje całkowicie, dopiero następny etap w którym miasto (głównie miasto, a nie sam kapitał rentierski) podejmie, tak jak ma to miejsce w miastach Zachodniej Europy, długofalowy plan *Urban Renewal* czy *Stadterneuerung* (Odnowa Miasta), to jest przebudowy całych kwartałów mieszkalnych, subsydiowanej w poważnym stopniu z miejskiej kasy wspieranej dotacjami państwowymi.

Drugą cechą charakterystyczną biedy w Łodzi jest zbyt rozbudowana i społecznie utrwalona kultura biedy — jeśli „biedę” można rozumieć nieco szerzej. „Kultura biedy” nie jest odmianą folkloru miejskiego czy specjalnej obyczajowości, ale:

a) poczuciem nieprzystosowania do życia połączonym z niedostrzeganiem perspektyw na poprawę swego losu, czyli apatią i beznadzieją,

b) sposobem zaspakajania różnego rodzaju potrzeb — konsumpcyjnych, kulturowych, społecznych, także w pewnym stopniu politycznych — na niskim poziomie, bez ambicji, jak gdyby zgodnie z proletariackim *image* tego miasta. Nie wierzę specjalnie w *genius loci*, „ducha miejsca”, a zatem uważałbym subkulturę biedy nie tyle za spadek po proletariackiej przeszłości, co raczej za skutek powojennej migracji do tego miasta mazowieckiej ludności, która zajęła opuszczone przez swoich poprzedników mieszkania, nie mogąc jednak nauczyć się od nich bardziej ambitnych wzorów życia. Zbyt słabo zaznaczała się w powojennej historii miasta rola inteligencji jako grupy wzorcotwórczej, modelem odniesienia była raczej krzepka robotnica z koroną włosów. W największym skrócie, współczesna Łódź nie jest miastem, w którym patologia wywoływana przez pauperyzację mieszkańców osiągałaby stan alarmowy, jest natomiast miastem, w którym wyraźną przewagę mają prostackie obyczaje, sposób ubierania się, zachowywania, mówienia itp. Struktura zatrudnienia, z dominującym w niej udziałem przemysłu lekkiego (lub jego obecnego spadkobiercy w postaci mniej lub bardziej legalnych warsztatów odzieżowych), zawsze silnie spłaszczyła tutaj strukturę płac i rzutowała na niski poziom konsumpcji. Kultura biedy jest sytuacją, w której ubóstwo i konsumpcja na najniższym poziomie jest stanem aprobowanym po części z przymusu lub na skutek obiektywnych uwarunkowań, po części natomiast z braku wykształconych nawyków awansu w materialnym i kulturowym sensie. To — innymi słowy — klimat pogodzenia się z biedą, swego rodzaju znieczulica na konieczność wyrwania się z niej, połączona z szeregiem indywidualnych strategii przystosowawczych.

Trzecią cechą łódzkiej biedy jest względny brak alternatywnych źródeł utrzymania, związany z brakiem głębszych przekształceń w sferze pracy. W dużej mierze ów brak przekształceń jest obiektywnym stanem, niezawinionym ani przez miasto, ani przez jego mieszkańców czy też lokalne władze. Gdyby dalej przywoływać przykłady losów innych dużych miast w warunkach współczesnego kapitalizmu, to Łódź czeka raczej bolesna deindustrializacja, czyli nasilająca się redukcja

miejsc pracy w przemyśle. Substytutem — zawsze tylko częściowym — takich utraconych miejsc pracy w rozwiniętych ekonomiach są nowe stanowiska pracy w tzw. trzecim i czwartym sektorze, czyli w usługach i „przemyśle informatycznym”. Pierwej jednak trzeba stworzyć na nie zapotrzebowanie w postaci dużej ilości małych i średnich nowoczesnych firm tworzących gęstą tkankę biznesu oraz dysponować odpowiednio przygotowaną kadrę potencjalnych pracowników trzeciego i czwartego sektora. Łódź nie ma na razie ani jednego, ani drugiego. Ma natomiast swoje małe warsztaty odzieżowe i niewielkie dzisiaj fabryki, które wcale nie muszą zniknąć z powierzchni gospodarki, lecz także nie będą nigdy dostatecznie silnym motorem rozwoju i nie zmienią niczego w społecznej geografii łódzkiej biedy. Stąd nie ma zbyt wielu możliwości „dorobienia” (alternatywnych źródeł utrzymania) w legalny czy nielegalny sposób.

* * *

Przedstawianą tu jedynie w zarysie prognozę należałoby być może wyposażyć w jeszcze ciemniejsze barwy. Możliwe jest np., iż nieprzerwana fala migracji z Trzeciego Świata, wlewająca się dzisiaj do miast wysoko rozwiniętych krajów, trafi przynajmniej w części do Polski i do Łodzi, gdy tylko nasza ekonomika stanie twardo na nogach. Będziemy musieli uczyć się żyć z nimi, niekoniecznie w pełnej harmonii, ale bez konfliktów i napięć, tak jak muszą się tego uczyć — a nie przychodzi to łatwo — Francuzi, Anglicy czy Niemcy. Będziemy musieli rozbudowywać liczne instytucje pomocy biednym, chociaż nie będzie nas stać na ogłoszenie ogólnonarodowej „Wojny z biedą” (*War on Poverty*), jaką proklamował w 1964 r. prezydent USA Lyndon B. Johnson i którą tylko częściowo udało mu się wygrać. Będziemy także musieli pogodzić się z faktem, że część naszych współobywateli (i zapewne większość przybyszów) zechce z nich korzystać w sposób oszukańczy lub marnotrawny i że nie będzie miała ochoty pomóc sobie w biedzie. **Fakt, że ubóstwa nie da się zlikwidować, musi być jeszcze większym bodźcem do stosowania wielu rutynowych rozwiązań i przedsięwzięć realizowanych przez sieć powołanych do tego instytucji** — wypłat zasiłków, organizowania domów pomocy i schronisk dla bezdomnych, wydawania specjalnych bonów na żywność i do tanich barów, urzędzenia sieci sklepów typu *second hand* specjalnie dla biednych, nadzoru, opieki kuratorskiej, pomocy pielęgnacyjnej, psychiatrycznej i psychologicznej. Wszystko to już mamy, problem w tym, że musimy mieć znacznie więcej, podobnie jak ludzi profesjonalnie przygotowanych do radzenia sobie z kwestią biedy.

Łódź przeżyła katharsis

Rozmowa z Anną Fornalczyk
łodzianką, była prezes Urzędu Antymonopolowego

MIASTO ROZBITYCH ELIT

Po pięciu latach kierowania centralnym urzędem opuściła Pani Warszawę i wróciła do rodzinnej Łodzi. Czy powrót ten oznaczał dla Pani porażkę?

To nie była porażka. Ani przez moment nie przyszło mi do głowy wyjeżdżać z Łodzi na stałe.

Właściwie dlaczego? Przecież przeniesienie się do Warszawy jest dla większości łodzian równoznaczne z wielkim awansem! Począwszy od Tuwima, życie w stolicy wybierają najlepsi łódzcy pisarze, poeci, dziennikarze, aktorzy, reżyserzy, malarze, architekci i naukowcy. Mówią, że tutaj nie mogą rozwinąć skrzydeł, a tam są doceniani, że nad Łodzią ciąży fatum...

Łódź nie daje takich możliwości jak Warszawa, gdyż ci, którzy mogliby te możliwości tworzyć, uciekają! Uważam, że bardzo źle się dzieje, gdy z miasta wynoszą się ludzie, którzy mogliby zmienić jego oblicze: ci najbardziej dynamiczni, przedsiębiorczy, twórczy. Wyjeżdża się oczywiście nie tylko z Łodzi, ale ponieważ Łódź leży tak blisko stolicy, ten drenaż dotyka ją w sposób szczególnie silny.

Najwyższy czas przełamać stereotyp, zgodnie z którym tylko Warszawa



agencja i.t.p.

może zapewnić zrobienie kariery. Moim kolegom i znajomym, którzy przyciągani magnesem łatwiejszego życia zawodowego przenoszą się do stolicy tłumacząc, że już najwyższy czas, aby organizować nowe życie zawodowe i kulturalne Łodzi.

Przyzna Pani, że jest to bardzo trudne. Jaromir Jedliński, odwołany dyrektor Muzeum Sztuki, powiedział mi kiedyś, że zrobienie czegoś w naszym mieście kosztuje mnóstwo wysiłku, ponieważ trzeba samemu stworzyć całą aurę i kontekst odbioru tego, co się proponuje. Jest to więc wysiłek podwójny i do tego jakby rozproszony — dla wielu ludzi wynikający z tego stres jest zbyt duży i wyjeżdżają...

Pamiętam moją rozmowę przed bodaj dziesięciu laty z nieżyjącym już profesorem socjologii, Janem Lutyńskim. Był to czas, kiedy w Krakowie i w Warszawie powstawały Towarzystwa Gospodarcze; w Łodzi taka inicjatywa zrodziła się znacznie później. Zapytałam wtedy Profesora, dlaczego u nas nic się nie udaje. Odpowiedział, że brakuje nam elit, które w innych miastach podejmują tego typu działania. W tym tkwi sedno sprawy: moim zdaniem brakuje Łodzi — zabrzmiało to jak slogan — „zespołowego działania”. Każdy, kto zaczyna robić cokolwiek w pojedynkę, będzie miał trudności, o których mówił pan Jedliński.

Jesteśmy stosunkowo młodym miastem, nie mamy rodów zasiedziały od pokoleń, jakie ma na przykład Poznań czy Kraków, poza tym po wojnie zabrakło mniejszości narodowych, z których w znacznym stopniu składało się łódzkie mieszczaństwo. Te obiektywne czynniki spowodowały, że nasze elity wyglądają tak, jak wyglądają. Na nas — łodzianach — spoczywa dziś obowiązek tworzenia tej tkanki społecznej i kulturowej, która umożliwi miastu naszej wielkości normalny rozwój. Jest to trudne — ludzie zajęci codzienną walką o przetrwanie nie mają czasu, by spotkać się, porozmawiać, zastanowić nad jakimś wspólnym przedsięwzięciem — ale jest to absolutnie niezbędne.

Bardzo lubię jazz i kiedy wróciłam z Warszawy, zaczęłam rozpytywać, czy jest w Łodzi klub jazzowy, do którego można wpaść, wypić kawę, spotkać się ze znajomymi i posłuchać dobrej muzyki. Dowiedziałam się, że było coś takiego, ale się rozleciało. A przecież Łódź to olbrzymie miasto i powinien być tu taki klub. Inny przykład — co miesiąc jeżdżę do Warszawy, aby wziąć udział w spotkaniu „Klubu 22”. Jest to klub, który powstał trzy lata temu i skupia, jak określiliśmy to przewrotnie, „przeciętne panie”. Są w nim między innymi: Janina Paradowska, Danuta Zagrodzka, Ewa Łętowska, Bożena Wawrzecka, Ola Frykowska, Henryka Bochniarzowa, Małgorzata Niezabitowska, Izabela Cywińska, Olga Krzyżanowska, Zofia Kuratowska, Anna Podnieśieńska, Olga Lipińska, Bożena Walter i Kora Jackowska. Spotykamy się, żeby porozmawiać, wyrazić swoją opinię. Żadnych konkretnych przedsięwzięć nie podejmujemy. Próbowaliśmy założyć podobną „instytucję” w Łodzi i jakoś się nie udało. Być może spróbuję jeszcze raz, mam nadzieję, że z sukcesem. Jeśli każdy, kto ma ciekawy pomysł będzie „emigrował” do Warszawy, to nigdy nic się tu nie zmieni.

KOMPLEKS ŁÓDZKI

Przewycięzenie podziałów, zjednoczenie dla dobra miasta zatomizowanych łódzkich elit, będzie niewątpliwie wymagać czasu. Dla mnie symbolem atomizacji jest uniwersytet, składający się z kilkudziesięciu kawalców rozrzuconych po całym mieście — wyklucza to nie tylko jakieś wspólne działania środowiska akademickiego, ale wręcz uniemożliwia spotkanie i poznanie się! Czy Pani zdaniem są już przesłanki pozwalające mówić, że sprawy idą ku lepszemu?

Myślę, że pierwszym krokiem jest fakt, że władze naszego miasta przestały się między sobą kłócić. To już jest bardzo dużo. Pamiętam, ile inicjatyw upadło w przeszłości tylko dlatego, że oba urzędy, miejski i wojewódzki, nie mogły dogadać się co do wspólnych działań. Wszystko zależy od ludzi. Obserwuję pokolenie licealistów — mój starszy syn jest w średniej szkole — i widzę, że oni myślą inaczej, nie chcą wyjeżdżać, traktują Łódź jako swoje miejsce. Boję się jedynie, że będą tak pochłonięci robieniem własnych karier zawodowych i finansowych, iż nie znajdą czasu na wspólne działania, na tworzenie owej brakującej tkanki społecznej. Jest to poważne niebezpieczeństwo.

Czy według Pani jest coś takiego, jak „kompleks łódzki”? Jeśli tak, prosilbym o krótką charakterystykę.

Niewątpliwie jest, nie mam tylko pewności, czy to właśnie „kompleks łódzki”, czy po prostu kompleks miasta innego niż Warszawa. Byłam kiedyś w stolicy w towarzystwie człowieka należącego niewątpliwie do łódzkiej elity — chciałam wesprzeć pewną inicjatywę — i bardzo mnie zabolalo, gdy pan ten rozpoczął swoje wystąpienie w wysokim urzędzie od słów: „My z prowincji...” Ja nie miałam nigdy żadnych zahamowań pracując jako łodzianka w Warszawie czy jako Polka odwiedzając kraje zachodnie — nie miałam, bo ani my, łodzianie, ani my, Polacy, nie jesteśmy gorsi od innych. Po prostu niektórzy ludzie, siedzący w Łodzi i zajęci swoją codziennością, mają żabią perspektywę: wydaje im się, że wszystko, co jest poza Łodzią, musi być mądrzejsze i ważniejsze i warto podkreślać, że „my jesteśmy z prowincji”, bo tworzy nam to jakoby lepszy klimat rozmów. Wręcz przeciwnie, tak nie można się zachowywać! To właśnie jest „łódzkim kompleksem”.

NA POCZĄTKU BYŁA EKONOMIA

Mówiliśmy, że indywidualne, rozproszone inicjatywy skazane są w Łodzi na porażkę. Myślę, że warto zastanowić się nad jeszcze jednym łódzkim fenomenem, na który zwrócił uwagę pisarz i dziennikarz Marek Miller (zdradził

Łódź dla Warszawy dwa i pół roku temu). Zauważył on, że w naszym mieście dzieje się w sferze kultury bardzo wiele, często na europejskim i światowym poziomie, choćby „Konstrukcja w procesie” albo triennale tkaniny, funkcjonują takie instytucje jak Muzeum Sztuki, Filmówka, czy wytwórnia przy Łąkowej, ale każda z tych rzeczy istnieje jak gdyby w zawieszaniu, w próżni, one się po prostu nie sumują, nie dodają...

Patrząc na historię cywilizacji dochodzi się do wniosku, że wszelkie wielkie zmiany zawsze zaczynają się od gospodarki i dopiero za nimi idą zmiany w sferze kultury i nauki. Czytałam książkę *Korzenie renesansu*, której autor przekonująco dowodził, iż pionierami epoki odrodzenia nie były bynajmniej uniwersytety i ośrodki kulturalne, lecz przedsiębiorcy, banki i instytucje związane z handlem. Podobnie było z polskimi przemianami początku lat 90. Obserwowałam je z Warszawy, z pozycji prezesa Urzędu Antymonopolowego. Łódź była wówczas jednym z trzech „gorących tematów” (pozostałe to Wałbrzych i Góry Śląsk). Groziła jej kompletna zapadłość. Patrząc z zewnątrz, nie uczestnicząc w tym, co przeżywali łodzianie, dostrzegłam wyraźnie, że nasze miasto przeżyło swoiste katharsis. Byłam pełna podziwu obserwując ludzką operatywność, umiejętność znalezienia się w tej szalenie trudnej sytuacji, wszystko jedno, czy w strefie oficjalnej, czy w tak zwanej szarej strefie.

Jestem pewna, że po gospodarce przyjdzie czas na kulturę i rozrywkę i że w końcu będę mogła umawiać się z przyjaciółmi w ulubionym klubie jazzowym — podobne procesy mają za sobą kraje zachodnie. Mój optymizm bierze się także stąd, że kiedy spotykam kolegów, którzy odeszli z uczelni, zajęli się robieniem pieniędzy i z reguły radzą sobie znakomicie, zwykle z ich strony padają propozycje a to spotkań bardziej regularnych, a to napisania wspólnej książki o naszych doświadczeniach. Takie potrzeby tkwią po prostu w ludziach i prędzej czy później muszą pojawić się grupy, które nadadzą temu miastu ton. Łódź stanie się w końcu miastem z własnymi elitami.

Przyznam się, że w najtrudniejszym chyba dla Łodzi roku 1992, gdy wydało się, że całe miasto ogłosi wkrótce bankructwo, zastanawiałem się, jak to jest, że wszystko się wali w ośrodku, z którego pochodzi tylu znakomitych ekonomistów — Pani, pan Jerzy Drygalski czy senatorzy pierwszej kadencji, profesorowie Jerzy Dietl i Cezary Józefiak...

Obecność nawet najwybitniejszych ekonomistów nie oznacza, że od razu poprawiają się wskaźniki i sytuacja gospodarcza. Obserwując to, co dzieje się w Polsce i — w niewielkiej skali — także w Rosji, zdałam sobie w pełni sprawę jak strasznie tłumił nas i niszczył poprzedni system. Inicjatywa ludzka posiada niesamowitą dynamikę i gdy tylko przestały obowiązywać zakazy, jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się te wszystkie małe, rodzinne biznesy. Przez kilka ostatnich miesięcy

regularnie jeździłam do Moskwy i za każdym pobytem widziałam, jak puste miejsca wypełniały się małymi firmami, punktami usługowymi, knajpkami. Daje to wyobrażenie, ile mogą zrobić ludzie uwolnieni od ograniczeń totalitarnego systemu.

Wczoraj, w niedzielę [rozmawiałem z p. Anną Fornalczyk w poniedziałek — W. G.] byłam w sklepie i rozmawiałam z młodym ekspedientem, który wyłożył mi bardzo prosto, dlaczego ma z każdego asortymentu tylko po jednej sztuce towaru. Powiedział, że nie opłaca się mieć więcej sztuk, bo trzeba by zamrozić więcej kapitału i więcej płacić za powierzchnię magazynową; gdy klient kupi dany przedmiot, następnego dnia sprowadza się w to miejsce nowy. Ten ekspedient dysponował prawdziwą wiedzą ekonomiczną, taką, której wymagam od moich studentów i z którą oni mają kłopoty, bo znają ją z mądrych książek, a nie z codziennej praktyki.

Wybitni profesorowie ekonomii są potrzebni, ale znakomitą szkołą gospodarczą jest samo życie, walka o przebicie się, znalezienie sobie miejsca na ziemi. Wiele przedsiębiorstw popadło w tarapaty dlatego, że produkowało wyroby, których ludzie nie chcieli kupić. Konsumenci głoszą nogami i kieszenią: albo przychodzą i kupują, albo odchodzą, bo im to nie odpowiada. Myślę, że przełamaliśmy już związane z minioną epoką stereotypy, na przykład ten, że jeśli zaczyna się pracę od stażu w jakiejś fabryce, to trzeba tam dopracować do emerytury, i ten, że obowiązkiem państwa jest opieka nad zakładem. Nie! Każdego dnia trzeba od nowa walczyć o przetrwanie!

Rok 1992 rzeczywiście był dla Łodzi bardzo trudny, później było już jednak znacznie lepiej — zaczęła zmieniać się struktura miasta, powstały nowe firmy. W starych magazynach i starych fabrykach w centrum miasta otworzono domy towarowe, może nie super eleganckie, ale przyzwoite. Tempo zmian nie przestaje mnie zdumiewać.

Nie wszyscy to tempo wytrzymują, Łódź jest nadal ośrodkiem z jednym z najwyższych w Polsce odsetkiem bezrobotnych...

Tylko według oficjalnych statystyk. W praktyce fabryki nie mogą znaleźć ludzi do pracy. Jak doniosła prasa, prezes „Próchnika”, na przykład, zastanawia się nad przeniesieniem produkcji do Brzezin, bo w Łodzi nie jest w stanie z tego powodu uruchomić drugiej zmiany. Nie jest więc tak źle.

W grudniu ubiegłego roku byłam w Wiedniu na konferencji zorganizowanej przez tamtejszy Instytut Badań nad Człowiekiem. Tematem była polityka społeczna w procesie transformacji. Prawdę mówiąc, dziwiłam się, dlaczego mnie zaproszono, bo co może mieć wspólnego z polityką społeczną była prezes Urzędu Antymonopolowego. Wbrew temu pierwszemu odczuciu miałam z tym jednak dużo wspólnego — kierując urzędem nieustannie stykałam się z polityką społeczną, czyli kwestią bezrobocia, zasiłków, odpraw. Sprawy te przeszkadzały w uzdrawianiu pewnych segmentów gospodarki. Gdy postulowałam, żeby jakiś sektor zaczął funkcjonować w oparciu o prawdziwą konkurencję, padał argument, że firmy zbankrutują, a ludzie

stracą pracę. Najlepszym dowodem są dokonujące się przemiany w naszym mieście. W czasie tej konferencji miałam ostrą dyskusję z przedstawicielką Stanów Zjednoczonych, która powoływała się na przykład naszego miasta jako miasta zbankrutowanego. Znała je z 1992 roku, kiedy jako emisariusz Banku Światowego odwiedziła Łódź. Wizerunkowi naszego miasta nie służyły dobrze dramatyczne wypowiedzi ówczesnych władz Łodzi.

GOSPODARKA KONTRA POLITYKA

Jak z perspektywy Warszawy odbierała Pani wstrząsające Łodzią w ostatnich latach afery? Jedną z głośniejszych było niewypuszczenie do miasta „Levisa”...

No cóż, mówi się trudno, niczego nie można na ludziach wymuszać. Gdyby pojawiła się druga taka możliwość, jestem głęboko przekonana, że nie zrezygnowalibyśmy z niej. W owych czasach — mówię o początku lat dziewięćdziesiątych — podobnie jak w okresie wcześniejszym, polityka dominowała nad gospodarką. Pamiętam, że gdy toczyła się walka o „Levisa” bardzo naraziłam się działaczowi jednej z partii, która teraz jest w opozycji. Powiedziałam, że cała sytuacja przypomina mi dawne czasy, w których racjonalne ekonomicznie argumenty nie były przyjmowane przez decydentów. Było, minęło, traktujmy to jak szkołę życia. Nie wracałabym do tego, tylko skupiła się na pozyskiwaniu dla Łodzi dużych, dobrych inwestorów.

A sprawa prywatyzacji „Bistony”?

Szczegółów nie znam, nie uczestniczyłam w tej prywatyzacji, sprawa docierała do mnie z posiedzeń rządu i innych gremiów i z towarzyskich rozmów. Jeżeli ktoś upiera się, że jakąś fabrykę sprzedano za tanio, poniżej wartości księgowej, w ogóle nie wiem, o co mu chodzi. Fabrykę sprzedaje się za tyle, ile daje kupiec. Jeżeli nam kupiec nie odpowiada, szukajmy dalej. To wszystko.

DALEKO OD SZOSY

Łódź leży w centrum kraju, ale mimo wszystko trochę na uboczu. Jesteśmy największym w Europie miastem bez lotniska, nie mamy przyzwoitej drogi do Warszawy (trzeba dojechać najpierw do Rawy Mazowieckiej bądź do Łowicza), omijają nas główne polskie magistrale kolejowe. Komunikacja i hotele to od lat łódzka pięta achillesowa. Na ile braki w tych dwóch dziedzinach odstręczają potencjalnych inwestorów?

Jest to poważny mankament. Przygotowywałam w końcu ubiegłego roku konferencję razem z Organizacją Współpracy Gospodarczej i Rozwoju z siedzibą w Paryżu i bardzo chciałam, żeby odbyła się w Łodzi, ale moi paryscy przyjaciele postawili sprawę jasno — jeżeli już nie Warszawa, to Kraków, który ma bezpośrednie połączenie lotnicze z Paryżem. Był to argument, z którym nie mogłam już dyskutować. Z komunikacją tak się historycznie ułożyło, ale nie można powiedzieć, że to było jakieś fatum. Łodzianie byli widocznie mało zapobiegliwi.

Nadzieją na poprawę sytuacji jest węzeł autostradowy, który będzie pod Strykowem. Nie brakuje oczywiście takich, którzy prorokują, że skrzyżowanie autostrad będzie zakłóceniem spokojnego życia w Łodzi, zanieczyszczeniem środowiska i zagrożeniem bezpieczeństwa mieszkańców. Malkontenci byli zawsze i wszędzie! Jak uczą doświadczenia światowe, obecność autostrady stwarza popyt na usługi hotelarskie, gastronomiczne, mechaniczne i wiele innych. Jest to impuls, który ożywia gospodarkę. No i Łódź będzie wreszcie łatwiej osiągalna.

Nie obawia się Pani, że cały ruch będzie przebiegał właśnie obok Łodzi, a do nas nie zajrzy pies z kulawą nogą?

Myślę, że będzie wprost przeciwnie. Teraz miasto jest już praktycznie nieprzejezdne. Od ludzi, którzy dużo podróżują po Polsce wiem, że starają się za wszelką cenę ominąć Łódź. Wyprowadzenie ruchu poza miasto — a z tego, co wiem, już jest decyzja rządu, żeby budować tę obwodnicę łączącą Emilię z Pabianicami — paradoksalnie powinno zwiększyć liczbę naszych gości.

Jakich argumentów użyłaby Pani, żeby przyciągnąć do Łodzi dużego inwestora?

Przede wszystkim ja już to robię, bo zajmuję się consultingiem. Dużo jeżdżę po świecie i zawsze mam w walizce albumy i foldery o Łodzi. Po pierwsze, zwracam uwagę właśnie na bliskość przyszłego węzła autostrad. Dzień po wyborach prezydenckich byłam w Rzymie, na dużej, międzynarodowej konferencji. W czasie wieczornego koktajlu wiele osób pytało mnie: co teraz będzie w Polsce, kim jest ten Kwaśniewski, jak należy patrzeć na jego zwycięstwo? Był to okres, gdy amerykańska administracja sparaliżowana była konfliktem między Clintonem a Kongresem, więc jak mnie pytał Amerykanin, odpowiadałam mu pytaniem o ten konflikt. Kiedy podchodził Kanadyjczyk, mówiłam o Quebecu. Jednym słowem dowodziłam, że każdy kraj ma swoje problemy, natomiast bardziej natarczywym mówiłam: „zamiast się martwić, jak ułożą się polityczne konstelacje, powinniście się zainteresować tym, że 15 km od Łodzi będzie skrzyżowanie dwóch bardzo ważnych dróg”. Nie znaczy to, że bagatelizuję znaczenie politycznego wizerunku Polski w świecie i obserwując działania obecnego rządu w sprawach gospodarczych muszę stwierdzić, że obawy

moich rozmówców były uzasadnione. Brak bowiem ciągle ważnych gospodarczo decyzji, a te, które są podejmowane, nie służą rynkowej reformie gospodarczej.

WOULD YOU LIKE TO COME TO ŁÓDŹ?

Co jeszcze oferuje Pani zainteresowanym naszym miastem biznesmenom?

Tłumaczę, że jest dużym ośrodkiem gospodarczym, centrum kulturalnym, że ma wyższe uczelnie, które promują każdego roku dobrze przygotowanych młodych prawników i ekonomistów. Plussem, na który zwracam uwagę, jest obecność trzydziestu banków — są to w większości oddziały, trzy mają tu swoje centrale — co świadczy o łatwości w ulokowaniu pieniędzy. Mówię, że mniejsze niż w Warszawie są w Łodzi koszty funkcjonowania firmy. Nie bez znaczenia jest wreszcie argument, że mamy pyszną wodę, którą można pić prawie prosto z kranu, proszę spróbować to zrobić w Warszawie! Słowo „Łódź” bardzo trudno jest wymówić obcokrajowcowi, więc wszystkim anglojęzycznym rozmówcom proponuję, by powiedzieli „would you like” i objaśniam, że pierwsze dźwięki brzmią tak, jak nazwa mojego miasta.

Muszę powiedzieć, że obecnie trudniej jest przyciągnąć inwestorów niż kilka lat temu, mimo że większa niż wtedy jest wartość inwestycji. Po prostu wszyscy ci, którzy mieli wejść do naszej gospodarki, już to zrobili. W zachodnich środowiskach biznesowych jest grupa lubiąca podejmować ryzyko, wchodzić na nowe rynki, być pionierami. Oni weszli jako pierwsi, a teraz przenoszą się dalej na Wschód — w Rosji i na Ukrainie widziałam znaki firmowe tych samych firm, które są u nas od paru lat. Ci bardziej tradycyjni, zasiedzieli, którzy sobie cenią spokój i minimalne ryzyko działania, być może w ogóle do nas nie przyjdą. Żadnego dynamicznego wejścia zachodnich inwestorów już zatem nie będzie, co oznacza, że jako mieszkańcy Łodzi tym bardziej tworzyć powinniśmy gościnną atmosferę, aby zachęcić do inwestowania każdego, kto zaoferuje dobre warunki.

KTO HANDLUJE TEN ŻYJE

Trudna sytuacja ekonomiczna Łodzi spowodowana była między innymi obecnością industrialnej monokultury i brakiem alternatywy dla przemysłu lekkiego. Czy nasze miasto do końca świata musi kojarzyć się wyłącznie z tekstyliami?

Ta kwestia ma swoją długą historię. Po raz pierwszy z monokulturą postanowiono skończyć na początku lat 70. Myślano, myślano i wybudowano „Teofilów”, który okazał się wprawdzie dobrą firmą, ale nie spowodowało to zmiany struktury



fot. Piotr Zdrzyński

gospodarczej naszego miasta. Po zmianie stroju stało się jasne, że coś trzeba jednak zrobić. Chciałam jakoś pomóc i zaproponowałam rozwiązanie, jakie widziałam w Stanach. Pokazano mi tam małe miasteczka, w których kiedyś był przemysł tekstylny, a teraz rozwija się przemysł elektroniczny, zwłaszcza komputerowy. Okazuje się, że kobiety, które pracowały w przemyśle włókienniczym, mają sprawność rąk w sam raz odpowiadającą potrzebom tej drugiej branży. Wtedy nic z tego nie wyszło i żadna komputerowa fabryka nie powstała, teraz byłoby zapewne inaczej. Niestety, największą troską ówczesnych władz miasta była walka o ochronę celną polskiego przemysłu tekstylnego. Będąc łodzianką i pracując w Warszawie występowałam przeciwko takim pomysłom, bo to właśnie „ochrona” skrzywdziłaby łódzki przemysł. Znakiem przykładem jest łódzka „Olimpia”, która z fabryki produkującej przestarzałe, białe bluzki zmieniła się w producenta modnej i dobrej jakościowo odzieży z dzianiny.

Monokultura uległa erozji, specjalnością Łodzi staje się handel. Pierwszą jaskółką były targi przemysłu tekstylnego „Interfashion”, od paru lat systematycznie przybywa naszemu miastu sklepów i hurtowni. Nie sposób nie wspominać o targowisku „Ptak”, gdzie zaopatrują się całe wycieczki zza wschodniej granicy. Pełno autokarów z rejestracjami państw byłego Związku Radzieckiego widzi się też pod zakładami „Olimpia”. Handlowi turyści, którzy nimi przyjeżdżają, nie tylko wykupują produkcję tego przedsiębiorstwa, ale też nocują w hotelu zakładowym. Łódź

idzie w dobrym kierunku, gdyż jak uczy historia gospodarcza, na handlu zarabia się najlepiej. Możemy być takim centrum handlowym z prawdziwego zdarzenia, gdzie z jednej strony są wytworne ekspozycje, z drugiej zaś targowiska.

Zatrzymajmy się chwilę przy kontaktach ze Wschodem. Kariera Łodzi zaczęła się jak wiadomo od zniesienia barier celnych między Królestwem Polskim a Rosją, i to w Rosji łódzcy fabrykanci mieli największe składy i hurtownie. Jak Pani sądzi, czy w zmienionych warunkach Wschód nadal jest dla Łodzi szansą?

Jest i to ogromną. Można się dziwić, dlaczego Łódź nie potrafiła jej jeszcze wykorzystać. W Moskwie na każdym kroku widziałam polskie artykuły spożywcze, nie spotkałam natomiast polskich tekstyliów. Kontrakty ze Wschodem wiążą się oczywiście z ryzykiem rozliczeniowym: towar można wysłać, ale pytanie, czy w zamian otrzyma się pieniądze, czy inny towar. To już zadanie dla polskich banków, które powinny wchodzić na tamte rynki usług bankowych i być ubezpieczycielem naszych przedsiębiorstw, gwarantować im bezpieczeństwo transakcji. O rynek rosyjski czy szerzej — rynki byłego ZSRR — toczy się ogromna bitwa. Na tym grząskim gruncie najlepiej radzą sobie Włosi i Turcy, my jednak również powinniśmy próbować się tam zadomowić.

Zapytam wprost: czy w Łodzi będzie lepiej i kiedy?

Jestem przekonana, że tak będzie, pod jednym warunkiem, że ludzie aktywni i dynamiczni nie będą uciekać z naszego miasta. Obserwuję, że coraz więcej osób stabilizuje się w Łodzi, jest to tendencja pocieszająca i mam nadzieję, że trwała. Są już pierwsze propozycje od poważnych firm zachodnich, które w Łodzi chcą tworzyć swoje centra dyspozytorskie. Wybierają Łódź, bo jest ona blisko Warszawy — jak trzeba załatwić coś w urzędzie centralnym, wsiada się w pociąg i po półtorej godzinie wysiada w stolicy — ale jednocześnie jest poza Warszawą, ze wszystkimi tego plusami, czyli tańszą powierzchnią biurową i większą łatwością znalezienia dobrych ludzi do pracy.

Boję się tylko niecierpliwości młodych ludzi, którzy już, od zaraz, chcieliby podjąć pracę w bardzo dobrej firmie, najlepiej w przedstawicielstwie firmy zagranicznej. Tworzy się błędne koło, bo firmy zagraniczne do Łodzi przychodzą, ale niechętnie — ciągle jeszcze słabo rozwinięta jest infrastruktura, ułatwiająca życie i rozwój przedsiębiorczości — młodzi, aktywni ludzie odpływają do Warszawy i znowu nie ma komu tworzyć tych elit, od których zaczęliśmy naszą rozmowę.

Dziękuję Pani za rozmowę.

Rozmawiał Wojciech Górecki

Autostrady, specjalna strefa ekonomiczna, przyciąganie kapitału — czyli jaka jest wizja przyszłości.

ANNA BUCHNER-JEZIORSKA

Między Piotrkowską a Księżym Młynem

— szanse i zagrożenia rozwoju Łodzi —

Spacer ulicami Łodzi daje okazję do podróży w czasie. Kiedy idziemy ulicą Piotrkowską, wydaje się nam, że jesteśmy już w Europie końca XX wieku. Wityryny sklepów takie jak w wielu miastach (niekoniecznie metropoliach) na Zachodzie, te same firmy i produkty, a także ceny (w przeliczeniu na dolary — czasem nawet wyższe). Wystarczy jednak zajrzeć na podwórka, a mit Europy powoli pryska. Jeśli opuścimy Piotrkowską w okolicach Brzeźnej, by potem pójść Abramowskiego do Fabrycznej i dalej na Księży Młyn, podróż w wiek XIX zajmie nam niecałe 20 minut. Możemy oczywiście spacer ten przedłużyć, idąc od Narutowicza do placu Niepodległości (po drodze minimy parę okazałych budowli banków) — wtedy zbliżamy się do wieku XIX przez Zarzewską, Kilińskiego i Przybyszewskiego. Dodatkowo będziemy mieć możliwość spotkania z architekturą okresu realnego socjalizmu.

Same kontrasty

Dla zabieganego łodzianina spacer taki nie daje powodów do zadumy nad historią i teraźniejszością naszego miasta. Dla przybysza z zewnątrz, zwłaszcza



fol. Piotr Zdrzyński

cudzoziemca, jest ich kwintesencją. I może zrodzić się nawet pytanie, w którym punkcie rozwoju cywilizacyjnego się znajduje: czy w końcu XX wieku (do czego skłania się na Piotrkowskiej), czy może w końcu XIX, kiedy znajdzie się na Księżym Młynie.

Refleksje budzą także nie wykorzystane przestrzenie i zabytkowe budynki fabryczne w tym właśnie kwartale miasta; zwłaszcza w kontekście pomysłów na restrukturyzację regionu, w których proponuje się budowę infrastruktury specjalnej strefy ekonomicznej poza miastem.

Przybysza zdumiewa także ilość samochodów, nawet jeżeli nieznana jest mu liczba bezrobotnych i wysokość dochodów mieszkańców (notabene — sytuujących Łódź na 21 miejscu w kraju i poniżej średniej krajowej). W tym układzie również ilość dobrze prosperujących sklepów (ósmo miejsce w Polsce ze względu na ilość mieszkańców przypadających na 1 sklep) nie jest do końca zrozumiała. To wszystko sprawia, że Łódź jawi się jako miasto kontrastów cywilizacyjnych i społecznych.

Powstaje więc pytanie, czy Łódź w nowych czasach ma szansę zmniejszenia tych kontrastów, które są wpisane w jej krajobraz (z mniejszym może natężeniem w latach 80. XX w.) od co najmniej stulecia.

Pesymiści, optymiści, realiści

Według optymistów obraz biednej, szarej i zaniedbanej Łodzi przemysłowej odchodzi powoli w przeszłość, a nową Łódź postrzegają jako miasto nieograniczonych możliwości rozwoju i bogate zaradnością jego mieszkańców.

Pesymiści uważają, że wszystkie zmiany mają charakter „face-liftingu” i powoli wyczerpują się ekstensywne czynniki wzrostu gospodarczego. Dotyczy to przede wszystkim rozwoju sektora średnich i małych firm, działających w sferze handlu i usług oraz w przemyśle odzieżowym. Główne zagrożenia dla dalszego rozwoju widzą w braku całościowej wizji, wokół której można by skupić wszystkich zainteresowanych „budową” nowej Łodzi. Wydaje się, że obecnie nikt (łącznie z autorami i niezależnie od różnic poglądów, także politycznych) nie jest już przywiązany do „Programu restrukturyzacji regionu łódzkiego” i nie odnajduje w nim takiej właśnie wizji. Coraz rzadziej także autostrady, które mają kiedyś przeciąć się w okolicach Łodzi, postrzegane są jako znaczący czynnik rozwoju (to raczej brak obwodnicy wokół miasta zmusza część przejezdnych do odwiedzenia Łodzi).

Co w związku z tym może stać się motorem rozwoju miasta, po wyczerpaniu lub załamaniu dotychczasowych tendencji rozwojowych? Na podstawie czego można przewidywać przyszłość i gdzie szukać nowych źródeł dalszych przemian? W jakim stopniu oddolne i żywiołowe procesy (indywidualna zaradność i przedsiębiorczość) i ich strategie wykreują „nową ziemię obiecaną”? Są to w większości pytania bez odpowiedzi, gdyż odpowiedź na nie jest wypadkową wielu procesów społeczno-gospodarczych.

W życiu wielkiego miasta, a Łódź niewątpliwie do takich należy, jak w soczewce odbijają się wszystkie problemy związane z sytuacją społeczno-ekonomiczną kraju. Ze względu na liczbę mieszkańców i ich zagęszczenie na ograniczonej przestrzeni, niektóre z tych zjawisk patologicznych (przestępczość, bieda, bezrobocie), jak i oznak sukcesu indywidualnego (m.in. nowe inwestycje w różnych sferach działalności gospodarczej, a także wygląd miasta — jego ulic i domów).

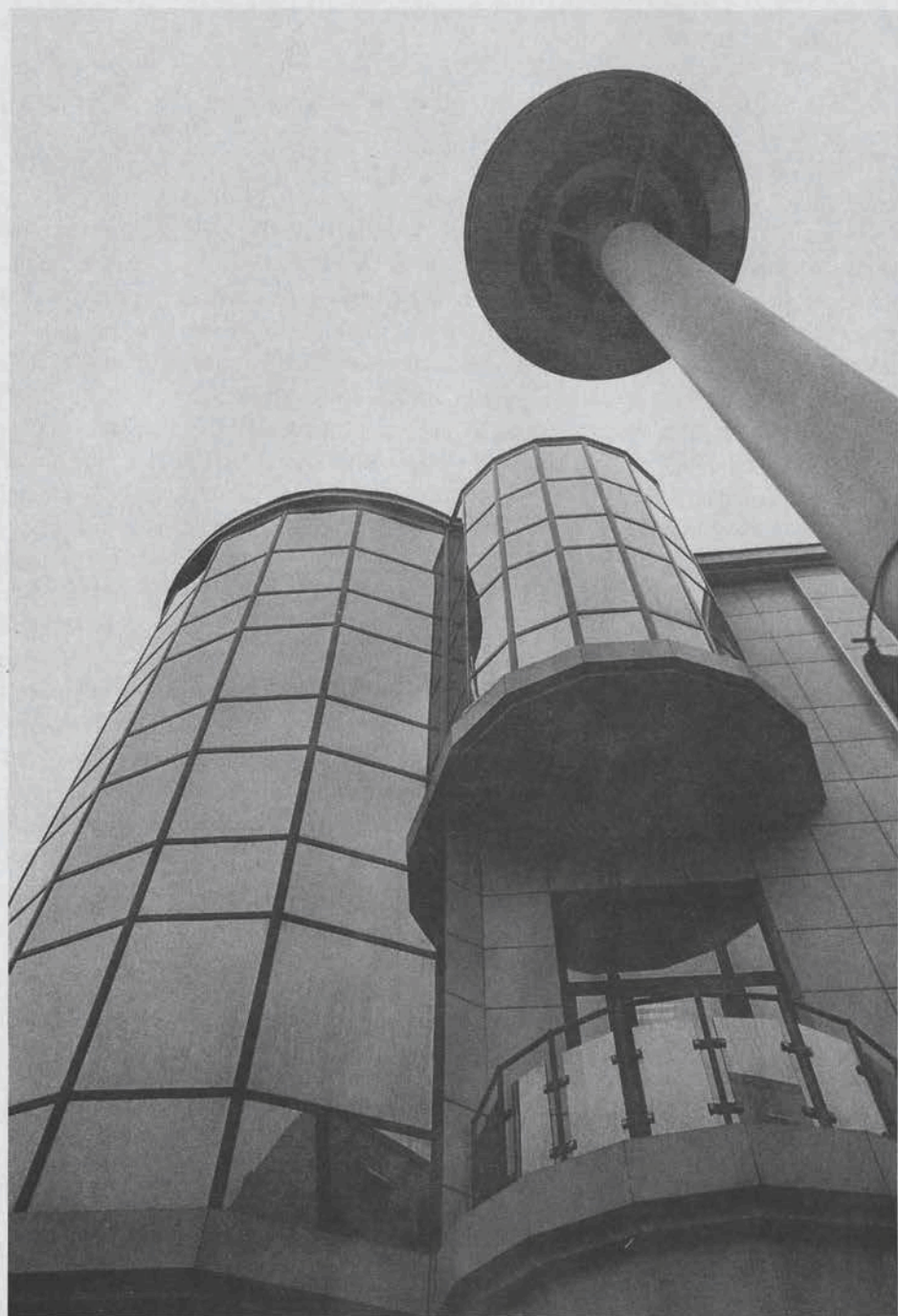
Zmiany, które nastąpiły w Polsce po roku 1989, również w Łodzi widoczne są gołym okiem. Ale widoczne są nie tylko nowe sklepy, banki i rosnąca z roku na rok ilość samochodów, lecz także rozsypujące się stare kamienice, oblażące z tynków bloki realnego socjalizmu i pustoszące budynki fabryczne. Spacer po Łodzi może być pod tym względem kształcący, nawet bez opuszczania centrum. Nie jest on lub może nie być uznany za wiarygodne źródło informacji o mieście. Za bardziej wiary-

godne należy uznać dane statystyczne o „sytuacji społeczno-gospodarczej Łodzi”, choć ich lektura prowadzi do równie ambiwalentnych wniosków.

W statystyce

W latach 1989-95 nastąpiły pewne istotne zmiany w ilości i (wbrew pozorom) tylko niewielkie w strukturze zatrudnienia. Mimo znacznego ograniczenia produkcji, Łódź jest nadal miastem przemysłowym (ok. 40% zatrudnionych pracuje w przemyśle), o tradycyjnej strukturze (tzn. z dominacją przemysłu włókienniczego). Zmniejszyło się co najmniej o 1/3 (brak możliwości dokonania dokładnych obliczeń, ze względu na zmiany w statystyce) zatrudnienie w sektorze usług publicznych służących rozwojowi cywilizacyjnemu, tj. kulturze, nauce, edukacji.

Jeżeli chodzi o przemysł, to zmieniły się tylko proporcje między zatrudnionymi w przemyśle tekstylnym i odzieżowym. Znacznie zmalała ilość zatrudnionych w tym pierwszym, zaś wzrosła w drugim (nadal nieco więcej osób pracuje w branży tekstylnej). Zmiany strukturalne są rezultatem upadku państwowych gigantów włókienniczych oraz rozwoju małych i średnich prywatnych firm odzieżowych. Te ostatnie miały jednak już swój znaczący udział w sektorze prywatnym lat 80. Ich dynamicznemu rozwojowi w I połowie lat 90. sprzyjała pozycja Łodzi jako „zagłębia odzieżowego” z okresu realnego socjalizmu oraz umiejętność szybkiego przystosowania się do warunków wolnego rynku. W latach 1989-95 powstało także wiele prywatnych sklepików i hurtowni, niemniej ilość zatrudnionych w tej sferze działalności gospodarczej wzrosła tylko o parę tysięcy osób. Natomiast w budownictwie zatrudnienie zmalało prawie o 50% (w porównaniu z rokiem 1988). Z dużych miast tylko na Śląsku ilość nowych mieszkań zbudowanych w roku 1994 (na 1000 mieszkańców) była niższa niż w Łodzi. Zdecydowanie lepiej wygląda Łódź na tle innych województw, jeżeli chodzi o ilość sklepów (jeden sklep obsługuje średnio 81,4 mieszkańca). To „lepiej” staje się problematyczne z punktu widzenia możliwej do osiągnięcia rentowności w handlu. Pocieszająca może być w tym względzie informacja, że łodzianie znacznie więcej pieniędzy przeznaczają na konsumpcję niż mieszkańcy innych województw (II miejsce po Warszawie). To z kolei dziwi w kontekście niskich dochodów i niskiego udziału pracujących na 1000 mieszkańców (37,5%, co plasuje Łódź na 31 miejscu). Nie wspominając już o wysokiej (choć ostatnio malejącej) stopie bezrobocia i liczbie klientów opieki społecznej (w roku 1995 przyznano różnego rodzaju zasiłki 63471 osobom). Tę rozbieżność między oficjalnymi dochodami i wydatkami na konsumpcję można tłumaczyć dwojako. Po pierwsze, że łodzianie wydają wszystko co zarabiają (zaś w innych województwach mieszkańcy są bardziej oszczędni). Po drugie, że jest to efekt istnienia trudnej do oszacowania, ale rozległej szarej strefy. O czym mogą świadczyć trudności ze znalezieniem pracowników (szczególnie do firm odzieżowych, chodź nie tylko) przy liczącej ok. 90 tysięcy rzeszy bezrobotnych.



fot. Piotr Zdrzyński

Koła zamachowe

Niezależnie od tego, ilu ludzi faktycznie w Łodzi pracuje, główne źródła ich dochodów stanowią (w sferze produkcji materialnej) przemysł odzieżowy i handel prywatny. Są to z reguły raczej małe niż średnie firmy o niskiej rentowności. To z kolei określa możliwość akumulacji kapitału i dalszego ich rozwoju. Pojawia się więc pytanie, czy te dwa „koła zamachowe” koniunktury gospodarczej Łodzi I połowy lat 90. nie wyczerpały już swoich możliwości rozwoju. W Łodzi, jak na razie, nie pojawiły się jeszcze (poza Makro Cash and Carry) supermarkety z prawdziwego zdarzenia (w Warszawie jest ich już 10). Może również z tego powodu, że mamy aż tak dużo sklepów. W każdym razie małe sklepy (a takich w Łodzi większość) mają niewielkie szanse na przetrwanie, jeśli zachodnie sieci supermarketów zechcą (przy przyzwoleniu władz miasta) wejść na łódzki rynek. Z drugiej strony napływ obcego kapitału do Łodzi ma dość ograniczony zasięg (choć w ostatnich dwu latach sytuacja zmieniła się na korzyść). Tym niemniej, udział firm zagranicznych w produkcji, sprzedaży i zatrudnieniu należy w Łodzi do jednych z najniższych ze wszystkich wielkich aglomeracji w Polsce.

Znacznie trudniej ocenić szanse i zagrożenie sektora małych czy średnich firm odzieżowych. Trzeba bowiem pamiętać, że znaczna ich część produkuje na rynki zewnętrzne (zarówno wschodni, tj. kraje byłego ZSRR, jak i zachodni — zwłaszcza niemiecki). W latach 1991-94 znaczna część produkcji firm odzieżowych sprzedawana była na rynku wschodnim. Obecnie eksport na ten rynek zmniejszył się, a część producentów przeniosła się na rynek zachodni, na którym konkurują ze sobą, przede wszystkim cenami, co czyni produkcję tej branży coraz mniej opłacalną. W kraju zaś udział procentowy wydatków na odzież w wydatkach ogółem systematycznie maleje. W tym układzie teza o wyczerpywaniu się indywidualnych zasobów przedsiębiorczości (w sensie dalszej ekspansji) w sferze handlu i produkcji odzieżowej nie wydaje się być nieuzasadniona.

Parę lat temu wystarczyło, że jakiś zdesperowany producent odzieży rozłożył „szczękę” na trasie wylotowej z Łodzi, by zaraz przyłączyli się do niego inni będący w podobnej sytuacji. I tak powstał największy bazar w Europie, powstał on bez żadnej strategii, programów restrukturyzacji i funduszy pomocowych na rozwój small businessu. Na początku łódzkiej drogi do kapitalizmu było to możliwe.

W XXI wiek

Teraz bez pomysłu (tj. strategii zmieniającej w sposób istotny strukturę miasta) na „nową ziemię obiecaną”, nie wydaje się to już takie proste. Czy tym pomysłem są autostrady, specjalna strefa ekonomiczna, rewaloryzacja Księżego Młyna (notabene podobna koncepcja była opracowana już w latach 70.) czy „przyciąga-

nie kapitału”? A może wszystkie razem, lub coś całkiem innego powinno być pomysłem czy wizją miasta?

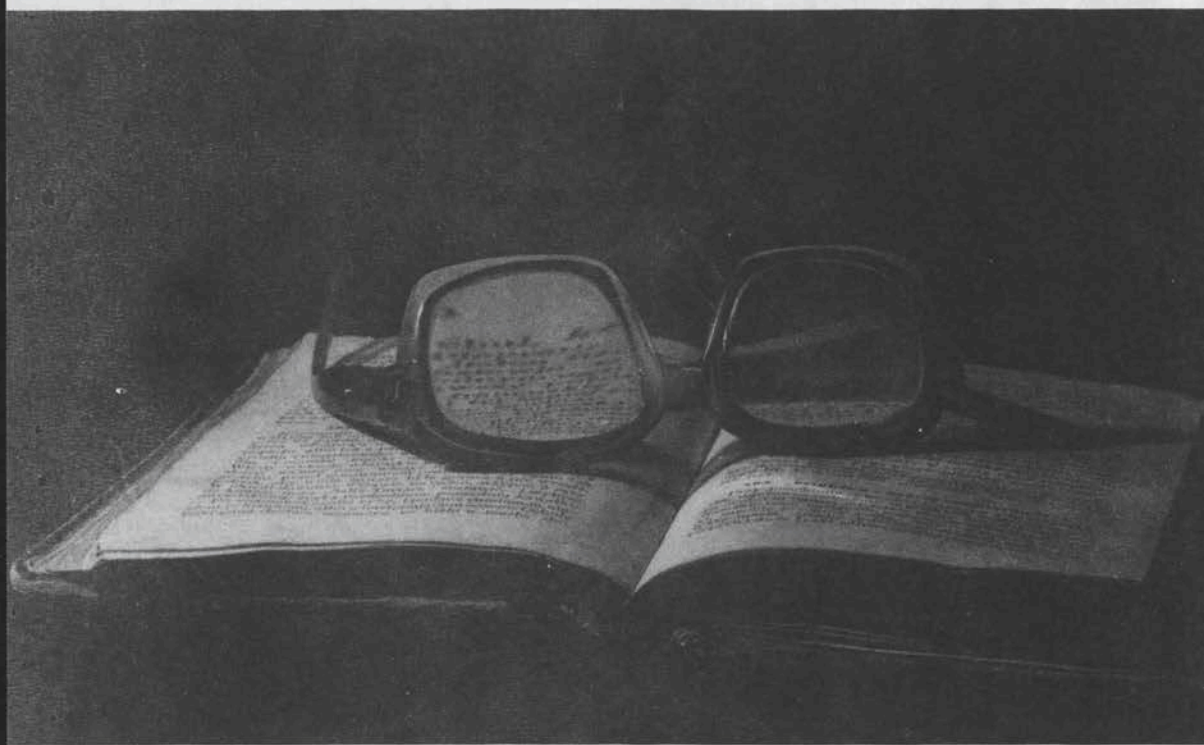
Wydaje się jednak, że są to wszystkie środki lub drogi osiągnięcia celu. Pytanie, co ma być tym celem i czy w ogóle ktoś zapyta wprost — jaka ma być Łódź XXI wieku (poza tym, że europejska i bogata).

Na to pytanie powinni szukać odpowiedzi wszyscy: kompetentne instytucje i środowiska profesjonalne. Wizja Łodzi XXI wieku może powstać tylko w rezultacie ścierania się różnych (merytorycznie) uzasadnionych pomysłów oraz poczucia odpowiedzialności za własne pomysły i działania różnych grup społecznych.

Jak na razie, spacer między Piotrkowską a Księżym Młynem nie całkiem sprzyja wystawianiu laurki za dotychczasowe dokonania w „europeizowaniu” naszego miasta. Wystawianie laurek zostawmy jednak następnym pokoleniom, a my „róbmy swoje”.

JADWIGA KONIECZNA

Świat książki Łodzi przemysłowej
1820—1918



fot. Piotr Zdrzyński

Opracowania historyków dotyczące blisko sześćsetletnich dziejów Łodzi koncentrują się na historii ostatnich lat 170, kiedy to za sprawą przemysłu i handlu nastąpił intensywny rozwój miasta. O tym, że rozwój ten nie był harmonijny (zwłaszcza w okresie zaborów), świadczą przydomki, jakie Łódź sobie wówczas zyskała: „złe miasto”, „Kominogród” czy ironiczna „ziemia obiecana”. W świadomości społecznej znacznie częściej kojarzyły się z Łodzią takie pojęcia jak geszeft i Lodzermensz niż kultura i książka.

Te uproszczenia i stereotypy w świetle badań naukowych ostatnich kilkunastu lat uległy jednak pewnej weryfikacji. Odnosi się to również do spraw książki. Opracowanie niniejsze jest pierwszą próbą syntetycznego ujęcia różnorodnych zjawisk i problemów związanych z książką w Łodzi przemysłowej. Przyjęcie pojemnej, aczkolwiek niejednoznacznie interpretowanej formuły „świat książki” pozwoliło — mamy nadzieję — na wieloaspektowe przedstawienie spraw książki w Łodzi na przestrzeni blisko 100 lat okresu zaborów.

Charakterystyczne dla tej epoki utrudnienia i bariery w organizacji polskiego życia kulturalnego zostały w Łodzi dodatkowo spotęgowane czynnikami ekonomicznymi i demograficznymi. W mieście bez tradycji, którego rozwój wyznaczały głównie możliwości przerobu bawełny i w którym żyli obok siebie przedstawiciele kilku narodowości, różnych wyznań religijnych i orientacji politycznych, nieprędko w uznawanym systemie wartości mogła znaleźć się książka. Proces jej upowszechniania jednak następował, a jego dynamika z biegiem lat wzrastała. Pozostawało to przede wszystkim w ścisłym związku ze zmianami zachodzącymi w lokalnej społeczności.

Decyzja władz Królestwa Kongresowego z września 1820 r. podnosząca Łódź do rzędu osad fabrycznych zapoczątkowała proces głębokich przeobrażeń w liczącym niespełna 800 mieszkańców rolniczym miasteczku. Szybkiemu przyrostowi warsztatów sukienniczych, a później fabryk włókienniczych, nie towarzyszył podobnie intensywny rozwój instytucji książki. Zabrakło zresztą czynników, które by temu sprzyjały. Tradycji kulturalnych, jak już wspomniano, miasto nie miało. W Łodzi rolniczej w końcu XVIII w. nie było najprawdopodobniej szkoły ani klasztorów, będących niejednokrotnie ośrodkami gromadzenia i upowszechniania piśmiennictwa. Łagiewniki ze swym klasztorem franciszkanów znajdowały się wówczas kilka kilometrów od granic Starego Miasta.

Rozwój systemu szkolnego, zapoczątkowany otwarciem w 1808 r. szkoły elementarnej, do połowy lat 40. nie wyszedł poza ten najniższy poziom. Tymczasem władze oświatowe Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, przywiązując dużą wagę do tworzenia księgozbiorów szkolnych, szczególnie preferowały rozwój bibliotek przy szkołach wojewódzkich, zalecając ich publiczne udostępnianie. Niski status administracyjny miasta nie sprzyjał organizowaniu takich instytucji świata książki. Nie było także żadnej potrzeby otwarcia w Łodzi drukarni, jak to np. miało miejsce w początkach wieku w Kaliszu, Płocku, Radomiu, w których — jako miastach departamentowych lub wojewódzkich — powstała konieczność publikowania oficjalnych organów prasowych władz.

Pierwszymi instytucjami książki
w Łodzi przemysłowej
były biblioteczki
przy szkołach elementarnych.

Do wybuchu powstania listopadowego istniały dwie, a w skład ich księgozbiorów wchodziły głównie podręczniki i pomoce metodyczne dla nauczycieli. Były to wydawnictwa przesyłane przez władze oświatowe lub nabywane na ich polecenie przez dozór szkolny, czyli czynnik społeczny organizujący system edukacji na szczeblu lokalnym.

Po powstaniu listopadowym społeczny dozór szkolny zostaje wyeliminowany i rosyjskie władze oświatowe, zezwalając na mocy ustawy z 1840 r. na istnienie bibliotek szkolnych, pilnie czuwają nad doborem właściwych książek. W efekcie polskie wydawnictwa są coraz częściej zastępowane przez rosyjskie.

Obok kilkunastutomowych zbiorów przy szkołach elementarnych, poczęto w połowie lat 40. gromadzić znacznie większy księgozbiór dla potrzeb nowo utworzonej Szkoły Powiatowej Realnej Niemiecko-Rosyjskiej, pierwszej szkoły średniej niższego typu w Łodzi. W roku 1850 liczył on 564 tomy książek i 273 numery czasopism. Mimo iż językiem wykładowym szkoły miały być rosyjski i niemiecki, to jednak część zajęć odbywała się w języku polskim. Do zbiorów bibliotecznych włączano również książki polskie, np. w 1864 r. przesłano z Warszawy kilkanaście tomów wydawnictw, wśród których znalazły się dzieła Lelewela, Naruszewicza, Staszica, Kochanowskiego.

Biblioteka Szkoły Realnej, przekształconej później w Szkołę Powiatową Specjalną, przez kilkanaście lat pozostawała jedynym tak znacznym księgozbiorem na terenie Łodzi, ale zasięg jej społecznego oddziaływania ograniczony był tylko do grona pedagogów i uczniów szkoły. Natomiast zjawisko poszerzania się kręgu ludzi o pewnych potrzebach intelektualnych (nauczyciele, lekarze, urzędnicy, a przede wszystkim uczniowie) wywoływało zapotrzebowanie na innego typu niż biblioteka instytucje książki.

Księgarz
jako jedna z lokalnych profesji
jest wymieniany w aktach miejskich
począwszy od roku 1845.

Jednak niejaki Jankiel Gutsztadt konsensus na prowadzenie księgarni uzyskał oficjalnie w 1848 r. Trudno z braku źródeł jednoznacznie określić, jakimi drogami pozyskiwali łodzianie książki przed otwarciem księgarni. Można jedynie przypuszczać, że korzystano z usług handlarzy wędrownych i jarmarcznych sprzedawców, lub z systemu prenumeraty popularnego w I połowie XIX w.

Jeszcze przed powstaniem listopadowym pojawił się nowy element łódzkiego świata książki, a byli nimi introligatorzy. Spisy ludności z lat 40. i 50. odnotowują nawet czterech lub pięciu przedstawicieli tej profesji. Prawdopodobnie jednak przedmiotem ich zabiegów były raczej oprawy ksiąg handlowych czy innej dokumentacji fabrycznej niż książki literackiej i naukowej.

Kolejne placówki świata książki zaczęto organizować w Łodzi dopiero na przełomie lat 50. i 60. Stało się to możliwe wskutek krótkotrwałego liberalizmu władz carskich, zezwalających na organizację niektórych elementów polskiego życia kulturalno-oświatowego. Otwarcie w 1859 r. dwóch księgarń — Juliusza Arndta i Godfryda Berlacha — oraz ich egzystencja przez następnych kilkanaście lat dowodzą, że w rozwijającym się żywiołowo ośrodku przemysłowym utrwaliło się już zapotrzebowanie na książkę. Ponieważ system szkolny od początku lat 60. nie uległ zasadniczym zmianom (nadal nie było szkoły średniej), odbiorcami poszerzonej oferty księgarskiej byli prawdopodobnie także dorośli łodzianie, chociaż tylko niespełna 18% blisko 40-tysięcznej ludności miasta umiało czytać. W największym stopniu posiadała tę umiejętność ludność niemiecka (ponad 20% piśmiennych) przy ogólnej przewadze tej grupy narodowościowej (ok. 50% całej ludności).

Potrzeby łódzkich czytelników książek odnosiły się głównie do wydawnictw niemieckich i te zapewne znajdowały się we wspomnianych księgarniach. Dokładne dane o zasobach księgarń Arndta i Berlacha (wówczas już poszerzonych o wypożyczalnie) pochodzą z przełomu lat 60. i 70.

Policmajster odnotował wówczas,
że wśród 5095 egzemplarzy
znajdujących się w księgarni Arndta
ponad połowę (2618)
stanowiły wydawnictwa w języku niemieckim,
a polskie nieco ponad 5% (270 egz.).

Znacznie większy zbiór polskich wydawnictw znajdował się w wypożyczalni Arndta — ok. 30% całego zasobu. Biorąc jednak pod uwagę popularną wśród księgarzy w

XIX w. praktykę przesuwania do wypożyczalni „niechodliwych” pozycji z sortymentu księgarni, można przypuszczać, że niezbyt często nabywano tam polską książkę. Arndt nie był zaś dostarczycielem jedynie literatury tandetnej i jarmarcznej. Z protokołów policmajstra sporządzonych w czasie wizytacji księgarni wynika, że Arndt miał też polską książkę historyczną, wydawnictwa o Krakowie i polskie powieści współczesne.

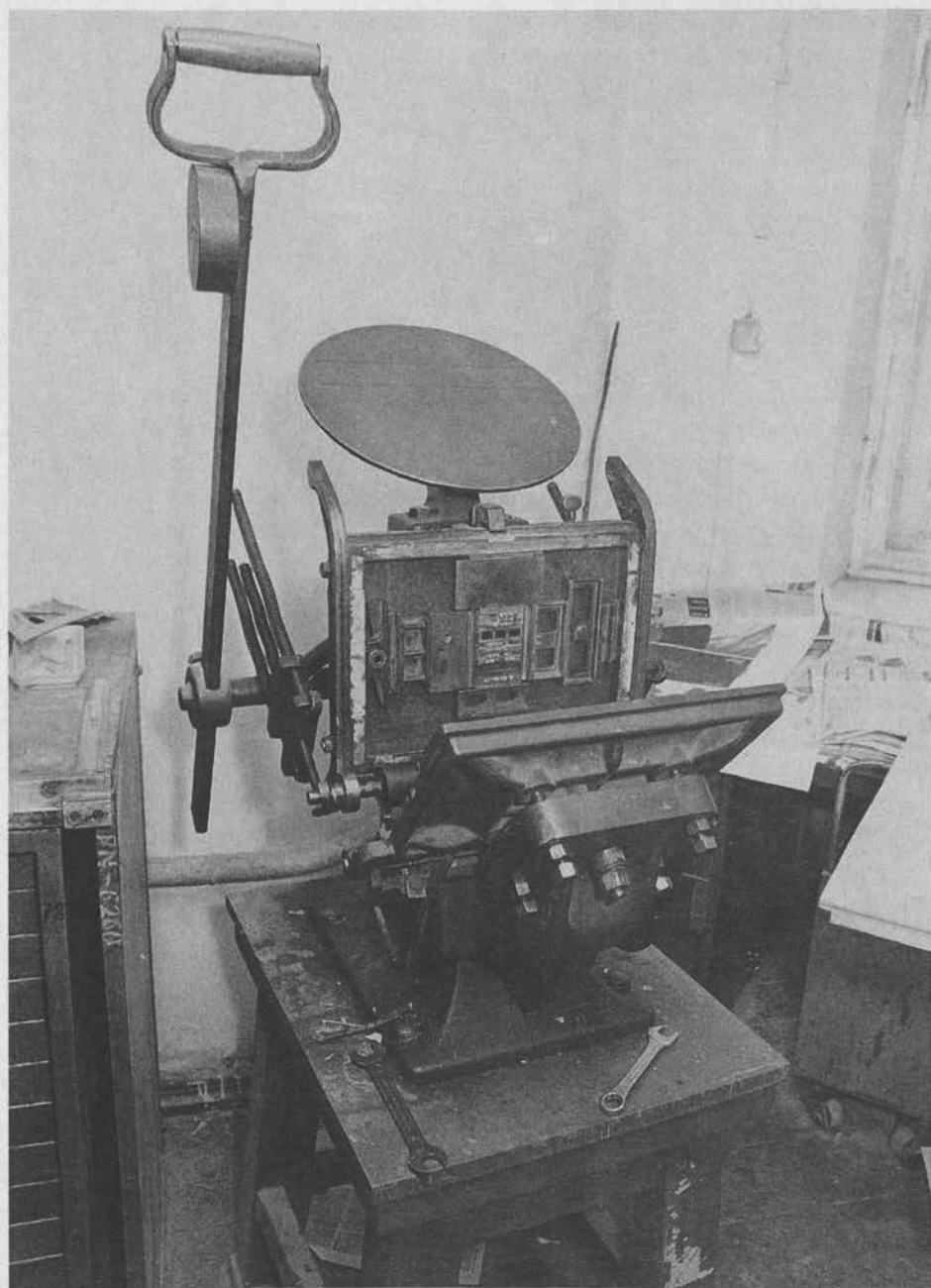
Zmiany w ustawodawstwie dotyczącym ludności żydowskiej, a zwłaszcza zniesienie w 1862 r. przez A. Wielopolskiego wszelkich ograniczeń miejsca zamieszkania, spowodowały znaczny przyrost wyznawców judaizmu w Łodzi. W połowie lat 60. odsetek Żydów wynosił 21,1%, gdy na początku tej dekady jedynie 16%. Zapotrzebowanie na książkę wśród członków społeczności żydowskiej pozostawało w ścisłym związku z ich życiem religijnym. Toteż dwie księgarnie żydowskie, które otwarto w 1865 i 1867 r. oferowały jedynie wydawnictwa religijne w języku hebrajskim. Łącznie w księgarni Moszka Perlmuttera i Izraela Zajberta w roku 1870 znajdowało się 8606 egzemplarzy takich książek. W końcu lat 70. przybyła jeszcze jedna placówka handlu książką obsługująca Żydów. Jej właścicielem był Fajwel Bornsztein, a zlokalizowana została przy Starym Rynku.

Ludność chrześcijańską w latach 70. nadal obsługiwały dwie księgarnie — J. Arndta i C. Richtera. C. Richter prowadził także wypożyczalnię oraz sprzedaż materiałów piśmiennych. Urodzony w Łodzi, w rodzinie niemieckiej osiadłej w Polsce, uczestnik powstania styczniowego, jest pierwszym w mieście nad Łódką typem księgarza profesjonalisty. W 1876 r. uzyskał zgodę władz na otwarcie w Łodzi drugiej placówki prowadzonej przez ojca Józefa. Księgarnia Richtera to już nie sklepik z książkami, ale prowadzona z pewnym rozmachem instytucja książki. Obok wypożyczania i sprzedaży lokalnej właściciel podejmował mniej lub bardziej legalne próby kolportażu na terenie innych miast Królestwa. Jako pierwszy w Łodzi prowadził też udaną działalność wydawniczą. W ofercie księgarskiej, a zwłaszcza czytelniczej Richtera nadal przeważała książka niemiecka, czego dowodem opublikowany w 1881 r. *Catalog der deutschen Leihbibliothek der C. Richter'schen Buchhandlung in Łódź*.

Liczba księgarń w Łodzi w latach 70. nie uległa zmianie i zdaniem władz gubernialnych była wystarczająca. Jedyną otwartą w Łodzi w latach 70. instytucją świata książki był kantor sprzedaży gazet, czasopism i książek kupca drugiej gildii Leopolda Janiszewskiego.

Prawdopodobnie kryzys ekonomiczny lat 70. przyczynił się też pośrednio do rozszerzenia nowej formy sprzedaży książek, jaką był handel obnośny. Zezwolenia udzielające władze gubernialne tylko na rok i z reguły na tzw. „handel z ręki”. Sprzedawcy najczęściej lekceważyli te przepisy, rozkładając swój towar na rynku czy w bramie, jak np. Szlama Mitler, który dopiero w drugiej połowie lat 80. uzyskał zezwolenie na otwarcie własnej księgarni.

Wśród prowadzących sprzedaż obnośną w końcu lat 70. przeważają Żydzi. Sprzedają głównie książkę religijną i są prawdopodobnie komisjonerami firm warszawskich. Handluje się także na ulicach książką polską i niemiecką, pochodzącą z łódz-



Maszyna drukarska niemiecka, typu Boston, z przeł. XIX w., z wytwórni Offenbach nad Menem
(ze zbiorów Muzeum Książki)

fot. Piotr Zdrzyński

kich księgarń. Niektórzy sprzedawcy będą, podobnie jak Szlama Mitler, przez następnych kilkanaście lat trwale związani z handlem księgarskim w Łodzi (J. Sendacz, P.Lerner, G. Pfeil).

W latach 70. rozwija się w Łodzi
podstawowy element systemu książki,
a mianowicie drukarstwo.
Początki sięgają roku 1859,
kiedy to Feliks Gotz
założył pierwszą litografię.

Powstanie tego zakładu, podobnie jak później litografii J. Petersilgego z J. Czackowskim, było związane z popytem rozwijającego się przemysłu. Druk etykiet, kolorowych opakowań czy innych akcydensów był możliwy właśnie w litografiach — niewielkich warsztatach o dość prymitywnym wyposażeniu. Prowadzili je fachowcy z odpowiednim przygotowaniem zawodowym. Wszyscy trzej wymienieni litografowie przybyli z Warszawy.

Aż do początku lat 80. rozwój drukarstwa łódzkiego będzie się realizował głównie poprzez litografie. W 1866 r. przybywa kolejna litografia — Maurycego Dietricha (również warszawiaka), a w 1870 — Majera Rundsuteina. Do końca tej dekady przybędzie jeszcze 5 zakładów litograficznych: L. Zonera (1873), A. Psarskiego (1875), A. Łubieńskiego (1876), L. Gutsztadta (1876) i L. Krukowskiego (1878). Nadal są to niewielkie warsztaty, dysponujące dwiema lub najwyżej trzema maszynami litograficznymi i kilkudziesięcioma sztukami kamieni litograficznych.

Rozwój drukarstwa staje się możliwy dopiero z chwilą powstania łódzkiej prasy. Jediną drukarnią w Łodzi w latach 60. jest zakład wspomnianego J. Petersilgego (Czackowski wystąpił ze spółki) drukujący pierwszą łódzką gazetę „Łódzkie ogłoszenia — Lodzer Anzeiger”. Stopniowe poszerzanie pisma i zwiększanie jego nakładu pozostawało w ścisłym związku z coraz lepszym wyposażeniem technicznym drukarni.

W 1877 r. została w niej zainstalowana
pierwsza w Łodzi
maszyna cylindryczna, tzw. „pospieszna”.

Petersilge obok akcydensów, formularzy, ksiąg buchalteryjnych, odbijał też kalendarze książkowe oraz wydawnictwa urzędowe (programy, statuty, sprawozdania) dla niektórych instytucji w Łodzi.

Do końca lat 70. zezwolenie na drukarnię otrzymał jeszcze wspomniany właściciel litografii M. Dietrich. Ograniczał się on jednak tylko do druków handlowych. Rozwój drukarstwa nastąpi w Łodzi dopiero w latach 80.

W latach 60. i 70. władze gubernialne roztaczają coraz ściślejszy nadzór nad placówkami świata książki. Dzieje się to głównie za sprawą powołanego w 1859 r. przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Głównego Urzędu do Spraw Prasowych. W roku 1870 na mocy przepisów z 1865 r. powołano przy gubernatorze piotrkowskim urzędnika do specjalnych poruczeń, który dokonywał okresowych kontroli w łódzkich drukarniach i księgarniach. Protokoły powizytacyjne przesyłano do Naczelnika Ziemskiej Straży w Łodzi, który miał egzekwować wykonanie zawartych w nich zaleceń oraz nadzorować w sposób ciągły proces pracy zakładów.

Lata 80. w życiu Łodzi zaznaczyły się wysokim tempem rozwoju przemysłu i niezwykłą dynamiką przyrostu ludności. Zwiększona produkcja zakładów przemysłowych wymagała siły roboczej; stąd między 1875 a 1885 r. nastąpiło podwojenie liczby ludności, do ponad 100 tysięcy. Stopniowo zaczynała się też zmieniać struktura narodowościowa. Grupą przeważającą stawali się Polacy, chociaż była to głównie napływowa ludność wiejska, zaliczana do tzw. mieszkańców niestałych.

W okresie tym dostrzegamy wyraźną tendencję wzrostową w dziedzinie drukarstwa. Dotyczy to zarówno liczby istniejących zakładów, jak i ich wyposażenia. Zaczyna się proces przekształcania wielu domowych warsztatów litograficznych w przedsiębiorstwa zatrudniające nierzadko kilkudziesięciu pracowników. Gdy w 1882 r. policmajster w corocznym wykazie sporządzanym dla władz gubernialnych wymieniał 11 zakładów typograficznych i litograficznych, to w 1891 r. było ich już, według jego danych, 22. Wykaz z 1891 r. wyjątkowo uwzględnia narodowość właścicieli drukarni. Przeważają Żydzi — 14, obok dwóch Niemców i sześciu Polaków.

Nadal działają zakłady założone w latach 60. i 70. Najstarsza łódzka drukarnia J. Petersilgego w 1892 r. zatrudnia już 25 pracowników i ustępuje znacznie dynamiczniej rozwijającej się w latach 80. typolitografii z intrologatornią R. Luthra, w której pracuje 46 ludzi. Do większych i dobrze wyposażonych należą też zakłady L. Zonera i drukarnia „Dziennika Łódzkiego”, wyposażone w maszynę pośpieszną i zatrudniające po 15 osób.

Rozwój większych zakładów drukarskich
w Łodzi w latach 80.
pozostaje w ścisłym związku
z poszerzeniem się lokalnego rynku prasowego.
Petersilge drukuje „Lodzer Zeitung”,
Zoner — „Lodzer Tageblatt”,
a w drukarni „Dziennika Łódzkiego”
wychodzi pierwsza polska gazeta.

Jednocześnie prasy drukarskie zaczynają odbijać broszury popularne, podręczniki w języku polskim i niemieckim i wreszcie utwory beletrystyczne.

Zlecenia na te edycje pochodzą od lokalnych firm księgarskich. Działalność wydawniczą zapoczątkował jeszcze w 1879 r. C. Richter kalendarzem w języku niemieckim, wydrukowanym jednak w Lipsku. Dopiero L. Fiszer, który nabył w 1882 r. księgarnię C. Richtera, zaczął wydawać podręczniki. Początkowo do nauki języka niemieckiego, a w latach 90. również do polskiego. Także podręcznikami do nauki niemieckiego „debiutował” na łódzkim rynku wydawniczym w końcu lat 80. inny księgarz-nakładca R. Schatke. Obydwaj odbijali nakłady w drukarni „Dziennika Łódzkiego”. Z czasem większość edycji Fiszera wychodzić będzie spod pras typografii J. Petersillego.

Pierwsza polska książka literacka ukazała się w r. 1884 nakładem i drukiem L. Krukowskiego, w którego zakładzie odbijano wówczas „Dziennik Łódzki”. Była to publikowana wcześniej w odcinkach w gazecie *Arcyksiężna de Sinnbach* Edouarda Siebeckiera.

Sieć księgarska w Łodzi, nie będąc związana bezpośrednio z przemysłem, rozwijała się w latach 80. znacznie wolniej niż drukarnie. Nową księgarnię otworzył w 1881 r. przy Piotrkowskiej 53 przybyły z Poznańskiego Polak S. Zienkowski. Gdy w rok później chciał przyjąć do spółki pracującego z nim R. Schatke, naczelnik Ziemskiej Straży uznał, że intencją Zienkowskiego jest pozyskanie w ten sposób klientów niemieckich. Polskie nazwisko w szyldzie nie zapewniało mu bowiem — zdaniem urzędnika — dostatecznie licznej klienteli. Ostatecznie R. Schatke stał się w 1884 r. wyłącznym właścicielem tej księgarni.

W połowie lat 80. były więc w Łodzi 4 księgarnie chrześcijańskie, 4 żydowskie i 1 kantor przyjmowania prenumeraty, rozpowszechniania gazet. Przy wszystkich księgarniach działały wypożyczalnie książek udostępniające zbiory w czterech językach (polskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim). Daje się zaobserwować nowe zjawisko — oto księgarnie prowadzone przez Żydów oferują także wydawnictwa w innych niż hebrajski językach.

W przeciwieństwie do drukarni, lokalizowanych w różnych rejonach miasta i często zmieniających swą siedzibę, księgarnie mieszczą się w zasadzie na Piotrkowskiej (lub w pobliżu głównej ulicy) w obrębie Nowego Miasta, czyli na odcinku od Nowego Rynku (Plac Wolności) do Dzielnej (Narutowicza).

Informacje o zmianach siedziby, o nowym sortymencie księgarń, może łodzianin znaleźć sporadycznie w „Lodzer Zeitung” (także w jęz. polskim), a od 1884 r. już w polskiej gazecie. „Dziennik Łódzki” zamieszcza nie tylko płatne reklamy księgarskie, ale szczególnie w pierwszych latach istnienia — próbuje mieć udział w kształtowaniu kultury książki w Łodzi.

W obliczu dominacji języka i kultury niemieckiej
na łamach „Dziennika Łódzkiego”
promowana jest przede wszystkim
polska literatura i książka.

W księgarniach dostrzegano potencjalnego sojusznika w tych działaniach, redakcja zaś przyznawała sobie rolę wiodącą w tworzącym się systemie książki w Łodzi. „Firmy księgarskie, jako mające związek bezpośredni z ruchem umysłowym społeczeństwa, powinny pozostawać pod opieką i kontrolą prasy... księgarnie Łodzi zasługują tem więcej na poparcie, że starają się wzbudzić u publiczności tutejszej zamiłowanie do literatury swojskiej i nabywania wydawnictw nowych, a usiłowania te w mieście naszym napotykają jak wiadomo na niemałe trudności” — pisano w 1884 r. na łamach „Dziennika Łódzkiego”.

Z relacji gazety wynika, że większe księgarnie (Schatkego, Fiszera, Richtera) oferowały nie tylko polską książkę dla dzieci i młodzieży, ale także poezję romantyczną (dozwoloną przez cenzurę), wydawnictwa historyczno-literackie (np. P. Chmielowskiego), albumy malarstwa polskiego (np. A. Grottgera) oraz współczesną powieść. Łodzianie najczęściej odwiedzali jednak księgarnie tylko w okresie przedgwiazdkowym i jak wynika z lakonicznych wzmianek w latach 1884-86, chętniej kupowali wydawnictwa niemieckie.

„Książek niemieckich sprowadzają więcej,
ani słowa,
lecz i kupują więcej”

— informowano w cotygodniowym felietonie w grudniu 1885 r.

„Dziennik Łódzki” odnotowuje również w tym czasie wzrost czytelnictwa wśród Żydów. Zdaniem gazety, Żydzi czytają nie tylko prasę w języku hebrajskim, ale także literaturę piękną w żargonie, udostępnianą w wypożyczalniach przy księgarniach żydowskich. Natomiast przybyli z Rosji Żydzi — Litwacy swe potrzeby czytelnicze ograniczali do literatury i prasy rosyjskiej.

W drugiej połowie lat 80. pojawiają się nowe księgarnie. Ich właściciele to zarówno łodzianie, jak wieloletni sprzedawca uliczny Szlama Mitler, który prowadził głównie sprzedaż antykwaryczną podręczników, ale także przybysze z innych miast. W roku 1886 osiedlił się w Łodzi księgarz wileński Herszon Strakun, a w końcu 1885 r. przeniósł swą księgarnię z Pabianic do Łodzi W. A. Ziebarth. Ten ostatni „specjalizował” się głównie w literaturze niemieckiej i handlu podręcznikami. Jego księgarnia mieściła się przy Piotrkowskiej, ale już poza obrębem Nowego Miasta. Celem Ziebartha było, jak deklarował w prasie, zaspokajanie potrzeb czytelniczych mieszkańców Wólki (dzisiejsze okolice Wólczańskiej i Czerwonej). Zwiększeniu obrotów miała sprzyjać równoczesna sprzedaż materiałów piśmiennych i świadczenie usług introligatorskich.

Zakładanie nowych placówek handlu książką w II połowie lat 80. pozostawało w ścisłym związku z nieznacznym rozwojem systemu szkolnego. W 1883 r. otwarto

kilka nowych szkół elementarnych, w 1886 r. dwa gimnazja rządowe: męskie i żeńskie, a szczególną opieką władz cieszyła się od 1880 r. 4-klasowa Szkoła Aleksandrowska. Ostatecznie w 1892 r. policmajster doliczył się w 140-tysięcznym mieście 16 księgarń, przy których najczęściej działały wypożyczalnie. W Warszawie było w tym okresie ponad 100 takich placówek.

W latach 80. pojawiają się w Łodzi nowe biblioteki. Dotychczas sieć bibliotek tworzyły zamknięte księgozbiory szkolne (największa biblioteka Łódzkiej Szkoły Rzemieślniczej liczyła w 1885 r. 3587 tomów) oraz wypożyczalnie przy księgarniach — jedyne ogólnodostępne (choć z barierą finansową) biblioteki na terenie miasta.

Zasłużony animator życia kulturalno-literackiego w Łodzi, warszawski pozytywista Henryk Ezenberg, podjął w 1882 r. próbę zorganizowania wypożyczalni książek na zasadach spółdzielczych. Ideę tę kontynuowali następnie adwokaci E. Holc i A. Kohn przy gorącym poparciu „Dziennika Łódzkiego”. Zbyt słabe było jednak jeszcze środowisko łódzkiej inteligencji, aby biblioteka taka mogła się rozwinąć.

Istniała natomiast od 1886 r. czytelnia przy Stowarzyszeniu Młodzieży Ewangelickiej. Udostępniała głównie wydawnictwa niemieckie (książki i czasopisma) o treści religijnej.

Tworzenie bibliotek staje się w końcu lat 80. udziałem grup zawodowych, które były w stanie powołać do życia własną, legalną organizację. Zapisanie w statucie danego stowarzyszenia prawa do założenia biblioteki było jedyną możliwością zapewnienia określonej grupie odbiorców dostępu do książki. W 1887 r. z szansy tej skorzystali lekarze zrzeszeni w Towarzystwie Lekarskim i subiekci zorganizowani w Stowarzyszeniu Wzajemnej Pomocy Subiektów Handlowych, powołując do życia biblioteki przeznaczone dla swych członków. Także dla zamkniętej społeczności, związanej z zakładem pracy, przeznaczona była biblioteka przy fabryce Scheiblera (niezależnie od istniejącej wcześniej biblioteki przy szkole zakładowej).

Koniec lat 80. to także początki bibliotek nielegalnych, wspierających działalność tajnych organizacji związkowych czy — z czasem — partyjnych. Prawdopodobnie pierwszą założył w Łodzi w r. 1888 S. Szuman w fabryce Stephanusa.

Drukarnie, księgarnie, biblioteki, nie były jedynymi elementami ówczesnego systemu książki w Łodzi.

Obok sprzedawców ulicznych handel książką (legalnie lub częściej bez zezwolenia) podejmowali właściciele sklepów z materiałami piśmiennymi czy introligatorzy. Natomiast jedni i drudzy starali się o zezwolenie na prasy drukarskie i zapas czcionek, co umożliwiało wykonywanie drobnych prac drukarskich (wizytówki, akcydensy itp.).

W latach 90. następuje dalszy wzrost liczby nowych placówek świata książki, intensywnie rozwijają się też niektóre z firm założonych wcześniej. Dotyczy to szczególnie drukarni. Zakłady J. Petersilgego zatrudniały np. na początku XX w. 130 osób, u Zonera zaś w 1898 r. pracowało 98 osób. Największym i najnowocześniejszym zakładem stało się jednak w początkach XX w. przedsiębiorstwo R. Resigera, zięcia wspomnianego Zonera, zatrudniające około 200 ludzi.

Część założonych w ostatniej dekadzie XIX w. drukarni to nadal typowe, niewielkie warsztaty obsługiwane przez właściciela i jego rodzinę. Powstało też wówczas kilka firm, które już w nowym stuleciu zaznaczą swój udział w produkcji typograficznej w Łodzi. Wymienić tu należy oficyny A. Karskiego, S. Dębskiego, J. Szczesniewskiego czy drukarnię „Rozwoju”. Obok wydawnictw urzędowych spod pras drukarskich wychodzą kolejne tytuły gazet i czasopism jak „Lodzinskij Listok”, „Ewangelische-Luterische Kirchenblatt”, „Hausfreund”, „Czasopismo Lekarskie”, „Ognisko Rodzinne”, „Rozwój”, „Goniec Łódzki”. Powoli powiększa się też produkcja dziełowa.

Widoczny w końcu lat 90. wyraźny wzrost edycji łódzkich księgarń nakładowych był efektem zmian, jakie w ostatnim pięcioleciu XIX w. zaszły w otoczeniu łódzkiego świata książki. Obok czynników zewnętrznych, czyli krótkotrwałego liberalizmu władz carskich po wstąpieniu na tron Mikołaja II i odwołaniu generał-gubernatora warszawskiego Hurki, zasadniczy wpływ na rozwój instytucji książki miały przemiany wewnętrzne, które stopniowo zachodziły w polskim Manchesterze. Zapoczątkowany w okresie wydawania „Dziennika Łódzkiego” i za jego sprawą proces organizowania się środowiska polskiej inteligencji, propagowania polskiej książki i literatury, nie ustał z chwilą zamknięcia gazety w 1892 r. Od 1888 r. działała, ze zmiennym wprawdzie powodzeniem, stała scena polska, stabilizował się też teatr niemiecki. W końcu lat 90., po przejściu nadzoru nad szkolnictwem handlowym przez Ministerstwo Finansów, powstało w Łodzi kilka szkół handlowych. Ożywioną działalność społeczną i naukową prowadzili lekarze łódzcy z K. Jonscherem i S. Sterlingiem na czele.

Wreszcie u schyłku wieku
pojawiają się, w krótkim odstępie czasu,
dwie polskie gazety —
„Rozwój” i „Goniec Łódzki” —

które mimo ciągłych potyczek z cenzurą będą konsekwentnie zwiększać swój nakład („Rozwój” z 800 egz. w 1897 r. do 2000 w 1900), mimo iż codziennie ukazywało się ponad 5000 egzemplarzy „Lodzer Zeitung”.

O wzrastającym od początku lat 90. zainteresowaniu polską książką i gazetą na terenie Łodzi świadczy nie tylko powiększanie się sieci księgarskiej wraz z istnieją-

cymi przy większości sklepów wypożyczalnią, ale także powstawanie nowych instytucji książki.

W początkach lat 90. pojawiają się w Łodzi ekspozytury pism warszawskich. Przyjmują prenumeratę, prowadzą kolportaż gazet i premiów książkowych, pośredniczą w zamieszczaniu ogłoszeń i reklam. Początkowo są to pojedyncze upoważnione osoby (często właściciele księgarń), ale z czasem powstają kantory i biura dzienników. Tylko w 1891 r. założyły swe agencje „Kurier Warszawski”, „Wiek” i petersburski „Kraj”.

Publiczna dostępność czasopism możliwa jest w tym czasie jedynie w cukierniach. Zarówno zestaw tytułów (za dużo niemieckich, także brukowców), jak i stan fizyczny (podarcia, poplamienia, kradzieże) są przedmiotem częstej krytyki na łamach „Dziennika Łódzkiego”. Jedynie cukiernia Szmagiera proponowała więcej tytułów polskich (15) niż obcych (13) w języku niemieckim, rosyjskim, francuskim.

O stopniowym poszerzaniu się społecznego zasięgu książki świadczy zakładanie pierwszych wypożyczalni samoistnych, działających bez zaplecza własnej księgarni. W Warszawie w roku 1894 funkcjonowało już 18 tego typu bibliotek. W Łodzi pierwsza powstała w 1894 r. i prowadzona od następnego roku przez rodzinę Rogowskich pod kierunkiem znanego działacza oświatowego z kręgu S. Michalskiego — Bronisława Rogowskiego, szybko stała się placówką upowszechniającą wartość literaturę zarówno wśród inteligencji łódzkiej, jak i w środowisku robotniczym.

Nadal z braku ustawodawstwa nie ma żadnych prawie możliwości otwierania bibliotek społecznych. Nieliczne stowarzyszenia zawodowe organizują wprawdzie księgozbiory, ale ich udostępnianie ograniczone jest do kręgu członków danego związku. W 1890 r. własną bibliotekę poczęło tworzyć Stowarzyszenie Techników, a w końcu lat 90. dwa nowo powstałe stowarzyszenia wzajemnej pomocy nauczycieli — chrześcijan i Żydów.

W 1900 r. w Łodzi były 23 księgarnie,
przy 9 z nich istniały wypożyczalnie.

Ponadto funkcjonowały 3 wypożyczalnie samodzielne, 6 bibliotek przy stowarzyszeniach i fabrykach. Zakładów litograficznych, typograficznych i typolitografii było łącznie 36. Do 34 zwiększyła się też liczba osób prowadzących w Łodzi sprzedaż obnośną. Pewien udział w handlu książki miały również sklepy sprzedające obrazy oraz sklepy z materiałami piśmiennymi. W tych ostatnich można było nabyć kalendarze, widokówki, a w sklepach z obrazami modlitewniki. Prenumeratę gazet i czasopism oprócz księgarni przyjmowały dwa kantory wydawnictw periodycznych. Było



Dom Gebethnera i Wolffa, ul. Piotrkowska 48 (ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

to stanowczo za mało jak na potrzeby miasta blisko trzystutysięcznego, zwłaszcza że część księgarń należało klasyfikować jako sklepy z książkami handlujące tylko podręcznikami bądź literaturą brukową.

Poszerzającego się systemu instytucji książki nie był w stanie nadzorować już policmajster. W końcu 1899 r. władze zatwierdziły więc dla Łodzi inspektora dla nadzoru nad drukarniami, litografiami i handlem księgarskim. W maju 1900 r. stanowisko to objął Michał Lisiewicz. Przez najbliższych 14 lat będzie on wywierał istotny wpływ na kształt i funkcjonowanie łódzkiego świata książki.

Do obowiązków inspektora należało m.in. opiniowanie podań o otwarciu nowych zakładów i zaznajamianie właścicieli księgarń i bibliotek z wykazami książek zabronionych. Zasadniczym jego zajęciem były jednak permanentne i skrupulatne kontrole podległych placówek książki w celu wychwytywania wydawnictw nielegalnych, zabronionych przez cenzurę. Inspektor Lisiewicz był człowiekiem wykształconym, traktującym swe obowiązki poważnie i rzeczowo. Jego opinie o kandydatkach do zawodu i wyrażane niejednokrotnie oceny stanu łódzkiego księgarstwa, są nacechowane wnikliwością i krytycyzmem. Starając się eliminować analfabetów i oszustów, popierał jednak znających dobrze język rosyjski i prawomyślnych. Za niezwykle trafną charakterystykę łódzkiego świata książki u progu XX wieku można przyjąć jego wypowiedź na temat księgarni M. Ettingera, który swej placówce nadał nazwę „Oświata”.

„I oto jest specyficzna łódzka sytuacja.
W guberni państwa rosyjskiego,
z zezwolenia rosyjskiej władzy,
żydowska księgarnia
z polską nazwą «Oświata»”.

Należy tu jeszcze dodać, że księgarnia ta (podobnie jak kilka innych) sprzedawała podręczniki i literaturę polskim uczniom, sprowadzała z Lipska żądane książki niemieckie, a właściciel uważał się za Polaka wyznania mojżeszowego.

Jednocześnie próbował inspektor Lisiewicz objąć nadzorem i ścisłą kontrolą wszystkie elementy łódzkiego świata książki. W 1901 r. wystąpił do gubernatora z własnym projektem przepisów o sprzedaży obnośnej gazet, czasopism i książek w Łodzi. Nadzór nad tą gałęzią pozostawał dotychczas w gestii policmajstra i on to ostatecznie dokonał krytycznej analizy propozycji Lisiewicza.

Z inicjatywy inspektora zacieśniono też nadzór nad sklepami z materiałami piśmiennymi. Poczynając od 1902 r. wszyscy właściciele musieli uzyskać nowe zezwolenie władz na handel kalendarzami, widokówkami, pismami ilustrowanymi. Ostatecznie w 1903 r. 18 sklepów papierniczych prowadziło równolegle sprze-

daż wspomnianych wydawnictw, a 51 osób trudniło się handlem obnośnym gazet i książek.

Poszerzył się znacznie zasięg działania łódzkich księgarń. Mieszczą się już nie tylko wzdłuż całej prawie Piotrkowskiej, ale także na ulicach do niej prostopadłych (Dzielna, Przejazd, Cegielniana) i na równoległej do Piotrkowskiej Mikołajewskiej. Nowomiejska jest natomiast rejonem działania małych księgarenek żydowskich. W ich pobliżu często funkcjonują nielegalne chedery. Pojawiają się pierwsze księgarnie we wsiach podłódzkich, które za kilka lat zostaną włączone do miasta. W 1901 r. otwarto sklep z książkami w Chojnach, a w 1902 w Widzewie.

Kolejny kryzys ekonomiczny lat 1899-1904 zaznaczył się niekorzystnie w łódzkim księgarstwie. W latach 1903-05 uległo likwidacji kilka większych księgarń, m.in. M. Ettingera, W. Kaczmarka (prowadził bogaty sortyment polskich wydawnictw) i Rychlińskiego i Wegnera (bardzo potężna księgarnia nakładowa). Jednocześnie na początku wieku rozszerza się w Łodzi nielegalny obieg wydawnictw. Protokoły żandarmerii z lat 1901-02 wymieniają setki druków (czasopism, ulotek, książek, broszur) znajdujących w różnych punktach miasta. Była to nie tylko socjalistyczna literatura propagandowa i nie tylko przez robotników kolportowana. W 1902 r. znaleziono np. ponad 100 książek niecenzuralnych u Zofii Boruch, córki byłego fabrykanta. Pojawiają się nielegalne drukarnie. W latach 1899-1900 pracuje tajna drukarnia PPS, w której Józef Piłsudski odbija „Robotnika”.

Wydarzenia lat 1905-06 w istotny sposób wpłynęły także na kształt łódzkiego świata książki.

Zmiany w ustawodawstwie — manifest wolnościowy z 30.10.1905 r., a zwłaszcza tymczasowe przepisy o związkach zawodowych z 17.03.1906 r., dały podstawy do pewnej instytucjonalizacji życia społeczno-kulturalnego w Królestwie Polskim. Łódź stała się też jednym z największych ośrodków ruchu zawodowego. Podobnie jak w innych miastach powołano do życia cały szereg stowarzyszeń i organizacji kulturalno-oświatowo-artystycznych. Te ostatnie szczególnie podejmowały liczne akcje na rzecz podnoszenia poziomu oświaty społeczeństwa łódzkiego. Wcześniej jeszcze, w październiku 1905 r., uzyskano prawo zakładania polskich szkół prywatnych i możliwość wprowadzenia języka polskiego do szkół.

W tej sytuacji ujawniło się wzmożone zapotrzebowanie na książkę (nie tylko polską), powstały też nowe możliwości jego zaspokajania. Po roku 1906 rośnie szybko ilość działających w Łodzi instytucji książki. Rośnie jednak w sposób nieproporcjonalny. Elementem dominującym stają się biblioteki. Charakterystyczne,

że minimalnie tylko zwiększa się liczba wypożyczalni przy księgarniach. Przeważają zdecydowanie biblioteki powstałe z inicjatywy społecznej, w tym pierwsze wypożyczalnie o charakterze publicznym. Wzrasta też w sposób skokowy produkcja wydawnicza łódzkich oficyn księgarskich. To ostatnie zjawisko, będąc również efektem wprowadzenia przez władze w 1901 r. cła na wydawnictwa importowane, stymulowało dalszy rozwój łódzkiego drukarstwa. Tylko nieznacznie jednak rosła liczba nowych zakładów. Duże drukarnie, mając większe możliwości finansowe, inwestują w nowe urządzenia, co pozwala na zwiększenie efektywności produkcji.

Wówczas m.in. unowocześniła wyposażenie
drukarnia „Rozwoju”,
co pozwoliło jej na druk wartościowych
i bardzo estetycznie wydanych własnym nakładem
publikacji książkowych.
Najbardziej znaczące to *Pan Tadeusz*
(1906 — pierwsze pełne wydanie w Królestwie)
i monografia *Kraków*.

Wysokimi walorami estetycznymi odznaczały się wydawnictwa ilustrowane wychodzące z drukarni R. Resigera. Była to jedna z najlepszych łódzkich drukarni, a jako jedyna stosowała chromolitografię.

Dalsza zmiana w jakości łódzkich druków nastąpiła w roku 1908, kiedy to R. Borkenhagen otworzył zakład fotochemigraficzny, w którym wykonywano klisze siatkowe dowydawnictw ilustrowanych.

Wydarzenia lat 1905-07 przyczyniły się także do uaktywnienia mniejszości społecznych (narodowych, religijnych). Powstają liczne organizacje żydowskie, rozszerza się na terenie Łodzi działalność mariawitów.

W 1909 r. do drukarni E. i M. Hamburgskiego sprowadzono czcionki w jidysz. Pozwoliło to nie tylko na wydawanie dziennika żydowskiego „Łodzier Togblat”, ale także na druk broszur i książek beletrystycznych w jidysz. Także znaczny udział w produkcji drukarskiej Łodzi miała wówczas drukarnia mariawitów odbijająca w dużych nakładach własne wydawnictwa.

Najwięcej jednak ukazuje się podręczników, zwłaszcza do języka polskiego. Ich autorami są niejednokrotnie nauczyciele łódzcy, a wydawcą, jednym z największych w Królestwie, księgarnia L. Fiszera.

Przed wybuchem I wojny powstało jeszcze w Łodzi kilka większych drukarni, jak zakład T. Grapowa i L. Mazurkiewicza (1910), zakład graficzny Z. Terakowskie-

go (1912). Po roku 1909 większość drukarni prasowych instaluje już maszyny rotacyjne, zaś w 1911 do drukarni „Rozwoju” sprowadzono maszynę do mechanicznego składania tekstów, a następnie do odlewania ich w formie wierszy.

W Łodzi,
w ostatnich latach przed I wojną światową,
zwiększyła się znowu
liczba zakładów drukarskich,
przybyło zwłaszcza małych warsztatów.

O ile w 1906 r. było ich 51, to w 1910 r. już 65 i taki stan utrzymywał się do wybuchu wojny.

Powyższe liczby, zaczerpnięte z oficjalnych wykazów sporządzanych przez inspektora do spraw drukarni dla władz gubernialnych, nie uwzględniają, rzecz jasna, drukarni nielegalnych, których w okresie 1905-07 działało na terenie Łodzi kilka. Najbardziej znane to drukarnia zorganizowana przez W. Matuszewskiego (SDKPiL) w mieszkaniu A. Leśniewskiego i drukarnia St. Burkota (PPS).

Na rozwój księgarstwa w tych latach największy wpływ wywarły zmiany w szkolnictwie i tworzący się system oświaty dorosłych (kursy dla analfabetów, odczyty). Szybko dostrzeżono nową koniunkturę w zakresie handlu książką i tylko w 1906 r. otwarto 7 nowych placówek księgarskich, a kilka już istniejących utworzyło filie. W ciągu następnych trzech lat przybyło kolejnych 8 sklepów i w 1910 r. znajdowało się w Łodzi ok. 40 księgarń. Bezspornie największą i najstarszą była księgarnia L. Fiszera kierowana przez Pawła Miksa. Oprócz bogatego sortymentu prowadziła wypożyczalnię książek i nut oraz działalność wydawniczą. Inne znacniejsze placówki to księgarnia S. Miszewskiego (otwarta 1906), A. Straucha (zał. 1904), A. Słomnickiego (zał. 1899).

W związku ze zmianami społeczno-politycznymi pogłębia się też proces różnicowania księgarń. Obok placówek oferujących uniwersalny sortyment (pod względem języka i treści) są księgarnie z literaturą żydowską (Bornstein, Munk, Landau), niemiecką (bracia Erdman), z wydawnictwami religijnymi (J. Kowalski — mariawici, G. Nikiel — ewangelicy, a w 1912 r. otwarto dużą księgarnię „Przeglądu Katolickiego”).

Zwiększająca się liczba szkół elementarnych i powstawanie nowych placówek naukowych na poziomie średnim sprawiły, że obroty księgarń pochodziły w znacznym stopniu ze sprzedaży podręczników. Pozyskiwano więc klientów różnymi metodami i środkami. Powszechne były wypadki skupywania od uczniów podręczników za bezcen, o który to proceder prasa oskarżała głównie małe księgarnie żydowskie. Dostrzegając możliwość zysków, w sprzedaży podręczników ingerowała rów-

niez niejednokrotnie Łódzka Dyrekcja Szkolna próbując organizować w szkołach własne księgarnie dla uczniów.

Inne charakterystyczne zjawisko,
zwłaszcza dla lat 1906-08,
to sprzedaż w wielu księgarniach
literatury nielegalnej
o treści patriotycznej i rewolucyjnej.

Władze starały się przeciwdziałać rozpowszechnianiu tego typu wydawnictw. General gubernator Kaznakow postanowieniem z listopada 1907 r. zapowiadał wysokie grzywny i kary więzienia za sprzedaż publikacji podlegających konfiskacie. W Łodzi szczególnie intensywnie handlował tego typu literaturą księgarz G. Wałach. Wielokrotnie też na wniosek inspektora Lisiewicza pociągany był do odpowiedzialności.

Zwiększony popyt na książkę wykorzystywali także właściciele sklepów z materiałami piśmiennymi. Liczba placówek, które otrzymały prawo sprzedaży kalendarzy i różnego typu wydawnictw ilustrowanych, wzrosła w roku 1910 do 53 (w 1903 było ich 18), a jednocześnie 182 osoby prowadziły handel uliczny. Sprzedaż i kolportaż wydawnictw periodycznych realizowały 3 kantory. Największym było biuro dzienników „Promień”.

Zaszły dalsze zmiany w lokalizacji księgarń. Kilka nowych otwarto na Piotrkowskiej, w okolicach Górnego Rynku. Pojawiły się też księgarnie na Nawrot, Wólczańskiej oraz na Starym Mieście (Franciszkańska, Plac Kościelny).

Elementem łódzkiego systemu książki, który po roku 1905 uległ największej rozbudowie były biblioteki. W roku 1906 założono ich 6, w 1907 — 25, a w 1908 — 18. Przeważały biblioteki organizowane przez związki zawodowe i towarzystwa oświatowe. Uaktywniły się też mniejszości narodowe. Żydzi zwłaszcza zaczęli gromadzić księgozbiory w jidisz. Głównym odbiorcą nowo powstających bibliotek mieli być robotnicy. Terror porewolucyjny spowodował, że po roku 1908 zmniejszyła się liczba nowych placówek, a znaczna część istniejących nie przejawiała żywszej działalności.

Największym księgozbiorem związkowym (ok. 9000 tomów) była przed I wojną biblioteka przy Stowarzyszeniu Pracowników Handlowych istniejąca od 1887 r. Do zasobniejszych należały jeszcze biblioteki Stowarzyszenia Komwojażerów, Biblioteka im. Bronisława Grossera przy Stowarzyszeniu „Harfa”, Stowarzyszenia Pracowników Handlowych Żydów „Wzajemna Pomoc” (obie miały zbiory w jidisz) i Stowarzyszenia Zawodowego Robotników Przemysłu Włóknistego „Praca”. Posiadały one od 2000 do 4000 tomów. Znaczna część bibliotek związkowych to niewielkie księgozbiory zgromadzone drogą darów. Nie zawsze odpowiadały one zainteresowaniom robotniczego czytelnika.

Największe sukcesy
w zakresie upowszechniania książki
w szerokich kręgach społecznych
odniosło Towarzystwo Krzewienia Kultury.

W czterech wypożyczalniach zlokalizowanych w różnych częściach miasta znajdowało się w 1913 r. ok. 13000 woluminów i była to zarówno beletrystyka, jak i książki naukowe. W tym samym roku odnotowano ok. 2700 czytelników.

Po roku 1908 akcję upowszechniania czytelnictwa podjęło Towarzystwo Oświatowe „Wiedza”, ale do roku 1914 zorganizowało ono tylko 2 wypożyczalnie.

Próby stworzenia biblioteki publicznej podejmowane w latach 1905-14 przez W. Czajewskiego, K. Stebelskiego i Towarzystwo Kultury Polskiej nie przyniosły rezultatu.

Wybuch wojny
i zajęcie Łodzi przez Niemców w grudniu 1914 r.
wpłynęły niekorzystnie
na sytuację polskiej książki.

Represje okupanta dotknęły przede wszystkim prasę (zamknięto redakcje kilku gazet), ale także drukarnie. Wskutek rekwizycji urzędzeń i czcionek wiele zakładów przestało istnieć. Powstało jednak w tym czasie kilka nowych firm, a i niektóre przedwojenne funkcjonowały nadal.

W pierwszym roku wojny znacznie pogorszyła się (nie tylko w Łodzi) sytuacja księgarstwa, zarówno nakładowego jak i sortymentowego. Jedynie firma L. Fiszera usiłowała utrzymać się na dotychczasowym poziomie.

Ożywienie życia społeczno-kulturalnego, jakie nastąpiło po roku 1916 w wyniku spektakularnych ustępstw niemieckich na rzecz Polaków, zaowocowało przyrostem nowych instytucji książki w Łodzi. Znowu, podobnie jak w latach 1906-08, powstały nowe biblioteki (ok. 50). W tej liczbie znalazła się też powołana do życia w 1917 r. z inicjatywy inteligencji łódzkiej Biblioteka Publiczna.

Pomimo niezwykle trudnej sytuacji ekonomicznej społeczeństwo łódzkie poświęcało znaczne środki na rozwój polskiego szkolnictwa. Powiększano istniejące biblioteki szkolne, ale tworzono też nowe (np. przy Polskich Kursach Pedagogicznych). Niektóre stowarzyszenia dla dzieci (Towarzystwo „Wiedza”, wypożyczalnia „Zorza”).

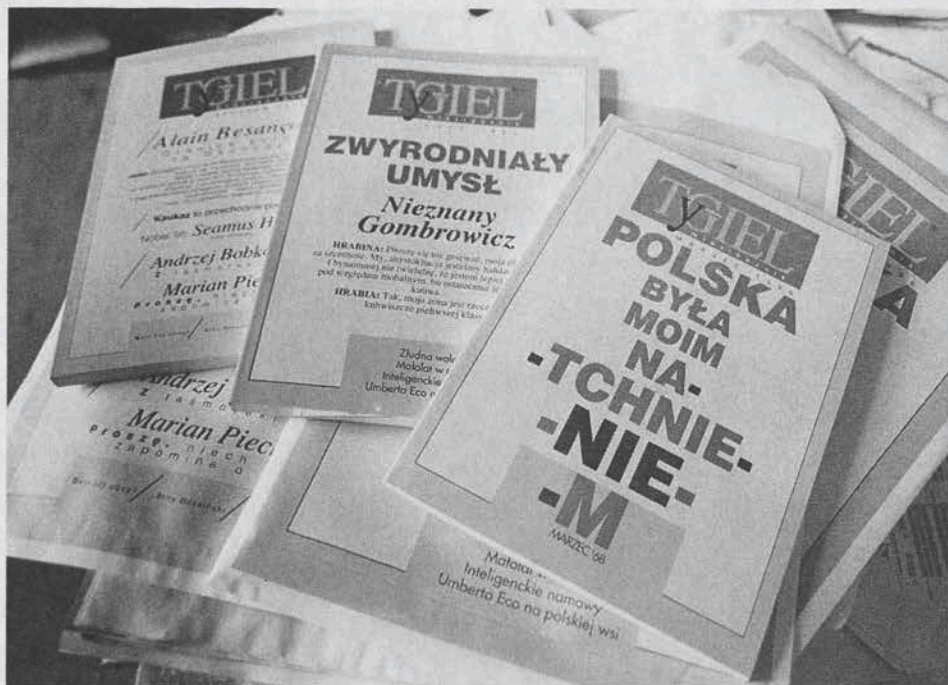
Po raz pierwszy fakt istnienia na terenie Łodzi wielu bibliotek dostrzegły władze miejskie, asygnując w 1917 r. pewną kwotę na zapomogi dla bibliotek stowarzyszeń robotniczych i oświatowych.

Podejmując na koniec próbę najbardziej lapidarnej oceny rozwoju świata książki Łodzi przemysłowej między rokiem 1820 a 1918 trudno nie podkreślić, że świat książki ze światem przemysłowym pozostawały w nikłym związku. Wzajemne relacje zaznaczały się głównie na poziomie wytwarzania książki, bo drukarstwo stanowiło jedną z gałęzi łódzkiego przemysłu; księgarnie ze względu na metody pracy związane były bardziej z handlem. Biblioteki zaś, zwłaszcza po roku 1905, starały się służyć największej grupie łódzkiej społeczności — robotnikom. Łódź przemysłowa i jej twórcy nader rzadko oddziaływali pozytywnie na organizację instytucji książki w mieście. Niekorzystna była też ingerencja władz rosyjskich. W tej sytuacji stworzenie u progu odzyskania niepodległości niewielkiego, ale o różnorodnych elementach świata książki jest zasługą co światlejszych mieszkańców, którzy reprezentowali nad Łódką interesy trzech narodowości.

* Powyższy tekst został wygłoszony na konferencji jubileuszowej, która odbyła się w Łodzi w dniach 4-5 grudnia 1995 r., z okazji 50-lecia pierwszej Katedry Bibliotekoznawstwa w Polsce. Katedra ta powstała w 1945 r. na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego, pod kierunkiem prof. Jana Muszkowskiego.

W tekście powyższym, opublikowanym w materiałach z tej konferencji, zatytułowanych *Rozwój i perspektywy bibliografii polskiej*, redakcja dokonała nieznacznych skrótów oraz — z uwagi na charakter „Kroniki” — usunęła przypisy.

TYGIEL



fol. Piotr Zdrzyński

Na taki moment środowiska kulturalne naszego miasta czekały od wielu lat. Było to oczekiwanie w pełni uzasadnione, gdyż tylko Pismo stwarza szansę włączenia się Łodzi w ogólnopolski obieg myśli, idei, propozycji artystycznych.

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, gromadząc odpowiednie środki finansowe, rozpiął konkurs na wydawcę pisma społeczno-kulturalnego. Z przedłożonych propozycji najwyżej oceniono wspólny projekt Zbigniewa Dominiaka (poeta, prozaik, krytyk literacki) i Zbigniewa Nowaka (dziennikarz, fotografik, swego czasu redaktor *Kalejdoskopu* i *Ten-Tonu*).

Tak powstał TYGIEL. Ukazało się już kilka numerów miesięcznika. Redakcji należy życzyć, by TYGIEL dołączył do wiodących pism polskiego życia umysłowego. Należy też dodać, że obok Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, pomocy finansowej udziela czasopiśmiu również Wydział Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi.

IRENA JAWORSKA

45 lat Państwowej Galerii Sztuki

W 1996 r. mija 45 lat istnienia Państwowej Galerii Sztuki w Łodzi, instytucji prezentującej polską i zagraniczną sztukę współczesną, rozwijającą równolegle działalność wydawniczą, a także organizującą wystawy plastyki polskiej za granicą.



Łódzka Galeria Rzeźby

Jej historia sięga 1949 r., kiedy to zarządzeniem Ministra Kultury i Sztuki zezwolono na tworzenie przez Centralne Biuro Wystaw Artystycznych w Warszawie oddziałów i delegatur w większych miastach Polski. Pierwsze tego typu placówki powołano w 1950 r. w Katowicach, Krakowie, Poznaniu i Bydgoszczy, przeważnie w lokalach przejętych od Związku Polskich Artystów Plastyków. Do zakresu ich działania należało organizowanie wystaw plastycznych i odczytów. Dokładnej daty utworzenia Oddziału Łódzkiego CBWA nie znamy. Zachowany brudnopis kwartalnego sprawozdania z wystaw, obejmujących ekspozycje z końca grudnia 1950 r. i początku stycznia 1951 r., wskazuje na to, że placówka inaugurowała działalność najprawdopodobniej 1 stycznia 1951 r. Pierwszym kierownikiem instytucji wybrany został, rekomendowany przez ZPAP, artysta malarz Tadeusz Roman, który funkcję tę sprawował do r. 1971. Jego następcą został obecny dyrektor, Bernard Kepler. Początkowo siedzibą kierownictwa galerii był dwuizbowy lokal w kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 65. Od połowy 1975 r. jest nią, adaptowana na potrzeby galerii, secesyjna willa Leopolda Rudolfa Kindermanna, mieszcząca się przy ul. Wólczańskiej 31.

Początki wystawiennictwa
Oddziału Łódzkiego CBWA
były skromne.

Na przestrzeni pierwszych pięciu lat realizowano rocznie około 15 wystaw. Ekspozycje organizowane były w dwóch punktach wystawienniczych miasta. Jeden z nich mieścił się w lokalu Spółdzielni Pracy ZPAP przy ul. Piotrkowskiej 102, drugi tzw. Ośrodek Propagandy Sztuki, w parku im. H. Sienkiewicza (dawniejsza Miejska Galeria Sztuki, której nazwę zmieniono w 1948 r.)

Oficjalną doktryną twórczą w sztuce był wówczas realizm socjalistyczny. Tematyka eksponowanych prac ograniczona została do takich zagadnień jak praca, pochody, narady produkcyjne, walka o pokój czy walka z analfabetyzmem. Każdy, kto nie podporządkował się tym nakazom, narażał się na utratę możliwości uczestniczenia w wystawach i otrzymywania zleceń plastycznych. Toteż większość wystawiających starała się tworzyć w duchu nowej doktryny i jak pisał prezes Oddziału Łódzkiego ZPAP — Tadeusz Grygiel, w katalogu dorocznej wystawy związkowej (1950)...

*... Duch realizmu socjalistycznego w sztuce
jest już u nas obowiązujący...
Nawet najzagorzalsi formalisci
czynią znaczne wysiłki, ażeby włączyć się
w ogólny nurt nowej sztuki.*

Większość wystaw o tematyce socrealistycznej prezentowana była w Ośrodku Propagandy Sztuki. Zapoczątkowała je ekspozycja pn. „Świat w walce o pokój”, która swą premierę miała w marcu 1951 r. Inne z wystaw to: „ZSRR — ostoja pokoju” (1951), „Wystawa okolicznościowa zorganizowana z okazji miesiąca pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej” (1953), „III Ogólnopolska Wystawa Plastyki” (1954) czy „Wystawa prac członków ZPAP w Łodzi dla uczczenia II Zjazdu PZPR” (1954). Jednocześnie prezentowano szereg innych wystaw, m.in. etnograficzne (naczynie w kulturach ludowych), sztuki użytkowej (mebli, szkła artystycznego, tkanin, plakatów) i fotograficzne.

Lata 1951-55 to także czas izolowania tzw. kultury socjalistycznej od Zachodu. Plastyka polska gościła głównie w europejskich państwach tzw. demokracji ludowej oraz w Chinach. W zamian wystawy z tych krajów prezentowano w Polsce, w Ośrodku Propagandy Sztuki, m.in. „Czechosłowacką grafikę użytkową” (1955), „Drzeworyt chiński” (1955) i „Bułgarską grafikę i ilustrację” (1956). Prace przedstawiciele awangardy zachodniej nie były w ogóle ekspozowane. Prowadziło to do schematyczności i peryferyjności w polskiej sztuce.

Zmiany nastąpiły w roku 1955.
Zapoczątkowała je
zorganizowana w warszawskim Arsenale
Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki

z okazji V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Stała się ona wyrazem narastającego buntu młodych artystów, domagających się możliwości swobodnego wypowiedzenia się w sztuce. Wystawiane na niej prace godziły w kulturowane normy sztuki, pozbawione były natrętnej dydaktyki, stanowiły inną niż dotychczas odmianę realizmu. Zdaniem Henryka Andersa, Arsenał zaskoczył środowisko łódzkie. Prace ośmiu łodzian biorących udział w ekspozycji należały do najbardziej umiarkowanych.

Kolejne miesiące przyniosły dalsze zmiany w polityce kulturalnej państwa. Znalazły one odbicie w Oddziale Łódzkim CBWA. Ich symptomem była otwarta w grudniu 1955 r. „X Doroczna wystawa prac członków ZPAP”, którą zwiedziła rekordowa ilość 14200 osób. Pisał o niej, we wstępie do katalogu wspomniany już krytyk sztuki:

Rzućcie okiem na wystawę i cofnijcie się w myśl o rok; dzieła powiedzą wam o zwycięstwie dobitniej niż rozradowane oblicza autorów. Szeroki wachlarz indywidualnych postaw i kierunków, świeżość i szczerłość prac, sama ich ilość; wszystko powinno zastanawiać nas i cieszyć.

Rzeczywiście, był to okres, w którym miały miejsce liczne metamorfozy w twórczości plastycznej. Artyści zaczęli odnajdywać się w świecie sztuki na nowo. Wskrze-

szony został nadrealizm, ekspresjonizm, postkubizm, postimpresjonizm. Manifestacją młodej generacji była otwarta w lipcu 1956 r. w Ośrodku Propagandy Sztuki „Wystawa ośmiu plastyków łódzkich”: Stanisława Fijałkowskiego, Leny Kowalewicz, Lecha Kunki, Benona Liberskiego, Krystyny Liberskiej, Jerzego Nowosielskiego, Jerzego Urbanowicza i Leszka Róźgi. We wrześniu tego roku odbył się w lokalu wystawienniczym przy ul. Piotrkowskiej 102 pierwszy w Łodzi pokaz tasyzmu, na który złożyły się prace Zdzisława Głowackiego, dotychczasowego przedstawiciela realizmu socjalistycznego. Obie wystawy wzbudziły dyskusje i emocje.

Na przełomie lat 1956 i 1957
dawni studenci i przyjaciele
zorganizowali w Ośrodku Propagandy Sztuki
pośmiertną wystawę prac
Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego.

Towarzyszył jej pierwszy w dziejach łódzkiego Oddziału CBWA źródłowy katalog. Ekspozycję przeniesiono do Warszawy, a następnie do Paryża. Po tej wystawie nadszedł czas na indywidualne pokazy prac, w których uczestniczyli: Lech Kunka, Stanisław Fijałkowski, Antoni Starczewski, Jerzy Nowosielski, Teresa Tyszkiewicz — twórcy wyróżniający się śmiałymi propozycjami plastycznymi. W 1958 r. odbyła się w Ośrodku Propagandy Sztuki interesująca wystawa prac malarzkich członków klubu „Piątego Koła” (Zdzisława Głowackiego, Andrzeja Łobodzińskiego, Ireneusza Piegrzalskiego, Teresy Tyszkiewiczowej, Jerzego Nowosielskiego i Henri Poulaina), grupującego oprócz plastyków również łódzkich literatów. Równocześnie rozpoczęto w Oddziale Łódzkim CBWA prezentację wystaw indywidualnych artystów spoza środowiska łódzkiego: Jerzego Tchórzewskiego, Andrzeja Wróblewskiego, Tymona Niesiołowskiego, Wacława Taranczewskiego oraz wystaw zbiorowych z okręgów: warszawskiego, poznańskiego i krakowskiego. W grudniu 1957 r. zorganizowano pierwszą w historii łódzkiego Oddziału wystawę sztuki sakralnej.

Wszystkie te ekspozycje i przemiany w życiu artystycznym kraju nie byłyby tak znaczące, gdyby nie wymiana informacji i wystaw z zagranicą. Zapoczątkował je udział Polaków, w tym wykładowcy PWSSP w Łodzi Jerzego Nowosielskiego, w XXVIII Biennale Sztuki w Wenecji w 1956 r. Znaczącą była także ekspozycja towarzysząca Światowemu Spotkaniu Młodzieży i Studentów w Wiedniu, podczas której jeden z 6 medali zdobytych przez Polaków przypadł łodzianinowi Jerzemu Krawczykowi. Kolejne sukcesy to udział Janiny Tworek-Pierzgalskiej w IV Biennale Tkaniny w Lozannie oraz złote medale Antoniego Starczewskiego na Międzynarodowych Konkursach Ceramicznych w Faenzie i na Biennale Grafiki we Florencji.

Dystans dzielący sztukę polską od światowej uległ zmniejszeniu. Powoli nawiązywano kontakty z artystami zachodnimi. Ich wynikiem były prezentowane w Ośrodku Propagandy Sztuki wystawy grafiki holenderskiej, fotografii francuskiej i plastyki norweskiej.

W końcu roku 1959
centralne władze administracyjne
podjęły próbę limitowania
prac abstrakcyjnych na wystawach
do 10 procent.

Instytucje związane z kulturą zaczęły rezygnować z zakupów dzieł niefiguralnych. Zlikwidowano dodatki plastyczne w „Życiu Literackim” i „Kamienie”. Działania władz miały stworzyć pozory braku zainteresowania społeczeństwa sztuką nieprzedstawiającą. Jednocześnie objęto opieką twórców uprawiających sztukę realistyczną, której głównym tematem był człowiek. Okres ręcznego sterowania sztuką trwał mniej więcej do roku 1963, po czym nastąpiło równouprawnienie istniejących kierunków i tendencji. Nadal jednak, pod naciskiem władz administracyjnych i związkowych, urządzano takie wystawy jak: „Łódź w malarstwie”, „XX-lecie Ludowego Wojska Polskiego”, „50 lat Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji” czy wystawa pn. „Człowiek” (1964). Ta ostatnia zyskała szerszy oddźwięk nie tylko w Łodzi. Od momentu jej zaistnienia przyjął się w kraju termin „łódzka szkoła realistów”, z którym łączono nazwiska takich twórców jak: Jerzy Krawczyk, Wiesław Garboliński, Benon Liberski, Leszek Rózga, Barbara Szajdzińska-Krawczyk, Halina Strzyż-Garbolińska, Józef Skrobiński i Jan Łukasik.

W styczniu 1962 r. zdecentralizowano CBWA.
Oddział Łódzki przekształcono
w samodzielny jednostkę budżetową o nazwie
Biuro Wystaw Artystycznych,

nad którą bezpośredni nadzór sprawowało Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi za pośrednictwem Wydziału Kultury. Działalność CBWA ograniczona została do konsultacji programowych i merytorycznych oraz do współdziałania w prezentacji sztuki obcej w kraju i wystaw polskich za granicą. W tym też mniej więcej czasie zrodził się, na szerszą niż do tej pory skalę, zwyczaj organizowania konkursów z różnych dziedzin sztuki o zasięgu okręgowym i ogólnopolskim. Były to konkursy tematycz-

ne, dyscyplinarne i interdyscyplinarne. Na przestrzeni lat 1960-70 ZPAP wspólnie z BWA przygotował ich ponad 40. Najstarszym z nich, trwającym do dziś, okazał się zapoczątkowany przez Juliana Książka, dyr. Graficznej Pracowni Doświadczalnej ZPAP, „Ogólnopolski konkurs graficzny”. Jego uczestnikami i laureatami stała się większość znanych grafików polskich.

Z kolei z inicjatywy tzw. aktywu artystycznego i polityczno-administracyjnego, od połowy lat 60. zaczęto organizować Plenery Ziemi Łódzkiej, Plenery Projektantów zatrudnionych w przemyśle lekkim i — nieco później — Plenery Olimpijskie w Spale. Plenery Ziemi Łódzkiej nie wyróżniały się oryginalnym programem ani określoną zasadą artystyczną doboru uczestników. W latach 1965-73 zorganizowano ich osiem: w Działoszynie, Skierniewicach, Radomsku, Rawie Mazowieckiej, Sieradzu, Kutnie, Uniejowie i Pabianicach. Organizacja Plenerów Olimpijskich w Spale przypadła na lata 70. (1971, 1974, 1977) i 80. (1987, 1988). Plony konkursów i plenerów prezentowano w Ośrodku Propagandy Sztuki i nowo otwartym, przy ul. Piotrkowskiej 88, Salonie Sztuki Współczesnej (lokal przy ul. Piotrkowskiej 102 przydzielony został w 1966 r. Łódzkiemu Towarzystwu Fotograficznemu).

Począwszy od połowy lat 60. rosła liczba (do 30 w roku) i zróżnicowanie wystaw organizowanych w galeriach BWA. Poprawie uległ też sposób ich aranżacji. Ilość wystaw z zagranicy była wciąż nieznaczna.

Społeczność łódzka
obejrzała w tym czasie m.in.
prace grafików skandynawskich,
wystawę artystów Smoleńszczyzny,
ekspozycję plakatu francuskiego i japońskiego

oraz wystawę fotografii międzynarodowej grupy „Magnum”. Lokale BWA nadal udostępniano na prezentacje wystaw indywidualnych (Mieczysław Wejman, Halina Chrostowska, Marian Malina, Alfred Lenica, Andrzej Strumiłło, Zenon Wasilewski, Henryk Berlewi i in.) i zbiorowych twórcom spoza środowiska łódzkiego, m.in. z okręgów krakowskiego, lubelskiego, wrocławskiego, rzeszowskiego, sopockiego i poznańskiego. Natomiast okręg łódzki ZPAP gościł z wystawami w Warszawie, Poznaniu, Olsztynie i Sopocie. W okresach przedświątecznych zaczęto inicjować aukcje i giełdy malarstwa i grafiki. W pierwszej połowie lat 60. z powodzeniem prowadzono subskrypcyjną sprzedaż grafik.

Lata 60. przyniosły falę poszukiwań twórczych. W sztuce abstrakcyjnej panowały słabnący informel i malarstwo materii. Wzrosło zainteresowanie kierunkami konstruktywistycznymi. Sztuka polska wyraźniej włączyła się w nurt sztuki światowej.

Lata 70. przyniosły zmiany polityczne i ekonomiczne sprzyjające ożywieniu kulturalnemu. Optymizm tych czasów budowany był jednak na kruchych podsta-

wach gospodarczych, które dały o sobie znać w 1980 r. Zanim do tego doszło łódzkie BWA przeżyło szczytowy okres rozwoju,

prawdziwe bogactwo wystaw,
spotkań autorskich i odczytów.

Początek temu dało „I Ogólnopolskie Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, Łódź 1972”, w którym udział wzięło 161 twórców, prezentując 368 prac. Byli wśród nich: Magdalena Abakanowicz, Wojciech Sadley, Jolanta Owidzka, Janina Tworek-Pierzgalska. Wystawiane prace pokazywały aktualne tendencje artystyczne w tkaninie unikatowej, świadczyły także o poziomie polskiego wzornictwa przemysłowego. Organizatorami wystawy byli: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Przemysłu Lekkiego, ZPAP i BWA. Kolejne wystawy, które realizowało już Muzeum Historii Włókiennictwa, miały charakter międzynarodowy, zaś cykliczną ekspozycją towarzyszącą stała się organizowana przez BWA „Ogólnopolska Wystawa Tkaniny Unikatowej”. Przy tej okazji BWA przygotowywało we własnych i zaprzyjaźnionych galeriach indywidualne i zbiorowe pokazy prac krajowych i zagranicznych tkaczy (Heleny i Stefana Galkowskich, Magdaleny Abakanowicz, Janiny Tworek-Pierzgalskiej, Kazimierzy Frymark-Błaszczak, Jolanty Owidzkiej, Zofii Butrymowicz, Dobrosławy i Bogusława Kowalewskich, Aleksandry Mańczak, Antoniego Starczewskiego, Bolesława Tomaszewicza, Margot Rolf i Consuelo Valliny). Wystawy te przygotowały grunt pod tak znaczące wydarzenie, jakim stało się Międzynarodowe Triennale Tkaniny.

Kolejnym znaczącym przeglądem artystycznym
była przygotowana w 1974 r.,
w ramach Panoramy 30-lecia PRL,
wystawa pod nazwą
„Tendencje w sztuce łódzkiej”,

prezentowana w salach Muzeum Narodowego w Warszawie. Ekspozycja przedstawiała najwartościowsze zjawiska w sztuce łódzkiej począwszy od lat 20. aż po lata 70. XX w. Część retrospektywna obejmowała, wypożyczone z Muzeum Sztuki, prace łódzkiej awangardy plastycznej, natomiast współczesna — nurt postkonstruktivistyczny i abstrakcyjny będący jej kontynuacją.

W latach 70. przygotowano w łódzkim BWA perspektywiczny program upowszechniania sztuki poprzez cykle wystaw problemowych, którym towarzyszyły pokazy indywidualne artystów. Zapoczątkowało je w 1973 r. Triennale Malarstwa i

Grafiki „Nasz czas — metafora — tendencje”. Organizatorom wystawy (BWA, ZPAP) zależało na znalezieniu punktów stykowych między różnymi koncepcjami metaforycznego wyrażania świata. Na wystawie znalazły się prace artystów występujących pod sztandarami surrealizmu i symbolizmu, ekspresyjne i umiarkowane w formie, proste i o skomplikowanej symbolice. Towarzyszyła jej część historyczna, w której zaprezentowano prace nieżyjących twórców: Jacka Malczewskiego, Stanisława I. Witkiewicza, Karola Hillera, Jankiela Adlera, Witolda Wojtkiewicza, Wojciecha Linke i Jana Sychalskiego. Do udziału w ekspozycji, obejmującej współczesną twórczość, zaproszono wyróżniających się malarzy i grafików ze wszystkich niemalże okręgów ZPAP, m.in. Teresę Pągowską, Jana Dobkowskiego, Annę Güntner, Tadeusza Brzozowskiego, Konrada Szrednickiego, Kiejstuta Bereźnickiego, Wiesława Markowskiego i Andrzeja Nowackiego. W kolejnych latach zrealizowano II (1976), III (1979) i po przerwie IV triennale (1987). W latach 70. trwały indywidualne pokazy prac reprezentatywnych dla tej tendencji. Były to m.in. wystawy malarstwa: Benona Liberskiego, Kazimierza Mikulskiego, Janusza Przybylskiego, Stanisława Fijałkowskiego oraz wystawy grafiki i rysunku: Józefa Gielniaka, Mieczysława Majewskiego, Adama Hoffmanna i Andrzeja Pietscha. Łącznie odbyło się 27 takich pokazów.

W rok po rozpoczęciu prezentacji
nadrealno-metaforycznych
zainaugurowano drugi cykl
złożony z wystaw indywidualnych,
ukazujący tendencje wizualne i konstruktywistyczne.

Wśród wystawiających artystów znaleźli się zarówno przedstawiciele chłodnej, zrationalizowanej sztuki geometrycznej, jak i sztuki abstrakcyjnej, o indywidualnym, intuicyjnym kreowaniu formy. Pokazano 15 wystaw, m.in.: Henryka Stażewskiego, Antoniego Starczewskiego, Zofii Artymowskiej, Ryszarda Winiarskiego, Stefana Gierowskiego i Kajetana Sosnowskiego.

Także ogólnopolska wystawa pn. „Pokolenie 30/40” z 1975 r. zapoczątkowała serię wystaw indywidualnych i jej uczestników. Łączyły ich więzy pokoleniowe, zbliżone warunki społeczne, polityczne i ekonomiczne, w których przyszło im żyć. Wystawa stanowiła próbę określenia twórczego i światopoglądowego wybranego grona artystów. W ramach tego cyklu zaprezentowano w galeriach BWA 15 wystaw indywidualnych takich twórców jak: Jerzy Tadeusz Mróz, Andrzej Sadowski, Edward Dwurnik, Zygmunt Czyż, Jan Dobkowski, Jerzy Duda Grac i in. Wystawy wspomnianych cykli wyróżniały się ciekawymi plakatami i wyczerpującymi katalogami o jednolitej typografii zaprojektowanej przez Bogusława Balickiego i Stanisława Łabęckiego.

Ostatnią znaczącą propozycją końca lat 70. była ogólnopolska wystawa miniatury graficznej z udziałem artystów zagranicznych, zatytułowana „Małe formy grafiki, Polska — Łódź 79”. Rozpoczęła ona trwający do dziś cykl wystaw odbywających się co dwa lata i była wówczas jedyną wystawą w Polsce prezentującą małe formy grafiki, a także jednym z nielicznych tego typu pokazów w świecie. Wzięło w niej udział 112 grafików z 16 krajów.

W 1979 r. urządzono w galeriach BWA ostatnią, 32 doroczną wystawę związkową. Począwszy od pierwszej powojennej, uczestniczyło w nich łącznie 3054 plastyków, eksponując 5265 prac, głównie z zakresu malarstwa, grafiki, rzeźby i rysunku.

Na drugą połowę lat 70. przypadało także organizowanie konkursów malarskich i fotograficznych związanych z pejzażem Łodzi. Celem tych konkursów było zainteresowanie artystów miastem, jego historią i współczesnością. Plastycy biorący udział w wystawach „Łódź — portret miasta” utrwaliли na płótnach i kliszach fotograficznych



Galeria Willa, ul. Wólczańska 31. Siedziba dyrekcji Państwowej Galerii Sztuki

przede wszystkim te wartości pejzażu miasta, które trzeba chronić przed upływem czasu. Przy okazji trwania tych wystaw organizowano plebiscyty publiczności na najlepszą pracę. Wśród głosujących losowano nagrody w postaci dzieł sztuki.

W latach 70., w ramach wymiany kulturalnej,
trafiły do BWA interesujące wystawy,
zwłaszcza z krajów zachodnich.

W porównaniu z minionym dwudziestolecie ich ilość wzrosła dwuipółkrotnie. Przedstawione zostały m.in.: nowa fotografia Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, współczesne malarstwo Iraku, sztuka plastyków kubańskich, fotografia szwajcarska oraz wystawa „Poezja, materia, światło i ruch” z RFN. Z wystaw indywidualnych na uwagę zasługiwały ekspozycje Jose Luisa Cuevasa, Getulio Alvianiego, Raimo Kanerwy i Wolfganga Huttera.

Większość tych wystaw nie doszłaby do skutku bez pozyskania w połowie roku 1975 dwóch nowych salonów wystawienniczych. Pierwszy z nich to Galeria Sztuki BWA (obecnie Galeria Willa) mieszcząca się przy ul. Wólczańskiej 31.

Zainaugurowała ona działalność 30 maja wystawą „Laureaci miasta Łodzi i województwa łódzkiego”, na której znalazły się prace Karola Hillera, Władysława Strzeмиńskiego, Tadeusza Kulisiewicza, Konstantego Mackiewicza, Wacława Kondka i in. Drugi punkt wystawienniczy BWA otwarto 16 czerwca wystawą malarstwa, grafiki i rysunku prof. Leszka Rózgi. Lokal usytuowany w arkadowych podcieniach Starego Rynku 2 nazwano Galerią Bałucką. Prezentowano tam głównie prace młodszego pokolenia artystów.

W latach 1973-80 BWA było także współorganizatorem Łódzkiej Galerii Rzeźby zlokalizowanej w pasażu łączącym ul. Piotrkowską z al. Kościuszki. Poza prezentacją dorobku czołowych rzeźbiarzy galeria plenerowa oferowała sprzedaż prac wladzom dzielnicowym, zakładom pracy, szkołom i spółdzielniom mieszkaniowym. W Galerii Rzeźby wystawiali m.in.: Anna Dębska, Henryk Burzec, Stefan Galkiewicz, Andrzej Jocz, Władysław Frycz i Bogdan Markowski.

W sztuce lat 70. postępowała ekspansja
op-artu, pop-artu,
nowej figuracji i minimal artu.

Pojawiła się sztuka konceptualna akceptująca ideę dzieła, które niekoniecznie musiało być realizowane. Wielu zwolenników zyskała sztuka metaforyczna o zróżnicowanej stylistyce. Główną imprezą początku lat 80. były Ogólnopolskie Konfrontacje Sztuka Młodych — Łódź 80. Uczestniczyło w nich 80 plastyków niemal ze

wszystkich okręgów ZPAP, typowanych przez zespół historyków i krytyków sztuki. W programie konfrontacji znalazły się różne dyscypliny plastyczne, od malarstwa po sztukę video. W toczących się dyskusjach czynnikiem jednoczącym uczestników wystawy, poza więzami pokoleniowymi, był wspólny pogląd na rolę świadomości artysty w świecie sztuki. Oczywiście różnicę stanowiła tematyka podejmowanych prac, formy wyrazu i stosowany warsztat. Impreza będąca jednorazowym pokazem, pomimo powszechnej opinii o potrzebie jej kontynuacji, nie została w następnych latach powtórzona. Nie wydano także katalogu, który dokumentowałby prace i wystąpienia uczestników.

W końcu 1980 r. BWA udostępniło Ośrodek Propagandy Sztuki na nietypową imprezę. Była to aukcja dzieł sztuki na rzecz Solidarności Regionu Ziemi Łódzkiej, w której wzięła udział znaczna część środowiska łódzkiego. Na przełomie kwietnia i maja 1981 r. sfinalizowano w galeriach BWA, przygotowaną przez ZPAP w związku z minionym 35-leciem, szeroką interdyscyplinarną prezentację lokalnego środowiska plastycznego zatytułowaną „Twórcy 81” i łączący się z nią pokaz najwybitniejszych artystów związanych z Łodzią pn. „Twórcy 1945-1980”.

Grudzień 1981 r. przyniósł zahamowanie i regres działań twórczych i organizacyjnych, podzielił środowisko artystyczne.

W wyniku wprowadzenia stanu wojennego wielu artystów na znak protestu rozpoczęło bojkot oficjalnych imprez. Niektórzy z nich zaczęli wystawiać w kościołach i galeriach przykościelnych (Marian Kępiński, Grzegorz Sztabiński, Andrzej Kabala i in.); do wernisaży dochodziło w pracowniach twórców.

Organizowano wówczas wystawy ze zbiorów własnych i innych Biur, prezentowano dorobek powstałego po likwidacji w 1983 r. ZPAP, Związku Polskich Malarzy i Grafików oraz zwiększono ilość ekspozycji zagranicznych. Tylko na przestrzeni lat 1983-88 zorganizowano ich blisko 70. Zwiedzającym pokazano m.in.: młodą sztukę jugosłowiańską, dwie międzynarodowe wystawy drzeworytu Xylon 9 i 10, współczesne malarstwo Jordanii, druk wypukły z RFN, plakat brytyjski z kolekcji Alana Mabeya oraz szereg indywidualnych prezentacji: Evy Choung Fux, Omara Rayo, Antonia Beneyto, Karla Georga Hirscha, Christiana Mischke, Ryuchiro Kano, Joana Ponça i Amara Dawoda.

Dopiero po zawieszeniu stanu wojennego udział artystów w ekspozycjach BWA stał się bardziej widoczny. W pewnym stopniu zaważyło na tym dalsze organizowanie ogólnopolskich konkursów graficznych, ogólnopolskich przeglądów tkanin oraz kontynuowanie „Małych form grafiki”. Przegląd ten, obok Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie, stał się najpoważniejszą prezentacją współczesnej grafiki

w Polsce. O ile w 1979 r. uczestniczyło w nim 112 grafików z 16 krajów, o tyle w 1981 było ich już 170 z 27 krajów, w 1985 r. — 344 z 46 krajów, a w 1987 — ponad 400 uczestników. Dzięki licznemu udziałowi gości zagranicznych (70%) pokaz stał się rzeczywistym miejscem konfrontacji dokonań artystycznych, a także miejscem, do którego docierała informacja o stanie twórczości graficznej, dominujących trendach, wybijających się indywidualnościach i panujących modach. Stał się także punktem spotkań kręgów kolekcjonerów, bibliofilów i miłośników sztuki. Każdorazowo obok wystawy głównej prezentowano wystawy towarzyszące (laureatów poprzednich edycji i problemów), a także, cieszącą się dużym powodzeniem, aukcję miniatur graficznych.

Dalsze działania,
od nowa integrujące środowisko łódzkie,
to Łódzkie Prezentacje Plastyczne (1986).

Wśród nich wyróżniała się wystawa „Tendencje i osobowości w sztuce łódzkiej” oraz zapoczątkowane w 1987 r. plenery środowiska plastycznego w Zakopanem i poplenerowe wystawy w Ośrodku Propagandy Sztuki i Galerii Bałuckiej. W roku 1987 BWA udostępniło swoje pomieszczenia na jeszcze jeden punkt wystawienniczy — galerię autorstwa Konstantego Mackiewicza. Pomysł otwarcia galerii powstał za życia artysty, zrealizowano go po śmierci nestora łódzkich twórców. Urządzona w byłej pracowni malarza, w oficynie domu przy ul. Moniuszki 5, istniała do roku 1989.

W latach 80. pojawiło się nowe pokolenie artystów, a z nim neoekspresjonizm, postmodernizm, performance, akcje artystyczne. Wielu zwolenników zyskała ekologia i działania na styku natura-kultura. Lata 90., w porównaniu z ostatnim dziesięcioleciem, przyniosły znaczne obniżenie dotacji budżetowych na działalność instytucji. Dlatego o blisko połowę zmalała liczba wystaw, a co za tym idzie, wydłużył się czas ich trwania. By zaradzić piętrzącym się problemom finansowym uruchomiono w piwnicach Galerii Sztuki BWA komercyjną Galerię Chimera (1992), w której sprzedaje się prace wybitnych polskich grafików. **Na początku lat dziewięćdziesiątych BWA utraciło Salon Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 88**, miejsce cieszące się największą frekwencją. W tych też latach (1992) zdecydowano o zmianie nazwy instytucji na Państwową Galerię Sztuki w Łodzi.

Równoległe z działalnością ekspozycyjną we własnych lokalach, instytucja prowadziła w latach 1951-95 wystawiennictwo w województwie łódzkim, wielu miastach Polski i poza jej granicami. Na łączną ilość 2722 ekspozycji zorganizowanych w kraju, 1349 stanowiły wystawy przygotowane poza jej salonami. Początkowo były to skromne prezentacje dydaktyczne reprodukcji polskiego malarstwa, z czasem roz-

poczęto organizowanie wystaw oryginałów. Składały się na nie zestawy prac przygotowane przez CBWA oraz prace wypożyczane bezpośrednio od artystów. Najbardziej kontrowersyjną i cieszącą się największym powodzeniem okazała się w latach 60. wystawa dzieł Wacława Kondka, prezentowana w woj. łódzkim. Prace wystawiano w szkołach, bibliotekach, domach kultury, zakładach pracy, jednostkach wojskowych oraz w galeriach i muzeach. Niekiedy towarzyszyły im cykle odczytów popularnonaukowych poświęcone sztuce nowoczesnej w Polsce i w świecie.

Organizowanie wystaw zagranicznych przypało na drugą połowę lat 70.

Do połowy lat 90.
łódzkie BWA przygotowało ich 223,
w tym 88 ekspozycji indywidualnych.

Większość z nich zrealizowano w ramach centralnego planu wystaw Ministerstwa Kultury i Sztuki, za pośrednictwem CBWA w Warszawie. Prezentowano je głównie w Ośrodkach Informacji i Kultury Polskiej w krajach socjalistycznych oraz w Instytutach Kultury Polskiej na Zachodzie. Lata 80. były okresem wzmożonej aktywności wystawienniczej w takich krajach jak: NRD, Czechosłowacja, Węgry, Francja, RFN, Austria i Wielka Brytania. Największe z nich to m.in. indywidualne prezentacje prac: Benona Liberskiego w Rydze i Moskwie (1984), Leszka Rózgi w Lipsku (1985), Wiesława Garbolińskiego w Pradze (1988), Jerzego Dudy Gracza w Moskwie (1987), New Delhi (1990) i Oldenburgu (1992). Wśród zbiorowych: wystawa współczesnej grafiki polskiej w Bratysławie i Pradze — 1984 (503 prace 65 autorów), współczesna sztuka polska prezentowana w 1985 r. w siedzibie koncernu Steyer-Daimler-Puch w Wiedniu (234 prace 88 autorów) oraz tendencje metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej w Erfurcie w Galerii Zum Roten Ochsen (196 prac 76 autorów). Znaczącą była także ekspozycja polska na międzynarodowej wystawie surrealizmu w Retretti Art Centre w Finlandii. Krąg odbiorców tych imprez w Ośrodkach i Instytutach Polskich nie był szeroki. Większy rezonans miały wystawy realizowane w ramach bezpośredniej współpracy z instytucjami kulturalnymi (muzea, galerie, szkoły artystyczne).

Przypominając najważniejsze wystawy z lat 1951-95

nie sposób pominąć wydawnictw,
tj. katalogów, folderów oraz plakatów i afiszy,

które im towarzyszyły. Dokumentują one wiele interesujących, nie zawsze szeroko znanych akcji wystawienniczych. Część z wydawnictw stanowi np. monograficzne opracowanie twórczości Janiny Tworek-Pierzgalskiej, Leszka Rózgi, Stanisława Fi-

jałkowskiego, Ryszarda Otręby, Andrzeja Gieragi i in. Są wśród nich katalogi wszelkiego rodzaju pokazów grupowych (Grupa Konkret, Wiadukt, T-80, R), przeglądów okręgowych, ogólnopolskich i międzynarodowych. Początkowo były to bardzo skromne edytorsko i graficznie druki. Obecnie niewiele odbiegają od podobnych, ukazujących się na Zachodzie. Plakaty wystawowe projektowali znani artyści: Bogusław Balicki, Ewa Stanisławska-Balicka, Stanisław Łąbecki, Janusz Wiktorowski, Andrzej Szonert, Jerzy Treliński, Sławomir Iwański, Paweł Udorowiecki, Krzysztof Tyczkowi, Waldemar Świerzy i Stasys Eidrigevicius. Osobną pozycję wśród druków stanowią dwie teki graficzne wydane w latach 80. Pierwsza z nich zawiera 13 miniatur graficznych polskich laureatów Małych Form Grafiki, druga gromadzi 10 prac średnioformatowych wybitnych artystów łódzkich.

Przez 30 lat, począwszy od 1959 r., wszystkie niemal druki wykonywane były przez Graficzną Pracownię Doświadczalną ZPAP. Dzięki działalności edytorskiej i przemyślanemu programowi wystawienniczemu, łódzkie BWA zyskało w latach 70. miano najlepszego Biura w Polsce.

Przy omawianiu działalności wystawienniczej nie można zapomnieć o zbiorach własnych instytucji.

Gromadzenie ich na szerszą skalę podjęto w latach 70. Później zbiory wzbogacono dzięki darowiznom artystów, Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi, Graficznej Pracowni Doświadczalnej ZPAP oraz Funduszowi Zamówień Plastycznych. Dołączyła do nich kolekcja miniatur graficznych, po cyklicznie organizowanych wystawach „Małe formy grafiki, Polska-Łódź 79-93”. W ten sposób powstał zbiór grafik, rysunków, obrazów i rzeźb, liczący w końcu 1995 r. 7855 eksponatów. Jego podstawę stanowi największa w Łodzi kolekcja współczesnej grafiki licząca 7298 rycin. Jej trzonem jest zespół miniatur graficznych (ponad 5 tys. obiektów) z całego niemal świata. Zbiory graficzne średnio- i wielkoformatowe prezentują najważniejsze zjawiska i indywidualności lat 70. i 80., z dużymi zespołami prac artystów łódzkich: Stanisława Fijałkowskiego, Leszka Róźgi, Andrzeja M. Bartczaka, Antoniego Starczewskiego, Henryka Płóciennika, Krzysztofa Wiczorka i Andrzeja Kabały. Zbiór rysunków i obrazów jest znacznie mniejszy i wynosi odpowiednio 288 i 263 eksponaty. Najpełniej reprezentowany jest w nim nurt sztuki nadrealno-metaforycznej (Zdzisław Beksiński, Kiejstut Bereźnicki, Jerzy Krawczyk, Zbigniew Makowski, Kazimierz Mikulski, Jerzy Nowosielski, Jonasz Stern i inni). Znajdują się w nim także przedstawiciele nurtu postkonstruktywistycznego (Henryk Stażewski, Andrzej Gierowski, Zofia i Roman Artymowscy, Janusz Eysmont, Ryszard Winiarski).

Oceniając frekwencję na wystawach w omawianym 45-leciu należy stwierdzić, że największą notowano w okresie socrealizmu (dostępność i zrozumiałość sztuki),

w latach 1955-56 (ożywienie życia artystycznego) i stosunkowo wysoką w latach 70. Z reguły powodzeniem u publiczności cieszyły się pokazy sztuki realistycznej, zwłaszcza w jej nurcie satyrycznym. Ogółem na przestrzeni 45 lat działalności wystawienniczej,

Oddział Łódzki CBWA, następnie BWA
i od 1992 r. Państwowa Galeria Sztuki
zorganizowały 2943 wystawy w kraju i za granicą.

Część tych wystaw przygotowano wspólnie z Oddziałem Łódzkim ZPP, innymi biurami oraz muzeami, galeriami i szkołami artystycznymi w kraju i za granicą. Składały się na nie w 58% pokazy indywidualne, resztę stanowiły wystawy zbiorowe. Wśród wystaw dominowały pokazy sztuki współczesnej, sporadycznie zdarzały się wystawy sztuki dawnej (Sztuka ok. 1990 r., Tkanina ok. 1900 r., Tkanina polska XV-XX w., Grafika Francisco Goi). Z dotychczas nie omawianych wystaw indywidualnych na uwagę zasługują ekspozycje: Zdzisława Beksińskiego, Romana Cieślewicza, Władysława Hasióra, Tadeusza Kulisiewicza, Jana Lebensteina, Jerzego Tchórzewskiego, Jerzego Krawczyka, Zbigniewa Makowskiego, Ireneusza Pierzgałskiego, Andrzeja Łobodzińskiego, Jerzego Trelińskiego, Waldemara Świerzego, Igora Mitoraja i wiele innych. Wysoki poziom artystyczny prezentowały zwłaszcza ekspozycje z zagranicy: Fernanda Légera, Georga Grosza, Waltera Gropiusa, Michaela Sandela, Rudolfa Hausnera, Albina Brunovskiego, Assadoura, Kunito Nagaoki, José Hernández, Stasysa Eidrigeviciusa i Shoichi Futamięgo.

Stale przywiązywano dużą wagę do upowszechniania dorobku łodzian, prezentując ich prace we własnych salonach, w kraju i za granicą. Przedstawiono możliwie pełny przekrój tendencji, nurtów i kierunków, uwzględniając twórczość klasyków i artystów młodych. Najczęściej pokazywano malarstwo, grafikę, rysunek, tkaninę, rzeźbę i fotografię. Sporadycznie gościła w galeriach sztuka użytkowa, video, akcje, happeningi i instalacje.

Dodać należy, że niemal do końca lat 80. łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych, podobnie jak bliźniacze Biura w innych województwach, było instytucją prawie monopolistyczną w zakresie wystawiennictwa sztuki najnowszej. Skuteczność działań Biura zależna była od przydzielanych środków finansowych, możliwości technicznych i zaangażowania ludzi z nim związanych. W całym opisanym okresie losy galerii łódzkich ściśle wiązały się z przemianami politycznymi i gospodarczymi kraju. Polityka kulturalna centralnych i terenowych władz w znacznym stopniu wpływała na politykę wystawienniczą, wydawniczą i oświatową. Najczęściej jednak o powodzeniu wystawy decydowały ranga i talent artysty.

DOMINIKA ŁARIONOW

Scena Kameralna

Aleksander Zelwerowicz w roku 1909 wystawieniem polskiej prapremiery *Klątwy* Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Andrzeja Mielewskiego otworzył w Łodzi nowy teatr przy ul. Cegielnianej (teraz Jaracza 27). Waldemar Zawodziński, obecny dyrektor teatru, noszącego dziś imię Stefana Jaracza, premierą tego dramatu 29 października 1995 roku zainaugurował nowo wybudowaną Scenę Kameralną. Nadano jej imię Lenona Schillera, wybitnego reżysera teatru polskiego.

Pewien łódzki prawnik w liście do Elizy Orzeszkowej z 1881 r. pisał: „... tu w Łodzi niesłychanie trudno coś zrobić”. Ponad 100 lat później okazało się, że w mieście, powszechnie uznanym za nieprzychylnie dla kultury, niemożliwe stało się możliwe. Otwarcie nowego budynku teatralnego czy nowej sceny zdarza się dość rzadko. W sezonie artystycznym 1995/96 inauguracja Sceny Kameralnej Teatru Jaracza stała się jednym z ważniejszych wydarzeń.

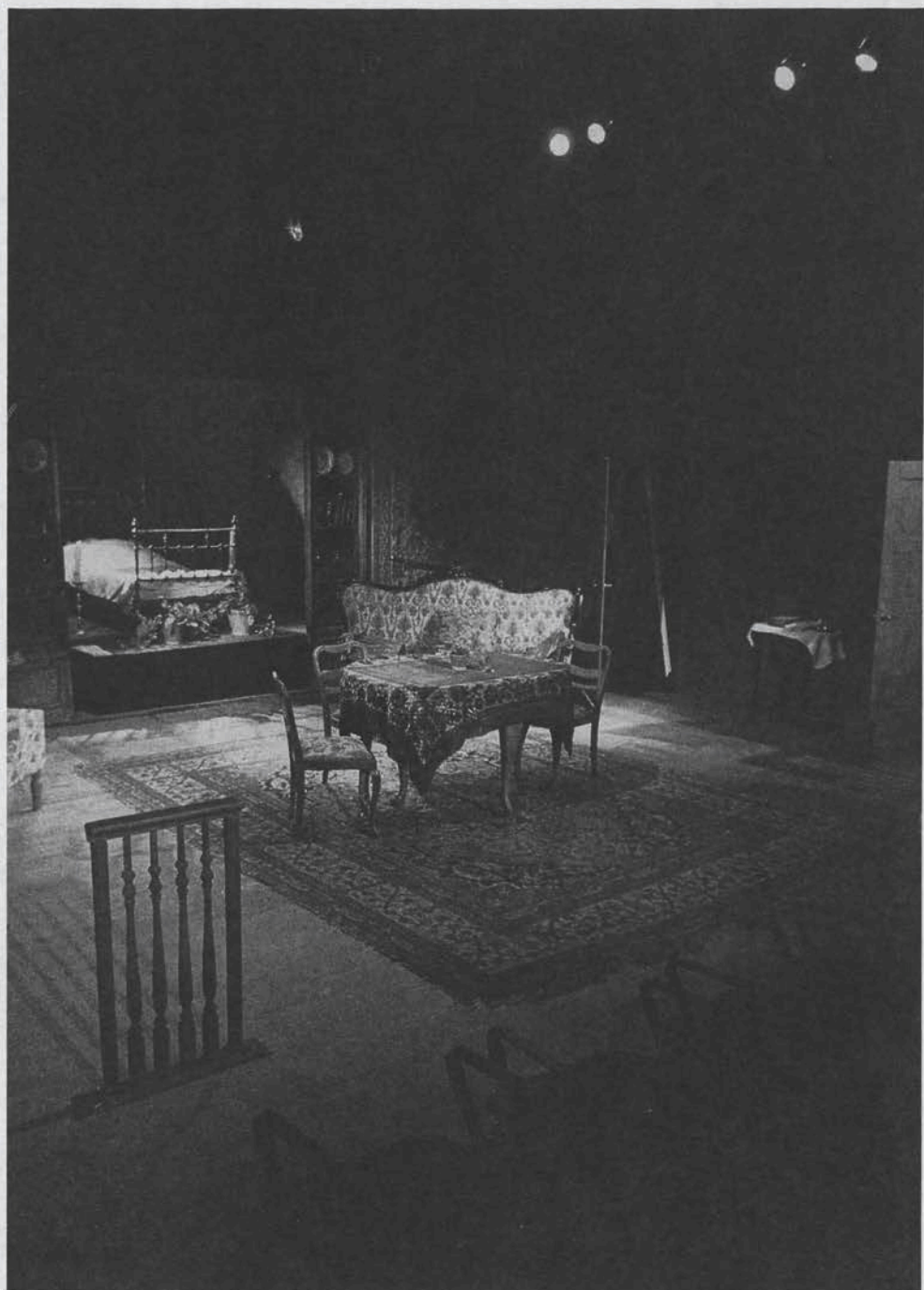
Burzliwa opowieść

Warto przy tej okazji przypomnieć historię scen Teatru Jaracza, którego perypetie sięgają czasów dyrektorowania Aleksandra Zelwerowicza (1908-11). Był on zmuszony do dwukrotnej przeprowadzki, spowodowanej pożarem teatru. Pierwszy wydarzył się w nocy z 5 na 6 maja 1909 r.; spłonął wówczas teatr „Victoria” przy ul. Piotrkowskiej 67. Straty były bardzo duże, gdyż zniszczeniu uległ nie tylko sam budynek, ale również nie ubezpieczone garderoby z całym wyposażeniem. Oszacowano je na niebagatelną w początkach naszego wieku sumę — 9 tys. rubli. Ale łodzianie pospieszyli swojemu teatrowi z pomocą. Dzięki ich licznym darom oraz Polskiemu Towarzystwu Teatralnemu teatr szybko zyskał nową scenę. Dla zespołu Zelwerowicza przystosowano magazyny Towarzystwa Transportowego „Nadzieża”, mieszczące się przy ulicy Cegielnianej. Koszty przebudowy, według projektu Dawida Landego i Gustawa Landaua-Gutentegera, obliczono na 40 tys. rubli. Sala teatralna liczyła 836 miejsc.

Prapremiera *Kłątwy* (23 X 1909) w reżyserii Andrzeja Mielewskiego zainaugurowała działalność nowej sceny. Niestety, 24 października 1911 r. teatr ponownie spłonął. Załamany Zelwerowicz zdecydował się na opuszczenie Łodzi. Bydynek przy Cegielnianej został jednak obdudowany i rok później teatr wznowił w nim działalność pod dyrekcją Andrzeja Mielewskiego. Odbudowana przez Polskie towarzystwo Teatralne sala liczyła 1160 miejsc. I choć Cegielniana miała być początkowo siedzibą tymczasową, to od tamtej pory aż do lat 60. teatr nie zmienił adresu ani nie zwiększył liczby swoich scen. Natomiast budynek wielokrotnie odnawiano i przebudowano. Zmieniła się też nazwa teatru. W czasach dyrekcji Zelwerowicza był to Teatr Miejski, w trakcie II wojny światowej — Theater zu Litzmannstadt, w latach 1945-49 — Teatr Wojska Polskiego, a od roku 1949 do dziś — Teatr im. Stefana Jaracza.

Teatr „7¹⁵”

W 1965 r. rozpoczęła działalność druga scena Teatru Jaracza, nazwana Teatrem „7¹⁵”. Prezentowano na niej farsy, komedie i widowiska muzyczne, sztuki kryminalne, przedstawienia dla dzieci. Scena mieściła się początkowo w budynku Grand Hotelu (wejście od ulicy Traugutta 1), później (od 30 XI 1982) teatr przejął budynek po kinie „Lutnia” przy ul. Piotrkowskiej 243, z salą na 372 miejsca. Ponadto 12 XI 1971 r.



fol. Piotr Zdrzynicki

otwarto Małą Scenę Teatru Jaracza (130 miejsc), przeznaczoną dla spektakli kameralnych. Mieściła się ona na piętrze budynku przy ul. Jaracza. W ten sposób przez 17 lat zespół dawał przedstawienia na trzech scenach.

30 XI 1987 r. odebrano teatrowi odremontowany budynek przy ul. Piotrkowskiej 243. Został on przekazany Filharmonii Łódzkiej, która utraciła swoją poprzednią siedzibę. Przedstawienia Teatru „7¹⁵” grano odtąd gościnnie na scenie Teatru Rozmaitości przy ul. Moniuszki 4a.

W roku 1989 ówczesny dyrektor Teatru Jaracza Bogdan Husakowski zrezygnował ostatecznie z dalszej działalności Teatru „7¹⁵”.

Nowa scena

Równocześnie powstał projekt budowy nowej sceny na terenie posesji przy ul. Jaracza 27. Jego animatorką stała się dyrektor Sabina Nowicka, słusznie nazwana przez zespół Głównym Budowniczym Teatru. 29 X 1995 r. odbyła się uroczysta inauguracja Sceny Kameralnej. Było to święto teatru i wielki sukces osobisty Sabiny Nowickiej, która udowodniła, że siłą woli i uporem można wiele osiągnąć.

Scena Kameralna mieści się na terenie dawnych magazynów dekoracji. Remont tego budynku był konieczny ze względu na jego bardzo zły stan techniczny. Wsparcia finansowe udzieliły władze miasta, województwa oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki. Scena posiada nowoczesne nagłośnienie i bardzo dobre oświetlenie. Jej przestrzeń można dowolnie przebudowywać, w zależności od pomysłów reżysera. Może pomieścić od 80 do 160 widzów. Scena znajduje się na drugim piętrze kamienicy, od strony podwórza posesji teatru. Wchodzi się do niej przez istny „trakt królewski”, z wyrównaną nawierzchnią, po której mogą poruszać się swobodnie również osoby niepełnosprawne. Dla nich też zbudowano specjalną windę, która zawozi wprost do foyer.

Scenę Kameralną poświęcono Leonowi Schillerowi, jednemu z największych twórców teatru polskiego XX wieku. Losy Teatru Jaracza wiążą się nierozdzielnie z jego imieniem. To właśnie Schiller kierował tą sceną w latach 40. (1946-49). Tu powstały jego wielkie inscenizacje: *Krakowiaków i górali* Bogusławskiego, *Celestyny* de Rojas, *Burzy Szekspira*, *Igraszek z diablem* Drdy, *Kramu z piosenkami*. Scena Kameralna jako jedyna w Polsce nosi jego imię.

Plany dyrektora

Teatr Jaracza ma zatem ponownie trzy sceny. Mówi dyrektor Waldemar Zawodziński:

Nasz teatr przez wiele lat grał na trzech scenach i był technicznie przygotowany do obsłużenia jednocześnie trzech przedstawień. Dzięki koniecznemu remontowi budynku mogliśmy wygospodarować przestrzeń dla nowej sceny. Jest ona bardzo atrak-

cyjna, bardzo różna od dwóch dotychczasowych. Tworzy świetny, teatralny klimat. A przecież znamy takie przestrzenie w teatrach, gdzie mimo znakomitych warunków technicznych tego klimatu nie ma. Pod tym względem Scena Kameralna sprawdziła się znakomicie. Ważny dla teatru jest też sam budynek. Tu mieszczą się magazyny oraz całe zaplecze administracyjne, które teraz zyskało właściwe warunki do pracy. Ta scena i ten budynek rozwiązały wiele naszych problemów.

Dzięki Scenie Kameralnej zmieni się również repertuar teatru.

Chcemy, szczególnie od przyszłego sezonu, pójść w trzech kierunkach. Na Małej Scenie grać będziemy przede wszystkim repertuar współczesny, niestety głównie obcy. Dramaturgia polska ostatnich lat nie jest ciekawa, choć oczywiście — jeżeli znajdzie się interesujący tekst — chętnie go wystawimy. Duża Scena przejmie funkcje dawnej „7¹⁵”. Będzie tu wystawiany repertuar komediowy. Natomiast Scenę Kameralną przeznaczamy dla klasyki dramatu. Oczywiście, ten podział nie będzie aż tak sztywny. Jeżeli klasyce dobrze przysłuży się Duża Scena — tam też ją zagramy, podobnie jak komedię na Scenie Kameralnej. Choć chciałbym, aby widz identyfikował miejsce z konkretnym repertuarem. Trzecia scena stworzyła takie możliwości. A najważniejsze jest to, że ją wreszcie mamy.

* * *

Teatr Jaracza czekają jeszcze drobne prace remontowe związane z nowo powstałą sceną. Chodzi m.in. o dodatkowe połączenia techniczne pomiędzy nią a pozostałymi scenami, tak by np. jedna ekipa techniczna mogła obsłużyć dwa spektakle jednocześnie.

Warto na koniec przypomnieć, że na Scenie Kameralnej Teatru Jaracza odbyły się już trzy premiery: *Klątwy* S. Wyspiańskiego w reżyserii W. Zawodzińskiego, *Zbrodni z premedytacją* W. Gombrowicza w reżyserii Zbigniewa Brzozy oraz *Opowieści zimowej* W. Szekspira, którą wyreżyserował Bohdan Husakowski.

*Pozbyłam się myśli o śmierci,
znalazłam przyjaciół
i umiem się cieszyć, nawet tym,
że się starzeję...*

(słuchaczka)

ANNA SZTAUDYNGER-KALISZEWICZ

Wielka przygoda — Uniwersytet 3. Wieku*

Pomysł kształcenia ustawicznego ludzi w wieku emerytalnym powstał we Francji. Profesor prawa Pierre Vellas założył w Tuluzie, w roku 1972, pierwszy Uniwersytet 3. Wieku. Już trzy lata później powstał w Warszawie pierwszy w Polsce taki Uniwersytet, kierowany do dziś przez prof. medycyny Halinę Szwarz. Idea kształcenia i rozwijania uzdolnień ludzi starszych okazała się niezmiernie żywotna i szybko dotarła z Europy na inne kontynenty. Pod koniec 1995 r. działało na świecie 1838 Uniwersytetów 3. Wieku, w samej Francji 60, a w Polsce 22. Lawinowy rozwój placówek tego typu, stały wzrost liczby słuchaczy i zainteresowanie uczonych zajmujących się gerontologią dowodzą, że znaleziono nowe „lekarstwo” na starość. W 1975 r. powstała międzynarodowa organizacja Uniwersytetów 3. Wieku AIUTA, skupiająca wszystkie te uczelnie, które działają pod patronatem miejscowych Uniwersytetów. W zarządzie tej organizacji pracują obecnie dwie Polki — prof. H. Szwarz i prof. O. Czerniawska (ta ostatnia z Łodzi).

* Jest to tytuł pierwszej na świecie książki o Uniwersytetach 3. Wieku belgijskiego socjologa: Serge Mayence, *La grande aventure des Universités du Troisième Age*, Jeias 1980.

Jaki powinien być

Uniwersytety 3. Wieku nie stawiają żadnych formalnych wymagań swoim słuchaczom. Choć pomyślane jako miejsce kształcenia ludzi starszych, nie stosują kryterium wieku jako decydującego o przyjęciu. Rozpiętość wieku wśród słuchaczy jest zwykle bardzo duża, np. w Łodzi wynosi przeszło 40 lat. Nie bierze się też pod uwagę wykształcenia, zawodu czy pracy dotąd wykonywanej. Wszystkie te dane zbierane są tylko do celów statystycznych. Zgłaszający się są pytani o zainteresowania i chęć udziału w już istniejących (ewentualnie proponowanych) seminariach, sekcjach i lektoratach. Poza wykładami w uczelniach tych działają mniejsze grupy zainteresowań, zarówno naukowych, jak i artystycznych, tj. literackie, plastyczne, muzyczne czy teatralne; językowe, gimnastyczne i turystyczne. O programach i przedmio-



Pani Melania Rózanowicz — jeszcze w ubiegłym roku, w wieku 94 lat,
była słuchaczką na Uniwersytecie 3. Wieku.

fol. Piotr Zdrzyński

tach wykładanych, sekcjach i lektoratach decydują słuchacze. Różnorodność form zajęć i uwzględnienie lokalnych czy regionalnych możliwości prowadzą do podejmowania decyzji zgodnych z intelektualnymi i emocjonalnymi potrzebami i ambicjami słuchaczy.

Drugi, bardzo istotny element zaspokajania oczekiwań i aspiracji ludzi starszych to poziom prawdziwych zajęć. Jak podkreśla profesor S. Mayence, należy dbać o zapewnienie wysokiego poziomu wykładów, które prowadzić powinni nauczyciele akademicki o najwyższych kwalifikacjach merytorycznych. Na polskich uniwersytetach 3. wieku wykładają nie tylko osoby o wysokich kwalifikacjach, ale znane również ze swojej zawodowej pasji oraz mające życzliwy stosunek do ludzi starszych. Często bowiem po zajęciach wywiązuje się dyskusja, a nazbyt apodyktyczny wykładowca mógłby zniechęcić słuchaczy do swobodnego wyrażania opinii.

Profesor Mayence przestrzega przed zbytnim formalizowaniem działania poszczególnych uczelni i podkreśla rolę lokalnych możliwości i regionalnej specyfiki zainteresowań słuchaczy dla rozwoju poszczególnych uczelni. Organizacyjnie i merytorycznie luźny charakter konkretnych uniwersytetów daje poczucie samodzielności i niepowtarzalności działań — tak słuchaczom, jak i organizatorom. Mimo że nie ma żadnych form oceniania wiadomości, jak kolokwia czy egzaminy, to wiele osób prowadzi notatki i chętnie podejmuje się wygłoszenia referatu bądź tłumaczenia obszernego nieraz tekstu. Nie zdarza się też, by ktoś, bez poważnego powodu, nie wywiązał się z podjętego zadania. Kształcenie ciągłe, jakie ludziom na emeryturze proponuje Uniwersytet 3. Wieku, odpowiada widocznie potrzebom ludzi starszych, i dlatego coraz więcej osób zapisuje się na tę specyficzną uczelnię.

U nas w Łodzi

Uniwersytet 3. Wieku w Łodzi rozpoczął działalność w kwietniu 1979 r. Z inicjatywą utworzenia takiej placówki wystąpiła Helena Kretz (zmarła w 1982 r.), której imię nosi teraz nasz Uniwersytet. Do jego powstania i rozwoju przyczyniło się wielu ludzi dobrej woli i działaczy społecznych z prawdziwego zdarzenia, którzy od blisko 18 lat poświęcali swój czas i energię idei aktywnej, twórczej i pogodnej starości. Proszę mi wybaczyć, że nie wymienię tu wszystkich — opiekunów i działaczy Uniwersytetu 3. Wieku — byłaby to bowiem zbyt długa lista.

Łódzka placówka liczyła na początku 200 słuchaczy, obecnie jest ich przeszło 850. Są to najczęściej ludzie między 60. a 70. rokiem życia, kobiety (91%) o wykształceniu średnim — 55%, wyższym — 40%, i podstawowym — 5%. Pod względem zawodowym to: ekonomiści, nauczyciele, lekarze, prawnicy, urzędnicy, inżynierowie. Swoje warunki materialne, według ankiety z 1995 r., słuchacze określali następująco: jako dobre — 23%, dostateczne — 60%, niedostateczne — 17%.

Łódzki Uniwersytet 3. Wieku oferuje swoim słuchaczom:

* **Wykłady ogólne** (dwa razy w tygodniu) z takich dziedzin jak historia i historia sztuki, medycyna, socjologia, geografia świata współczesnego, literaturoznawstwo, prawo, muzykologia, a także komentarze do najważniejszych wydarzeń kulturalnych, społecznych i ekonomicznych. Największą popularnością cieszą się wykłady: prof. Wandy Nowakowskiej (historia sztuki), prof. Marka Kotera (geografia) i dwóch literaturoznawców — prof. Jerzego Poradeckiego i ulubieńca słuchaczy dra Jerzego Rzymowskiego. Niezapomniane były też wykłady łódzkich profesorów: Stanisława Cwynara, Cezarego Józefiaka, Jerzego Kroha, Zbigniewa Kuchowicza, Michała Kuny, Iji Lazari-Pawłowskiej, ks. Adama Lepy, Zofii Libiszowskiej, Anity Lutowieckiej-Wranicz, Jana Lutyńskiego, ojca Stefana Miecznikowskiego, Zdzisława Prochowskiego, Krystyny Śreniowskiej, Kingi Wiśniewskiej-Roszkowskiej, Jerzego Wróblewskiego. Udało się też sprowadzić do Łodzi takich luminarzy polskiej nauki i kultury jak prof. prof. Andrzej Gieysztor, Danuta Jodłowska-Wesołowska, Wiesław Kotański, Waław Szubert, dr Wojciech Natanson czy red. Krystyna Zbijska.

* **Seminaria** z takich dziedzin jak: historia, nauki społeczne, językoznawstwo, psychologia.

* **Sekcje** zainteresowań: biologiczno-medyczna, literacka, plastyczna, gimnastyczna i turystyczna. Latem organizowane są plenery malarskie, obozy sportowe i turystyczne. Sekcja plastyczna, kierowana od 17 lat przez mgr Zofię Łobacz, organizuje w każdym roku kilka wystaw obrazów autorstwa uczestników. Słuchacze uczą się też pilnie (na kilku poziomach) języków: angielskiego, niemieckiego, francuskiego, esperanto, a także japońskiego (tę ostatnią grupę prowadzi wielki entuzjasta Polski, p. Masakatsu Yoshida, co jest ewenementem w skali światowej).

Zarówno wykładowcy, lektorzy, jak i instruktorzy zwracają uwagę na zapał i wytrwałość słuchaczy w zdobywaniu wiedzy czy umiejętności. Lektorzy — porównując skuteczność nauczania grup studenckich i seniorów — stwierdzają, że ludzie starsi uczą się co prawda wolniej, ale wytrwale i skutecznie (niektórzy zdawali nawet egzaminy państwowe). W ramach dochodzenia do najbardziej skutecznych sposobów nauczania podjęto udane próby wykładów w formie dyskusji pomiędzy dwoma wykładowcami. Polemiczny charakter wykładu bardziej inspiruje do samodzielnego myślenia, pozwala też lepiej skupić uwagę słuchaczy. Niestety, stałe kłopoty finansowe i lokalowe uniemożliwiają rozwijanie jeszcze innych form kształcenia.

Uniwersytet 3. Wieku stanowi też, w pewnym sensie, miejsce badań i inspiracji naukowej. Jego działalność posłużyła jako materiał do napisania 4 prac magisterskich, 3 doktorskich, około 25 artykułów naukowych, nie licząc popularnonaukowych i publicystycznych. Udział członków Zarządu w krajowych i zagranicznych konferencjach naukowych oraz wygłaszane tam referaty budziły zawsze duże zainteresowanie. Dowodem tego są publikacje niektórych z nich w niemieckim czasopiśmie naukowym „Gerontologie” (nr 20 z 1987 r.) i francuskim „Les Cahiers” (nr 9 z

1990 r.). Pod patronatem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego nasz Uniwersytet zorganizował 3 sesje naukowe: Człowiek starszy — istota nieznaną, Antoni Kępiński — człowiek i dzieło, Profesor Tadeusz Pawlikowski w oczach uczniów, kolegów i przyjaciół. Urządził również 5 ogólnopolskich spotkań działaczy Uniwersytetów 3. Wieku skupionych w Polskim Towarzystwie Gerontologicznym.

Nasze kłopoty

Prowadzenie zajęć w 20 różnych punktach miasta, przy ponad stu spotkaniach w miesiącu, dysponowaniu jednym pracownikiem merytorycznym i połową etatu ds. merytoryczno-programowych — powoduje, że Uniwersytet nie może w pełni rozwinąć działalności. Funkcjonuje dzięki pracy swojego Zarządu oraz pomocy finansowej i lokalowej Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej, Uniwersytetu Łódzkiego, który patronuje uczelni od 1984 r., Łódzkiego Domu Kultury, Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych, Klubu Nauczyciela, Rady Adwokackiej.

Uczestnicząc w corocznych zjazdach Zarządów Uniwersytetów 3. Wieku dochodzę do przekonania, że inne ośrodki akademickie okazują więcej zainteresowania, uznania, pomocy swoim seniorom. W Lublinie, Krakowie czy Szczecinie wszyscy rektorzy wyższych uczelni podpisali i realizują umowę patronacką nad Uniwersytetem 3. Wieku. Na wykładach inauguracyjnych w Lublinie obecni są przedstawiciele kultury i nauki, co stwierdziłam osobiście, będąc tam w 1992 r. z takim właśnie wykładem. No cóż, nie darmo się mówi: Łódź to trudne miasto...

To dzięki nim

Uniwersytet nie mógłby istnieć bez wytrwałej, cichej, codziennej i — co należy podkreślić — społecznej pracy kilku osób. Są to:

Danuta Biskupska-Wizner — skarbnik, sekretarz, a obecnie wiceprezes, prowadząca od 7 lat nasz Uniwersytet,

Stanisława Głębowska — sekretarz, osoba, która znała i pamiętała nazwiska wszystkich słuchaczy z pierwszych 10 roczników,

Krystyna Herkiel — dzięki jej sumienności, mądrej i oszczędnej gospodarce finansowej nigdy nie było zastrzeżeń do naszych wydatków,

Joanna Olczak — od lat zajmująca się sprawami ewidencji, entuzjastka pracy z seniorami i dla seniorów, propagująca model aktywnej starości, organizująca akcję oświatową w Domach Dziennego Pobytu.

Specyficzna dla naszego Uniwersytetu jest także bardzo rozwinięta działalność sekcji samopomocy koleżeńskiej. Sekcję tę zorganizowała i kieruje nią p. Stefania Mamełko, która zajmuje się opieką psychologiczną nad chorymi słuchaczami. Otrzy-

mują oni programy wykładów, a najciekawsze z nich są nagrywane i odtwarzane podopiecznym. Pamięta się także o nich przy okazji świąt, imiennin i innych tego typu uroczystości, składając im życzenia i wręczając drobne upominki.

W oczach słuchaczy...

Prace złożone na konkurs „Mój pierwszy rok w Uniwersytecie 3. Wieku” przyniosły ciekawy materiał. Nadeszło kilkanaście odpowiedzi, także w formie wierszowanej. Przytoczę fragmenty pracy (zapisanej ślicznym kaligraficznym pismem) seniorki naszych słuchaczy, nauczycielki Cecylii Koprowskiej:

„Urodziłam się w 1897 roku w okolicy Lwowa, uczyłam dzieci w różnych szkołach i w różnych ustrojach politycznych. (...) Po przepracowaniu w zawodzie nauczycielskim 51 lat przeszłam na emeryturę i w 1969 roku zamieszkałam u córki w Łodzi (...) Wnuczek podrośł, nie potrzebował już mojej pomocy i wtedy przeczytałam w „Głosie Robotniczym” ogłoszenie o otwarciu Uniwersytetu Trzeciego Wieku (...) Szłam tam z obawą, że może ktoś pomyśli, a nawet da mi odczuć, że przeminął już dla mnie dawno czas nauki. Spotkałam w Domu Kultury bardzo sympatyczną Panią Doktor Helenę (nazwiska niestety nie znam)* która z przyjaznym uśmiechem zapisała mnie do UTW. Na wykłady uczęszczałam pilnie. Opuściłam w ciągu trzech semestrów tylko trzy wykłady i to z powodu choroby. Na ogół wykłady słyszałam dobrze mimo przytępionego słuchu (następuje opis i ocena wykładów oraz poprawy samopoczucia po ćwiczeniach gimnastycznych w domu — przyp. aut.). Prelegenci (...) uczyli, jak z tymi chorobami współżyć, jak im zapobiegać i jak utrzymać kondycję zarówno fizyczną jak i psychiczną. W utrzymaniu tej ostatniej pomogły mi właśnie wykłady UTW. Poszerzyły moje zainteresowania, mam o czym myśleć i rozmawiać. Odrywa mnie to od szarzyzny życia codziennego. Każde wyjście na wykłady to wielkie urozmaicenie w moim życiu i to nie tylko dzięki zdobywaniu nowych wiadomości, ale dlatego, że spotkałam nowych, ciekawych ludzi. Bardzo przyjemne było również nasze spotkanie z okazji „gwiazdki” (dalej następują podziękowania dla organizatorów i wykładowców — przyp. aut.). W moim przypadku Ich wysiłek dał rezultat — rozbudził i rozszerzył moje zainteresowania i po prostu odmłodził mnie. Serdecznie Szanownym Państwu za to dziękuję”.

Inne wypowiedzi, np. kobiet świeżo owdowiałych, jeszcze silniej podkreślały znaczenie znalezienia nowego celu w życiu, oderwania od czterech ścian pustego domu. Oto kilka ciekawych przykładów z anonimowej ankiety:

... pozbyłam się myśli o śmierci, znalazłam przyjaciół, z którymi się spotykam i wyjeżdżam na wycieczki, odzyskałam radość życia i umiem się cieszyć nawet tym, że

* Chodzi o panią Helenę Kretz

się starzeję, dzięki wielkiej życzliwości i opiece kierownictwa, z czym nie spotykam się w innych środowiskach.

... Zmuszona jestem do intensywnego myślenia i umysł mój zamiast starzeć się, odmładza — dzięki obowiązkom jakie UTW nakłada na mnie.

... Nie odczuwam pustki i bezsensu w życiu na emeryturze. Kontakt z ciekawymi, życzliwymi ludźmi umacnia mnie w przekonaniu, że w każdym wieku życie może być piękne i ciekawe.

... Przechodząc na emeryturę byłam pełna obaw o dalsze życie i wypełnienie wolnego czasu, obawy te znikły, kiedy zostałam słuchaczem UTW. Odnalazłam sens życia i mogę uczestniczyć we wszystkim co umożliwia UTW.

... i wykładowców

Od czasu otwarcia naszej uczelni, systematycznie i sumiennie jest prowadzona kronika. Są w niej zawarte uwagi i opinie naszych wykładowców. Oto co napisali niektórzy z nich:

Najmłodszy z wykładowców (lat 30) — socjolog dr Andrzej Piotrowski:

Życzyłbym każdemu wykładowcy audytorium tak dojrzałego i wrażliwego jak Słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Może ten wiek dopiero jest właściwym wiekiem do studiów?

Inny socjolog, prof. Jan Lutyński:

Zajęcia na Uniwersytecie Trzeciego Wieku dowodzą, że ludzie zawsze pozostają aktywni i młodzi.

Prawnik, prof. Jerzy Wróblewski:

Podziwiam i wyrażam szacunek roli Uniwersytetu Trzeciego Wieku oraz satysfakcję ze spotkań ze słuchaczami.

Przedstawiciel nauk ścisłych, chemik — prof. Jerzy Kroh:

Ze szczególną przyjemnością wygłosiłem odczyt „Wrażenia z Japonii” w Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Mam ogromne uznanie i sympatię dla działalności prowadzonej na terenie Uniwersytetu, wzorowanej na najlepszych tradycjach pracy społecznej w kraju i za granicą.

Pisarz, Bernard Sztajnert:

Wydaje się, że Uniwersytet Trzeciego Wieku przerasta Uniwersytet Pierwszego Wieku.

Wykładowcy podkreślają skupioną uwagę na wykładach, celność i żywość dyskusji oraz deklarują chęć dalszej współpracy. Widać więc, że obie strony, wykładowcy i słuchacze, są zadowoleni ze spotkań i kontaktów na terenie Uniwersytetu 3.

Wiek. Wykładowcy zastanawiają się nad niespodziewanie żywą reakcją audytorium i często podkreślają widoczną rolę Uniwersytetu 3. Wiek w aktywizacji ludzi starszych.

* * *

Obserwując reakcje słuchaczy na bardzo przecież różnych wykładowców można zauważyć, że ludzie starsi, podobnie jak dzieci, mają zdolność wyczuwania szczerego stosunku do nich. Nie znoszą zdawkowych grzeczności i protekcyjnego traktowania. Starają się unikać najmniejszego nawet pozoru traktowania odbywanych zajęć na jakichś ulgowych zasadach (co szczególnie widać na gimnastyce). Serdeczny oddźwięk, jaki znajdujemy u słuchaczy powoduje, że organizatorzy Uniwersytetu wcale nie czują się stroną dającą w tym związku. Gotowość podjęcia wspólnego wysiłku dla dobra Uniwersytetu, mimo własnych kłopotów i chorób, jest ze strony wielu naszych słuchaczy tak duża, że budzi nie tylko uznanie, ale także optymizm co do przyszłości tej placówki. Największą satysfakcję sprawiła nam ta oto wypowiedź słuchaczki, pani Heleny Fryś:

*Nie ma na starość lepszego leku
Niż Uniwersytet Trzeciego Wiek.*

*Jedna latarnia więcej
to jeden policjant mniej.*

MARZENA KOROSTEŃSKA

Światło na Łódź



fot. Piotr Zdrzynicki

O Łodzi wypada mówić źle. Pomstując na złe i brzydkie miasto, w którym nie da się zrobić nic efektywnego, wygodnie jest nie pamiętać o korzeniach ziemi obiecanej. Kulturę Łodzi stworzyły cztery narodowości. Burzliwą historię miasta dokumentują stare cmentarze: katolicki, prawosławny, żydowski, ewangelicki; kompleksy fabryczne Poznańskiego i Scheiblera; Biała Fabryka Geyera, willa Herbsta i osiedle robotniczych domów na Księżym Młynie.

Ambicją łódzkiej gminy jest stymulowanie aktywności. Miasto usiłuje szukać miejsc przyjemnych i stopniowo poszerzać ich zasięg. Ostatnim pomysłem gminy jest zrobienie z Księżego Młyna jednej z atrakcji turystycznych miasta. Zachowując dawny układ architektoniczny robotniczego osiedla, unikalnego w skali Europy, samorząd zamierza odrestaurować domy, odtworzyć bruk, dodać małą architekturę i pozwolić na otwarcie sklepów i kawiarni. Na nowym Księżym Młynie nie zabraknie nastrojowych latarni. Od nich łódzka gmina zaczynała zmiany.

Jak świecą gdzie indziej

Na zachodzie Europy od dawna uznano, że tajemnicza poświata, która nocą otacza zabytkowe pałace, kościoły i gmachy uniwersytetów, to świetny sposób na ściągnięcie turystów. Zamki nad Loarą szczył się widowiskami typu „Światło i dźwięk”. Dzięki nim przyjeździ, wysłuchujący odgłosów toczących się karoc i brzęku podków końskich na podwórcach zamkowych, uruchamiają wyobraźnię i ... kie-szenie. W Paryżu turyści spotykają się wieczorami wokół podświetlonych fontann. Nocą jaśnieje słynna katedra Notre Dame, bazylika Sacré-Coeur, Centrum Pompidou, plac Bastylli, Pałac Inwalidów i Panteon. W Lyonie świecą mosty nad Rodanem, zabytkowe centrum i położona ponad miastem katedra Notre Dame do Fourvier, w Avignonie — ogrody i pałac papieski, a w Marsylii Stary Port. W Budapeszcie oświetlone są mosty nad Dunajem, gmach parlamentu i katedry. Sprytnie ukryte w zieleni reflektorki podświetlają Basztę Rybacką, ulubione miejsce spotkań turystów i zakochanych. W Czechach wieczorem świecą Hradczany i migocą latarnie na Złotej Uliczce.

W Polsce nocne oświetlenie przyjmowane jest niechętnie i powoli. Wciąż uważamy, że są pilniejsze potrzeby niż wydobicie z ukrycia interesującej architektury i zieleni. Na gdańskiej Starówce ciemno, choć oko wykol, Wawel spowijają ciemności, a na starym mieście w Kazimierzu można nocą połamać nogi.

I stała się jasność

W Łodzi nocna iluminacja najwcześniej dotarła na odremontowaną Piotrkowską. Od późnego wieczora do wczesnych godzin porannych stylizowane latarnie i



fot. Piotr Zdrzynicki

rozmieszczone wzdłuż fasad reflektory rozjaśniają najciekawsze architektoniczne kamienice łódzkiej secesji.

— Wszyscy w mieście zgadzają się, że gmina powinna podnosić jakość życia mieszkańców — mówi Piotr Biliński, architekt miasta. — Zapominają jednak, że takie działania wymagają pieniędzy. Przy wprowadzaniu do budżetu miasta kosztów nocnego podświetlenia kamienic dyskusje trwały godzinami. Trudno przekonać ludzi do myśli, że utrzymanie wysokiego standardu kosztuje.

W grudniowe Mikołajki ubiegłego roku sodowe lampy rozjaśniły fasady bazyliki katedralnej i kościoła ewangelicko-augsburskiego pod wezwaniem św. Mateusza. Próby generalne oświetlenia bryły łódzkiej katedry i kościoła św. Mateusza trwały od połowy listopada. Konieczne okazało się zamontowanie dwóch dodatkowych punktów oświetleniowych przy katedrze. Trzeba było również zmienić położenie kilku reflektorów, które dawały poziome światło zamiast pionowego. Z mroków grudniowej nocy latarnie wydobyły Białą Fabrykę Geyera i park Reymonta nad Jasieniem.

Kosztowna iluminacja

Zainstalowanie oświetlenia wokół katedry, kościoła św. Mateusza i parku Reymonta przy Muzeum Włókiennictwa kosztowało gminę 5 mld starych złotych. Najdroższe były oprawy kulistych mlecznych latarni, zamontowane na stylizowanych słupach w parku im. Reymonta, które wykonano ze specjalnego tworzywa, odporne go na zniszczenie. Iluminację zaprojektowała firma „Luxmat”, wykonało Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Instalacji Elektrycznych i Ciepłowniczych.

— Jedna latarnia więcej to jeden policjant mniej — mówi Piotr Biliński. — Wcześniej na ciemności, panujące wieczorem w parku Reymonta, niejednokrotnie skarżyli się okoliczni mieszkańcy i rodzice uczniów pobliskiej szkoły muzycznej.

Co dalej z jasnością?

W kolejce na podświetlenie czekają kościoły Matki Boskiej Zwycięskiej, Najświętszej Marii Panny przy placu Kościelnym, Podwyższenia Św. Krzyża i cerkiew prawosławna przy ul. Kilińskiego. Latarnie zostaną również zamontowane na Starym Rynku i w otaczającym go parku Staromiejskim. W przyszłości iluminowany będzie cały trakt starej Łodzi — od ul. Milionowej, poprzez pałacyk Herbsta i Książę Młyn, aż do Muzeum Artystów i parku Źródlika.

*Drzewa, uznane za pomniki przyrody,
świadczą o mądrości naszych przodków,
którzy pozostawili ten bezcenny depozyt,
abyśmy przekazali go w całości przyszłym
pokoleniom.*

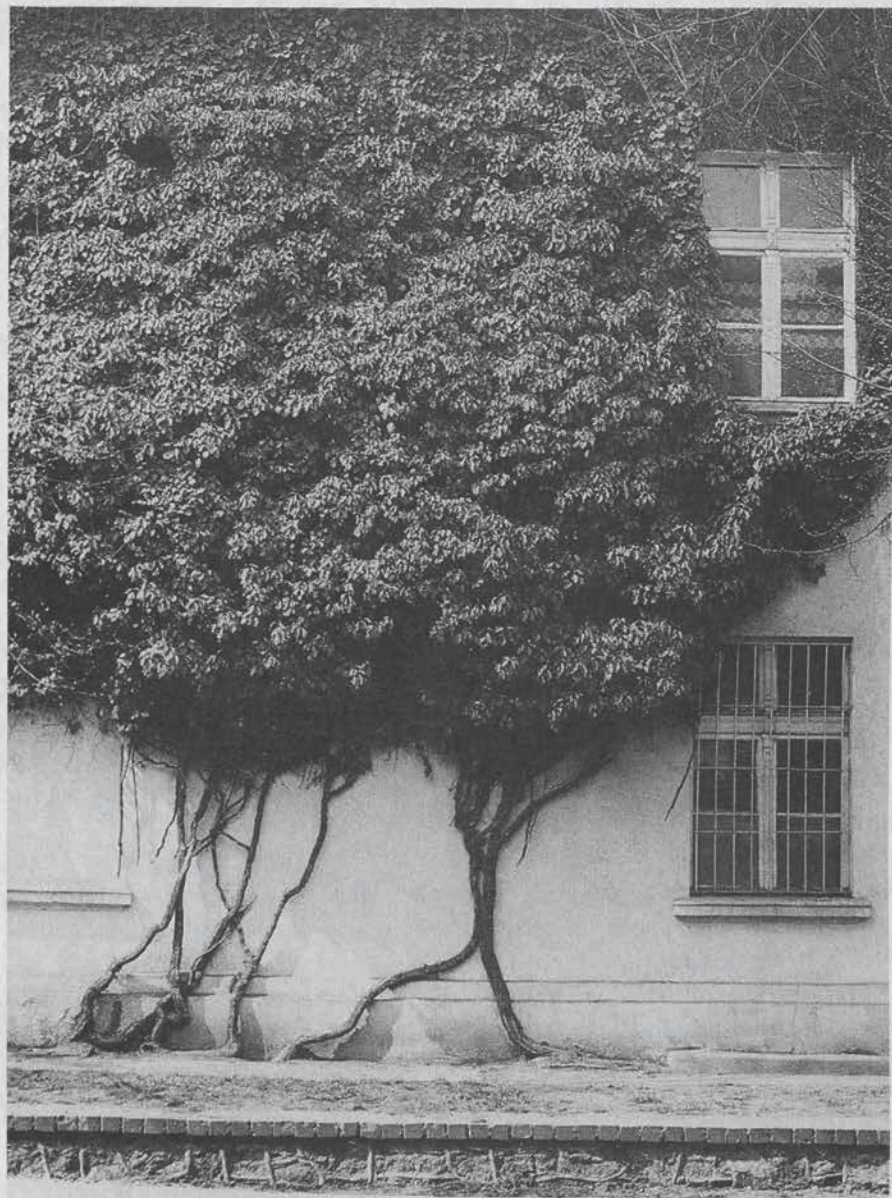
JANUSZ HEREŹNIAK

Drzewa w krajobrazie Łodzi

Drzewa — choć należą do najczęściej spotykanych tworów przyrody — stanowią jedną z najbardziej specyficznych i najcenniejszych grup roślin. Człowiek od zarania istnienia, poprzez wszystkie okresy swego rozwoju cywilizacyjnego, ściśle i na trwałe związany jest i uzależniony od drzewiastych form roślinnych. Zafascynowany ich ogromem, różnorodnością kształtów i barw, a przede wszystkim emanującą potęgą i długowiecznością — widział w nich boski majestat lub przynajmniej siedzibę wszechpotężnych bóstw.

Powszechnie uważa się, że to dzięki kultowi i opiece buddyjskich kapłanów dotrwał do naszych czasów reliktowy i endemiczny gatunek chińskiego miłorzębu dwudzielnego *Ginkgo biloba*. Piękne okazy tego oryginalnego drzewa owocowego i ozdobnego o wachlarzowatych, dwuklapowych liściach możemy dziś spotkać również w Łodzi: na trawniku przy ulicy Uniwersyteckiej 1 (okaz męski) i w parku Źródlińska II (okaz żeński).

Analogiczne przykłady znajdujemy na terenach Ameryki Północnej, gdzie od chwili odkrycia olbrzymich, tysiącletnich sekwoi w roku 1858, jedynymi ich obrońcami — przed siekierą, piłą i dynamitem osadników — byli Indianie ze szczepu Potwiszów, którzy traktowali drzewa mamutowe jako bóstwa opiekuńcze, osiedlając się w ich sąsiedztwie.



Kwitnący bluszcz pospolity, ul. Kilińskiego 101, fot. Janusz Hereźniak

Współczesny rozwój nauki, a przede wszystkim drastyczne zniszczenie zielonej powłoki ziemi, które doprowadziło niektóre obszary naszego globu do katastrofy ekologicznej, uświadomiły człowiekowi ogromną rolę drzew w utrzymaniu równowagi w bilansie tlenowym biosfery.

Wyniki badań uczonych niemieckich wskazują, że jeden 100-letni buk pospolity zaspokaja potrzeby tlenowe 10 osób!, co może zrównoważyć dopiero 1700 drzew 10-letnich tego gatunku. Badania te wskazują, jak zaskakująco ogromny i trudny do przecenienia jest udział starych drzew w produkcji życiodajnego tlenu, co stawia je — szczególnie w wielkich miastach — w szeregu najcenniejszych tworów przyrody, które winny podlegać szczególnie troskliwej opiece i skutecznej ochronie. W wielkich aglomeracjach przemysłowo-miejskich wycina się bezpowrotnie tysiące drzew, które ze względu na warunki siedliskowe, m.in. bardzo niski poziom wód gruntowych, nie mogą być zastąpione nawet pojedynczymi drzewami. Dziś sadzenie drzew w miastach wiąże się z instalacją specjalnych i kosztownych urządzeń, wspomagających ich wegetację, co bywa stosowane w bogatych i dobrze rozwiniętych krajach Europy Zachodniej, np. w Niemczech.

* * *

Statystyka wycinkowa drzew w Łodzi w minionym okresie była zdecydowanie niekorzystna dla środowiska miejskiego, ze względu na liczbę drzew skazanych prawnymi decyzjami na wycięcie. W 1987 r. wydano wyrok na 5336 drzew, w 1988 — 7244, a w 1989 — 6705 drzew. Najczęstsze uzasadnianie tych decyzji to: kolizje z inwestycjami — 68,5%, drzewa suche i usychające — 16,2%, zagrażające bezpieczeństwu — 5,9%, kolizje z budynkami, siecią wodociągową i elektryczną — 4,8%, drzewa cmentarne — 1,2%. Obecnie, w latach 1994 i 1995, liczba wyciętych drzew nie przekracza rocznie 2,5 tys. okazów, przy czym najczęściej są to drzewa suche (ponad 40%).

Racjonalne kształtowanie środowiska miejskiego, które zapewniałoby harmonijny rozwój miasta i było przyjazne żyjącemu w nim człowiekowi — wymaga stworzenia proekologicznej strategii rozwoju aglomeracji miejskiej i przestrzegania istniejących norm w zakresie kształtowania i ochrony zieleni.

Podstawową normę w tym zakresie zawiera Zarządzenie 118 Ministra Budownictwa i Przemysłu Budowlanego z dn. 15.06.1964, które określa najważniejsze, obowiązujące wskaźniki — normy zazielenienia miast. Przewidują one, że w mieście przemysłowym — takim jak Łódź — na 1 mieszkańca winno przypadać, m.in.: 15 m² zieleni ogólnomiejskiej (parki i zieleńce), 38 m² — lasów miejskich i 8 m² — ogródków działkowych. Jak dalece nasze miasto odbiegło od tej normy i jakie ma jeszcze dziś niedobory w tzw. zieleni wysokiej — ilustruje zamieszczona tabela. Niedobór ten wynosi w zakresie zieleni ogólnomiejskiej — ok. 5 m² na 1. mieszkańca (w śród-

mieściu aż 11,5 m²/1 mieszk.), w lasach — ok. 12,5 m²/1 mieszk. i najmniej w ogródkach działkowych — 0,4 m²/1 mieszkańca.

I choć w ostatnich latach wyraźnie poprawił się stan łódzkiej zieleni, to przed władzami miasta stoją wciąż pilne zadania likwidacji niedoboru zieleni ogólniej-

ZIELEŃ MIASTA ŁODZI

Pow. miasta — 29.440 ha, w tym zieleni — 4820 ha (16,45%)

Ludności — 833.698 os.; gęst. zalud. — 2.832 os./km² (Śródmieście — 14.026 os./km²)

Lp.	Rodzaj zieleni	Udział zieleni w mieście		Wskaźnik zieleni w m ² na osobę			
		ha	%	norma (1964)	1970	1983	1993
1.	Zielen ogólnomiejaska (parki — 31 i zieleńce) w tym Śródmieście	840 33,7	17,4 4,9	15,0	8,5	9,7 2,6	10,1 3,5
2.	Lasy komunalne w tym Las Łagiewnicki	1430 1205	29,7	38,0	19,1	17,3	17,1
3.	Ogrody działkowe	630	13,1	8,0	4,5	6,8	7,6
4.	Cmentarze	200	14,1				
5.	Zielen osiedli mieszkaniowych	1090	22,6				
6.	Zielen towarzysząca zakładom i usługom	620	12,9				
7.	Drzewa uliczne						
	— ogólna liczba drzew	— tys. sztuk			63,5	54,0	48,2
	— obustronna statystyczna odległość pomiędzy drzewami	— m		7	32,6	43,2	45,0

skiej oraz — wcześniej powstałych — błędów i zaniedbań w jej prowadzeniu. Aby to osiągnąć, musimy w pierwszej kolejności wspólnie podnieść świadomość ekologiczną naszego społeczeństwa. Należy dążyć do upowszechnienia poglądu, że inwestowanie w zielen miejską, to finansowanie zdrowia ludności miasta, podnoszenie jej warunków egzystencji, humanizacja otoczenia, stwarzanie warunków sprzyjających wychowaniu dzieci i młodzieży w duchu harmonijnego, proekologicznego obcowania z przyrodą, a tym samym — nawiązywanie do najwyższych zachodnioeuropejskich standardów życiowych i kulturowych.

Stan zieleni miejskiej jest też znaczącym wskaźnikiem rozwoju cywilizacyjnego społeczeństwa. A dorodne drzewa, uznane za pomniki przyrody, świadczą o mądro-

ści naszych przodków, którzy pozostawili nam w spadku ten żywy i bezcenny depozyt, abyśmy mogli go w całości przekazać przyszłym pokoleniom.

* * *

W Łodzi istnieje dziś około 220 obiektów drzewiastych uznanych za pomniki przyrody; jest wśród nich: 214 pojedynczych okazów drzew, 2 grupy drzew, 2 aleje, 1 pnąc — kwitnący okaz bluszczu i 1 park miejski — „Źródlika”. Pojedyncze okazy drzew pomnikowych należą do 29 taksonów, z których 9 to gatunki obcego pochodzenia. Najliczniej reprezentowane są: dąb szypułkowy (50 drzew), lipa drobnolistna (25), buk pospolity (20), klon zwyczajny (18), kasztanowiec zwyczajny (18) i klon srebrzysty (12).

Największe rozmiary wśród łódzkich drzew osiągnęła topola holenderska występująca w parku im. A. Mickiewicza, nad rzeką Brzozą na Julianowie, której obwód pnia wynosi 708 cm (1996).

Jeszcze większy obwód — ok. 8 m — ma dąb szypułkowy na Rogach w dolinie Bzury, nad stawem przy ulicy Boruty 14; niestety, jest to okaz złożony z 3 drzew o potężnych pniach zrosniętych u podstawy.



Największe pomnikowe okazy dębów szypułkowych w parku Źródlika II
fot. Janusz Hereźniak

Natomiast największy, pojedynczy okaz dębu szypułkowego *Quercus robur* o obwodzie 475 cm (1996) występuje w parku Źródlika II obok pałacu Scheiblera (Muzeum Kinematografii) od strony ul. Targowej. To jeden z ponad 40 dorodnych dębów, jakie pozostały po dawnej puszczy na obszarze źródlikowym, położonym w bliskim sąsiedztwie wododziału Odry i Wisły, w dorzeczu rzeki Jasień. Dziś pojedynczymi żywymi świadkami puszczańskich ostępów są już tylko te prastare dęby, które stanowią zrąb drzewostanu najstarszego parku miejskiego Łodzi — Źródlika (1840 r.), wpisanego do rejestru zabytków województwa łódzkiego i uznanego w całości za pomnik przyrody.

Wiek kilku z tych najokazalszych dębów zbadal przy pomocy świdra Presslera Cezary Pacyniak z AR w Poznaniu w roku 1984. Okazało się, że wspomniany już największy dąb ma dziś ok. 317 lat, zaś 3 inne — 232-295 lat. Natomiast rosnący w pobliżu, jeden z najstarszych w Łodzi okaz cisa pospolitego *Taxus baccata* o obwodzie 122 cm i wysokości 13,5 m — ma tylko ok. 145 lat.

Dla porównania, najstarsze drzewo w Polsce — cis pospolity — rośnie w Henrykowie Lubańskim i ma dziś (1996 r.) 1262 lata, natomiast najstarszy dąb szypułkowy z Piotrowic, w gm. Szprotawa — zaledwie 739 lat, „Bartek” z Bartkowa, gm. Zagnańsk — 666 lat, a sławne dęby rogalińskie o legendarnych imionach „Lech”, „Czech” i „Rus” — od 621 do 508 lat.

Na terenie Łodzi powszechnie znane są jeszcze co najmniej dwa pomnikowe okazy dębów szypułkowych. Pierwszy to tzw. „Kosynier”. Rośnie na skraju parku im. A. Mickiewicza na Julianowie, od strony ulic Orzeszkowej i Al. Róż. Pisał o nim swego czasu znany łódzki felietonista Henryk Rudnicki;

... dąb, zwany kosynierem, bo pod jego konarem w dniu 31 stycznia 1863 r. Józef Tampicki, stary Garibaldczyk, wręczał robotnikom łódzkim kosi i myśliwskie strzelby skałkowe, a łódzkie kobiety przekazały im sztandar z orłem, z napisem „Całość, wolność, niepodległość”. Według ostatniego pomiaru, pień „Kosyniera” ma obecnie obwód 440 cm i — niestety — jest pusty u podstawy.

Drugi dębowy kolos jest reprezentacyjnym drzewem parku im. ks. M. Klepacza (d. im. S. Worcella), gdzie swą szeroko rozpostartą i nisko osadzoną koroną obejmuje prawie całą rozległą kwaterę parkową, położoną na zachód od eklektycznej willi Richtera — siedziby Rektoratu Politechniki Łódzkiej. Pod tą potężnie rozwiniętą koroną, wczesną wiosną, na trawniku pojawiają się masowo łany lazurowoblękitnie kwitnących cebulic *Scilla* — jest to niepowtarzalne zjawisko o zaskakującym uroku. Zdrowy, krótki pień tego okazałego dębu, nazwanego przez J. T. Sicińskiego „Fabrykantem”, osiągnął w marcu 1996 r. obwód pnia — na wysokości 70 cm — 412 cm, co ewidentnie wskazuje na znaczną żywotność tego drzewa, gdyż w roku 1961 jego pień miał w obwodzie tylko 330 cm.

Najokazalsza lipa drobnolistna *Tilia cordata* o obwodzie pnia 575 cm i wysokości 23 m rośnie na Rogach, przy ul. Piaskowej, w pobliżu ul. Strykowskiej. Krótki pień drzewa rozgałęzia się na wysokości ok. 180 cm na 4 potężne konary i widać na

nim ślady zrośnięcia, prawdopodobnie z oddzielnych okazów. Pomnik ten leczony był wiosną 1992 roku.

* * *

Lista dorodnych, pomnikowych okazów drzew występujących na terenie naszego miasta jest dość długa. Wystarczy wspomnieć, że drzew o obwodzie pnia powyżej 400 cm jest ponad 20, zaś w przedziale od 300-400 cm odnotowano dotąd 64. Stan zdrowotny łódzkich drzew pomnikowych jest bardzo różny. Część była już leczona, inne czekają na te dość kosztowne zabiegi, przedłużające ich egzystencję.

* * *

Obok starych, rodzimych drzew pomnikowych, zadziwiających nas swą sędziwą urodą, a przede wszystkim produkujących ciągle ogromne ilości życiodajnego tlenu, istnieją również drzewa niepozorne z wyglądu, lecz „szczycące się” odległą, niekiedy egzotyczną proveniencją.

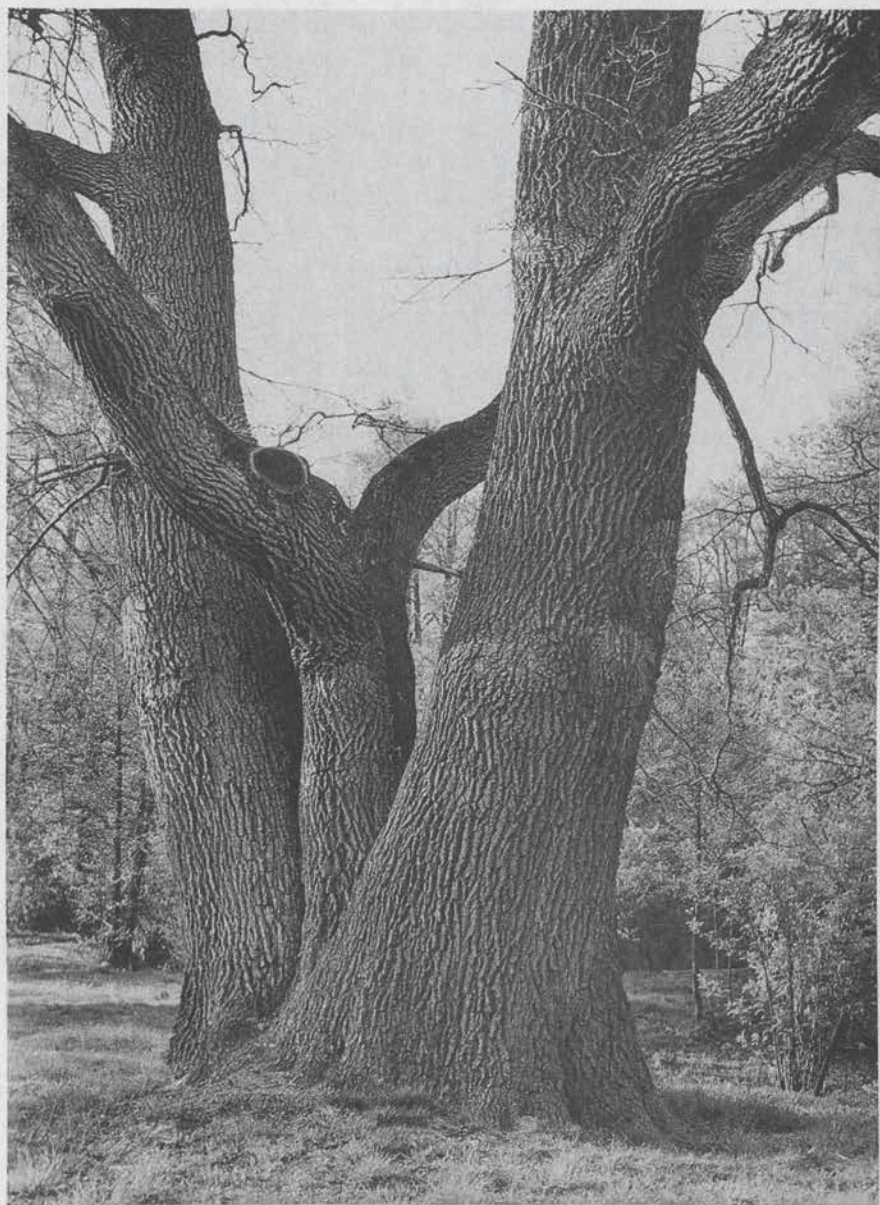
Na terenie naszego miasta — poza kolekcjami dendrologicznymi zgromadzonymi w 4 ogrodach botanicznych — stwierdzono dotąd ponad 400 taksonów roślin drzewiastych, w tym 276 gatunków i 125 odmian, głównie uprawnych, tzw. kultuwarów.

Pochodzenie łódzkiej dendroflory jest dość zróżnicowane i składa się z:

- 121 taksonów rodzimych (30,2%), w tym 70 gatunków i 51 odmian;
- 103 taksonów pochodzących z Ameryki Północnej (25,7%), w tym 66 gatunków i 37 odmian;
- 99 taksonów pochodzenia azjatyckiego (24,7%), w tym 75 gatunków i 24 odmiany;
- 50 taksonów pochodzących z Europy Południowej i Zachodniej (12,5%), w tym 39 gatunków i 11 odmian;
- 28 taksonów, będących trwałymi mieszańcami (6,9%), uznanymi za gatunki (26) lub odmiany uprawne (2).

* * *

Wśród drzew obcego pochodzenia spotykamy też sporo gatunków rzadkich, które występują tylko w pojedynczych okazach, często „ukryte” w zaciszu małych ogródków, zieleńców lub parków przy zabytkowych willach pofabrykanych. Do niedawna było wśród nich wiele ciekawostek i osobliwości dendrolo-



Największy pomnikowy okaz dębu szypułkowego w Łodzi, o łącznym obwodzie 3 pni ok.
8 m, Rogi, ul. Boruty 14

fot. Janusz Hereźniak

gicznych, z tzw. galanterii ogrodniczej, która wyróżniała i uatrakcyjniała poszczególne ogrody. W okresie powojennym wiele ogrodów i parków pozbawiono dotychczasowej indywidualnej opieki, rozgradzając je i udostępniając społeczeństwu bez ograniczeń. Zmiany własnościowe spowodowały szereg zaniedbań i zaniechań w pielęgnacji i konserwacji zieleni na terenie miasta. Odczuły to najbardziej wrażliwe gatunki i odmiany drzew obcego pochodzenia — egzoty, których egzystencja była możliwa tylko przy podwyższonym standardzie pielęgnacyjnym. Najlepszym tego przykładem jest 2,5-hektarowy park im. J. Matejki, jedyny, który swym charakterem nawiązuje do regularnych ogrodów francuskich i który służył do niedawna z bogatej kolekcji krzewów. Dziś, 35 lat od ostatniej inwentaryzacji, nie odnotowano w nim ok. 20 gatunków krzewów (35%) i 7 gatunków drzew. Nie występują już: dąb błotny, pełnokwiatowe odmiany wiśni zwyczajnej i wiśni gruczołowatej oraz jarzab mączny, a z krzewów m.in. suchodrzew siny i suchodrzew skrytoowocowy, perukowiec zwyczajny i porzeczek krwista.

Podobne wyniki przyniosłaby zapewne analiza jakościowa innych istniejących obiektów zieleni wysokiej w Łodzi, które podlegały analogicznym formom antropopresji. W ostatnich latach można zauważyć nasilającą się dewastację zieleni, w stopniu i formie dotąd nieznaną, a jednocześnie wysiłki władz samorządowych — głównie Naczelnego Ogrodnika Miasta — zmierzające do wprowadzenia infrastruktury technicznej, zabezpieczającej zagrożone zasoby zieleni miejskiej.

Szczególnie trudno pogodzić się z nieznanymi jeszcze do niedawna — „dzikimi” praktykami: opalania się lub gry w piłkę nożną na trawnikach parkowych, niekiedy pod opieką nauczyciela (park im. St. Staszica), czy przemierzania w poprzek, „na skrót” kwater zabytkowego parku im. J. Matejki przez młodzież studencką, a niekiedy nawet przez jej wychowawców.

* * *

Ten syndrom nowej obyczajowości, nieprzychylny żywej przyrodzie — a widoczny na wszystkich szczeblach organizacyjnych naszego życia społecznego — powoduje szybkie, często nieodwracalne zmiany, zagrażające ilościowo i jakościowo naszej zieleni. Dlatego trudno dziś powiedzieć, czy żyją jeszcze:

- Cyprysiki błotne *Taxodium distichum* — 2 okazy przy ul. Rudzkiej 33, na stoku doliny Neru;
- Świerk syberyjski *Picea omorica* i inne rzadkie okazy drzew, w enklawie parkowej przy ul. Wierzbowej 44;
- Tulipanowiec amerykański *Liriodendron tulipifera*, oczar japoński *Hamamelis japonica* i inne, w ogródku przy ul. Orzeszkowej na Julianowie;
- Jesion mанныy *Fraxinus ornus* w parku na Widzewie;

- Kalopanax w ogrodzie przy willi — siedzibie Akademii Muzycznej na skrzyżowaniu ulic Gdańskiej i 1 Maja;
- oraz wiele innych drzew, jakie m.in. wymieniał J. Mowszowicz w swej pracy pt. „Dendrologiczne osobliwości Łodzi” z 1967 r.

W obrębie miasta pozostaje — na szczęście — wciąż duża grupa rzadkich gatunków drzew obcego pochodzenia, które mogą być nie tylko źródłem naszej satysfakcji z posiadania tak interesujących obiektów dendrologicznych, ale także źródłem wiedzy o możliwości aklimatyzacji tych drzew w specyficznych warunkach dużej aglomeracji przemysłowo-miejskiej środkowej Polski.

Obok wyżej wymienionych już gatunków drzew na naszą szczególną uwagę i troskliwą opiekę zasługują m.in.:

- Choina różnolistna *Tsuga diversifolia* w parku Źródłiska II;
- Cyprysik nutkajski *Chamaecyparis nootkatensis* — wspaniały okaz w parku im. ks. bp. M. Klepacza;
- Topola kalifornijska *Populus trichocarpa* w parku Źródłiska II — kilka okazów wzdłuż ul. Fabrycznej;
- Topola kanadyjska odm. złocista *Populus x canadensis cv. Aurea* — 6 dorodnych okazałów rosnących w parku Helenowskim wzdłuż ogrodzenia i drogi nad stawem;
- Buki pospolite w odm. strzępolistnej *Fagus sylvatica cv. Laciniata* i w odm. okrągłolistnej *F.s. cv. Rotundifolia* — w parku Źródłiska II;
- Dąb szypułkowy odm. pierzastolistna *Quercus robur cv. Pectinata* w parku im. St. Staszica od strony ul. Uniwersyteckiej;
- Dąb wielkoowocowy *Quercus macrocarpa* w parku im. St. Staszica;
- Kłęk kanadyjski *Gymnocladus dioicus* — 2 okazy w małym parku otaczającym pałac przy skrzyżowaniu ul. Jaracza i POW: jeden okaz rośnie przy chodniku, drugi — obok, na trawniku przed apteką — jest silnie pochylony i zawieszony na specjalnej stalowej konstrukcji. Inne stanowisko tego oryginalnego, północnoamerykańskiego drzewa znajduje się przy ul. Przędzalnianej 72, pomiędzy zbiornikiem wodnym na rz. Jasioń a ogrodzeniem Rezydencji „Księży Młyn” — muzeum wewnątrz.
- Perełkowiec japoński *Sophora japonica* — kilka okazów przy kortach tenisowych w parku im. J. Poniatowskiego;
- Lipa biała *Tilia petiolaris* — stare dorodne okazy w parkach: im. A. Mickiewicza, im. St. Staszica i im. Wł. Reymonta;
- Paulownia puszysta *Paulownia tomentosa* — wybitnie egzotyczne drzewo pochodzące z Chin, wrażliwe na niskie temperatury. Okaz rosnący przy starym budynku administracyjnym Ogrodu Botanicznego na Zdrowiu — zakwitł w maju 1983 roku i w latach następnych; częściowo przemarzył podczas zimy 1985/86 roku.

* * *

Te i wiele innych gatunków rodzimych i obcych, pospolitych i unikatowych, drzew małych i pomnikowych, młodych i sędziwych, a nawet umierających, które są podobno najpiękniejsze — oczekuje naszej troski, opieki i pomocy.

Ich wygląd i kondycja to gwarancja naszego zdrowia, a przede wszystkim świadectwo lokalnego patriotyzmu i kultury społeczeństwa, które tak usilnie pragnie udowodnić swą przynależność do kręgu kulturowego europejskiej wspólnoty narodów.

MAŁGORZATA SZAFNICKA

W sprawie ustawy miejskiej

1. Sytuacja miast polskich w ustawie o samorządzie terytorialnym

Ustawa z 8 marca 1990 r. o samorządzie terytorialnym ponownie stworzyła w Polsce podstawy prawne dla funkcjonowania samorządu. Jest paradoksem, że ta długo oczekiwana reforma ustrojowa, przynosząc szansę rozwoju demokratycznego państwa, jednocześnie spowodowała degradację miast. W okresie międzywojennym ich szczególną pozycję zapewniał dekret z 1919 r. o samorządzie miejskim, a później ustawa z 1933 r., która przewidywała indywidualne ukształtowanie ustroju wielkich aglomeracji: Krakowa, Łodzi, Lwowa, Poznania, Warszawy i Wilna. W okresie powojennym, mimo likwidacji struktur samorządowych, miastom zapewniono szczególny status w hierarchii administracji rządowej. Najpierw wprowadzono konstrukcję „miasta wyłączonego” z powiatu czy województwa, zaś po reformie administracyjnej kraju z 1975 r. szczególną pozycję miast gwarantował status „województwa miejskiego”. Tymczasem ustawa z 1990 r., tworząc jednostopniową strukturę samorządu terytorialnego, przyjęła uniwersalny model gminy będącej wspólnotą samorządową i tym samym wyeliminowała pojęcie miasta jako odrębnej kategorii ustrojowej. Miasto, niezależnie od swej wielkości, w regulacji ustawowej zostało potraktowane jako gmina wiejska.

Przedstawiciele miast polskich już w chwili wejścia w życie ustawy samorządowej postawili właściwą diagnozę położenia swych ośrodków. Towarzystwo Urbanistów Polskich sformułowało w 1990 r. lapidarne hasło: „Tyle państwa, ile miasta”. Pod tym hasłem Związek Miast Polskich i Unia Metropolii Polskich podjęły działalność, której celem była m.in. odrębna regulacja prawna statusu miasta. Trzeba podkreślić, że reforma miała się dokonać nie w egoistycznym interesie ludności miejskiej, lecz dla dobra ogółu społeczeństwa. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że z potencjału ludzkiego, technicznego, naukowego, kulturowego, skumulowanego w miastach czerpią wszyscy obywatele. Nie bez racji mówi się o miastach, że są one lokomotywami rozwoju całych regionów.

Wysiłki „miejskiego lobby” zaowocowały rozporządzeniem Rady Ministrów z 13 lipca 1993 r. „w sprawie określenia zadań i kompetencji z zakresu rządowej admini-

stracji ogólnej i specjalnej, które mogą być przekazane niektórym gminom o statusie miasta, wraz z mieniem służącym do ich wykonywania, a także zasad i trybu przekazania”, potocznie zwanym rozporządzeniem pilotażowym. Program pilotażowy to swego rodzaju poligon doświadczalny, który miał posłużyć zweryfikowaniu „wydolności” dużych miast. Rozporządzenie stworzyło możliwość (nie obowiązku) przejmowania przez gminy miejskie znacznej części zadań należących dotąd do administracji rządowej. Środki na realizację pilotażu miały być przekazywane miastom z budżetów wojewodów. Wyniki monitoringu programu pilotażowego prowadziły do dwóch zasadniczych wniosków: po pierwsze — miasta poradziły sobie z ciężarem przejętych zadań, po drugie — miasta były zmuszone „dofinansować” pilotaż ze środków własnych. Generalnie rzecz biorąc miasta dotrzymały porozumień zawartych z wojewodami, mimo że z prawnego punktu widzenia — wobec niedotrzymania warunków finansowych umowy przez stronę rządową — mogły od porozumień odstąpić.

2. Prezentacja „ustawy miejskiej”

Uchwalona 24 listopada 1995 r. ustawa o zmianie zakresu działania niektórych miast oraz o miejskich strefach usług publicznych, to niezwykle doniosły akt prawny, o który zabiegały samorządy miejskie. Stanowi on podstawę odrębnego ukształtowania pozycji miast polskich. Nie zróżnicowano wprawdzie ustroju gmin wiejskich i miejskich, ale w sposób znaczący rozszerzono zakres zadań i kompetencji 46 największych miast, wskazanych w załączniku do ustawy. Przekazano im część funkcji wypełnianych dotąd przez administrację rządową. W związku z tym, w chwili wejścia w życie ustawy, tj. 1 stycznia 1996 r., utraciły moc zawarte wcześniej porozumienia między miastami objętymi ustawą a organami administracji rządowej.

Ustawa wprowadza ponadto nie znaną dotąd prawo polskiemu tzw. miejską strefę usług publicznych (art. 14-21 ustawy). Jest to szczególny rodzaj związku komunalnego, który może powstać wokół miasta o statusie wojewódzkim, nie objętego — ze względu na małą liczbę mieszkańców — zakresem ustawy. Związek taki może przejąć zadania wielkiego miasta, określone w ustawie.

W ten sposób, bez konstytucyjnych zapisów o organizacji terytorialnej państwa, a nawet bez nowelizacji ustawy o samorządzie terytorialnym, dokonał się kolejny etap reformy administracji publicznej; zakres samorządności został znacznie rozszerzony.

3. Zadania administracji samorządowej wielkich miast

Najpierw przyjrzyjmy się kompetencjom, które ustawa przekazuje miastom. Część z nich stała się zadaniem własnym administracji samorządowej, część administracja ta będzie wykonywała jako zadanie zlecone.



fot. Piotr Zdrzynicki

Zadaniami własnymi miast (art. 2 ustawy) stały się przede wszystkim zadania w dziedzinie oświaty, kultury i służby zdrowia. Tak więc gminy przejęły:

- prowadzenie szkół ponadpodstawowych, szkół artystycznych I i II stopnia, przedszkoli, szkół specjalnych (art. 2 ust. 1). W tym miejscu trzeba podkreślić, że wejście w życie ustawy zbiegło się w czasie z terminem obligatoryjnego przejścia przez wszystkie gminy w Polsce prowadzenia szkół podstawowych;

- prowadzenie zakładów opieki zdrowotnej (z wyłączeniem specjalistycznych), domów pomocy społecznej i ośrodków opiekuńczych;

- instytucje kultury wpisane do rejestru prowadzonego przez wojewodę.

Zadaniem własnym miast stało się też utrzymanie i ochrona dróg, z wyłączeniem autostrad i dróg ekspresowych.

Ustawa upoważniła Radę Ministrów do określenia tych jednostek organizacyjnych oraz dróg, które pozostają w gestii administracji rządowej. Stosowne rozporządzenie zostało wydane 12 grudnia 1995 r.

Druga grupa obejmuje te zadania, które miasta mają wykonywać jako zadania zlecone z zakresu administracji rządowej. Wśród całego kompleksu tych zadań (art. 4-9 ustawy) warto zwrócić uwagę na:

- przejęcie kompetencji rejonowych organów administracji rządowej, z wyjątkiem niektórych kompetencji z zakresu gospodarki wodnej, leśnej, a także gospodarki gruntami;

- przejęcie od wojewody prowadzenia zasobu geodezyjnego i kartograficznego;

- przejęcie od Ministra Transportu i Gospodarki Morskiej kompetencji w zakresie organizacji ruchu i ewidencji pojazdów;

- przejęcie niektórych kompetencji wojewódzkiego konserwatora zabytków, państwowego inspektora sanitarnego oraz wojewódzkiego komendanta Państwowej Straży Pożarnej.

4. Finansowanie zadań przejętych przez miasta

Dla każdego jest zrozumiałe, że możliwość realizacji tych poważnych zadań i poziom zaspokojenia potrzeb mieszkańców zależy od środków przeznaczonych na te cele. Problem dotyczy zarówno przekazania majątku, stanowiącego materialną podstawę istnienia szkół, szpitali, itp., jak i zapewnienia pieniędzy niezbędnych dla ich funkcjonowania.

Gdy chodzi o pierwszą kwestię to trzeba podkreślić, że „ustawa miejska” przewiduje komunalizację tych składników majątku Skarbu Państwa, które służą wykonywaniu zadań przejmowanych przez miasta jako zadania własne. Artykuł 23 ust. 1 ustawy stanowi wyraźnie, że mienie to z dniem wejścia w życie ustawy, z mocy prawa, staje się mieniem gmin. Jest to bardzo ważne postanowienie, gdyż na jego

podstawie dokonał się drugi etap komunalizacji majątku państwowego. O ile ustawa z dnia 10 maja 1990 r., potocznie zwana komunalizacyjną, dotyczyła wszystkich gmin w Polsce, o tyle „ustawa miejska” jest podstawą komunalizacji mienia tylko w wielkich miastach. W ten sposób dokonało się wyraźne zróżnicowanie stanu zamożności gmin.

Kwestia finansowania zadań przejmowanych przez miasta była przedmiotem najbardziej burzliwych sporów między stroną samorządową i Rządem. Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że gminy polskie tylko w znikomym stopniu partycypują w dochodach państwa. Ustawa o finansowaniu gmin, poza skromnymi dochodami własnymi, przyznaje gminom udział wysokości 15% podatku dochodowego od osób fizycznych i 5% podatku od osób prawnych. Sam sposób ustalania podstawy tego udziału jest niekorzystny dla dużych gmin miejskich. W tej sytuacji jest oczywiste, że miasta nie mogą finansować nowych zadań z własnych budżetów.

Ustawa przewiduje więc odpowiednie zwiększenie dochodów miast na wykonywanie przejmowanych przez nie zadań. Skomplikowany wzór, zawarty w art. 11 ustawy, pozwala określić w sposób zindywidualizowany wzrost udziału każdego z miast objętych ustawą w podatku dochodowym od osób fizycznych. Stosowne kwoty powinny być przekazywane przez Ministra Finansów na rachunki gmin do 10 dnia miesiąca następującego po miesiącu, w którym podatek wpłynął na rachunek urzędu skarbowego. Zwiększenie udziału w podatku ma służyć finansowaniu zadań własnych. Gdy chodzi o zadania zlecone, to mają być one finansowane poprzez dotacje celowe z budżetu państwa (art. 13 ustawy), obliczane oddzielnie dla każdej gminy i przekazywane jej z budżetu wojewody.

5. Obawy związane z „ustawą miejską”

Wejście w życie „ustawy miejskiej” stanowi niewątpliwie ważną cezurę w rozwoju samorządności i procesie decentralizacji państwa. Reprezentanci wielkich miast walczyli o zwiększenie kompetencji swych samorządów i uchwalenie ustawy mogą uznać za sukces. Nie należy jednak pomijać obaw, które od początku towarzyszyły pracom nad ustawą. Wiązały się one zawsze z finansami gmin. Strona samorządowa miała świadomość, że przejęcie zadań bez zagwarantowania pieniędzy na ich realizację może doprowadzić do spadku jakości obsługi mieszkańców. Gdyby społeczność lokalna niżej oceniała administrację samorządową od rządowej, oznaczałoby to w pewnym sensie kompromitację idei samorządności. Na ogół bowiem oczekujemy, że wybrana przez nas, samorządowa administracja lepiej sprosta naszym oczekiwaniom.

Reprezentacja miast do ostatniej chwili zabiegała o to, by zasady finansowania przejmowanych przez nie zadań gwarantowały im środki nie mniejsze niż realne koszty wykonywania tych zadań ponoszone dotąd przez administrację rządową. W

stanowisku Konwentu Prezydentów Największych Miast Polskich, przyjętym dnia 20 września 1995 r. w Katowicach, czytamy: „Prezydenci największych miast polskich zdecydowanie odrzucają rozwiązania nie zweryfikowane przez samorządy i nie zaakceptują propozycji, które decyzje odnoszące się do finansów gmin czynią uznaniowymi”.

Regulacja ustawowa jest niewątpliwie wynikiem kompromisu. Nie ma pewności, czy wskaźniki przyjęte w ustawie pokryją w całości ukryte zadłużenie oświaty i zakładów opieki zdrowotnej. Wiadomo bowiem, że jednostki organizacyjne utrzymywane z budżetu państwa często nie regulują rachunków w stosunku do przedsiębiorstw czy spółek będących własnością Skarbu Państwa. Później korzystają z przywileju oddłużenia. Te same jednostki po przejęciu przez gminę nie mogą liczyć na taki przywilej.

Strona samorządowa nie jest też zadowolona z treści art. 27 ustawy dotyczącego zobowiązań zaciągniętych przez przejmowane jednostki organizacyjne do dnia 31 grudnia 1995 r. Zasadniczo odpowiada za nie Skarb Państwa. Zastrzeżenia budzi jednak ust. 1 pkt. 3 tego przepisu, który pozostawia do decyzji organu administracji rządowej zapłatę długów zaciągniętych po 1 października 1995 r.

Mimo starań strony samorządowej, ustawa nie przewiduje mechanizmu przekazywania miastom środków na inwestycje, jakie trzeba prowadzić w przejmowanych sektorach administracji.

Jest rzeczą oczywistą, że samo przekazywanie mienia administracji samorządowej może budzić konflikty. Powstają one zwłaszcza wtedy, gdy rozdzielane jednostki organizacyjne (obecnie rządowe i samorządowe) dotąd funkcjonowały w oparciu o ten sam majątek. Ustawa przewiduje, że organem właściwym do rozstrzygania tego rodzaju sporów jest Minister Finansów w porozumieniu z reprezentacją gmin objętych ustawą.

Rozwiązania przyjęte w ustawie miejskiej musi zweryfikować praktyka. Należy oczekiwać, że konflikty okresu przejściowego będą słabnąć w miarę upływu czasu. Pozostanie na pewno problem finansowania zadań. Wiele zależeć będzie od rzetelnego i terminowego wywiązywania się budżetu państwa z wynikających z ustawy zobowiązań względem miast. Trzeba jednak podkreślić, że zagadnienie finansowania samorządu terytorialnego nie dotyczy wyłącznie dużych ośrodków. System finansowania wszystkich gmin w Polsce powinien ulec zmianom idącym w kierunku zwiększenia dochodów własnych samorządu (udziału w podatkach) i tym samym — zwiększenia jego samodzielności.

* Tekst ustawy opublikowany został w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej, nr 141 z dnia 11 grudnia 1995 r., pozycja 692.

Zasłużeni dla miasta

listopad 1995

Na podstawie uchwały nr XX/229/95 z dnia 25 października 1995 roku, podjętej przez Radę Miejską w Łodzi, niżej wymienione osoby **wyróżnione zostały za działalność na rzecz miasta, godną szczególnego uznania**, odznaką **Za zasługi dla Miasta Łodzi**:

Janusz Edward Boisse
Ryszard Wiesław Bonisławski
ks. Bogdan Zenon Dziwosz
Marian Głosek
Wojciech Stanisław Grochowalski
ks. Ireneusz Kulesza
Halina Julia Nicpan
Janina Maria Stankiewicz

Uroczystość nadania odznaki odbyła się w przeddzień Święta Niepodległości, w dniu 10 listopada 1995 roku, w Małej Sali Obrad Rady Miejskiej. Odznaki wręczył Przewodniczący Rady Miejskiej Grzegorz Palka. W spotkaniu wzięli udział zaproszeni przedstawiciele środowisk politycznych, kulturalnych i gospodarczych miasta. Przybyła także młodzież, uczniowie i harcerze I LO im. Mikołaja Kopernika w Łodzi.

Biogramy Laureatów

Janusz Edward Boisse — wieloletni nauczyciel geografii w I Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika, wychowawca młodzieży, animator zainteresowań naukowych, zasłużony instruktor harcerski. Twórca najlicniejszego w naszym mieście szczeptu harcerskiego, znanego z wyjątkowo aktyw-

nej działalności krajoznawczej i turystycznej w Polsce i za granicą. Bez reszty oddany sprawom młodzieży, jej przyjaciel i partner.

Ryszard Wiesław Bonisławski — filolog, popularyzator wiedzy o naszym mieście, organizator turystyki, przewodnik, krajoznawca. Kontynuator telewizyjnego cyklu audycji *Encyklopedia Łodzi*. Autor licznych publikacji o historii naszego miasta, jego zabytków i ludziach z Łodzią związanych. Aktywny działacz Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

ks. Bogdan Zenon Dziwosz — duchowny Kościoła rzymskokatolickiego. Proboszcz parafii Matki Boskiej Zwycięskiej. Depozytariusz watykańskiego wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej, daru papieża Jana Pawła II dla Archidiecezji Łódzkiej. Kustosz Jej sanktuarium. Mecenas i animator tradycji patriotycznych, związanych m.in. z męczeńską śmiercią przedstawicieli inteligencji łódzkiej w Katyniu. Kanonik honorowy Kapituły Łódzkiej, prałat papieski.

Marian Głosek — prof. dr hab. zatrudniony w Instytucie Archeologii i Etnologii PAN, archeolog, specjalista badań pól bitewnych. Od najmłodszych lat związany z naszym miastem. Wykładowca na Uniwersytecie Łódzkim. Popularyzator wiedzy historycznej. Badacz pól bitewnych, m.in. Grunwaldu, oraz zamków. W ostatnich latach niestrudzony uczestnik poszukiwań i badań masowych grobów polskich oficerów, w tym także i mieszkańców Łodzi, w Miednoje i Starobielsku.

Wojciech Stanisław Grochowalski — inżynier, przedsiębiorca. Specjalista technologii produkcji papieru, zarówno historycznej, jak i współczesnej. Mecenas sztuk pięknych, opiekun i promotor młodych artystów. Wydawca pisma społeczno-kulturalnego „Ten Ton”, właściciel oficyny wydawniczej. Promotor kilkunastu publikacji o naszym mieście i twórców z Łodzią związanych. Aktywny sponsor wielu inicjatyw kulturalnych.

ks. Ireneusz Kulesza — duchowny Kościoła rzymskokatolickiego. Dyrektor Caritas Archidiecezji Łódzkiej. Niestrudzony opiekun dzieci z rodzin najbiedniejszych. Organizator ich wypoczynku w skali masowej. Zasłużony dla pozyskiwania bazy materialnej dla działalności charytatywnej. Opiekun biednych, chorych i starych ludzi. Nieustający w służbie najbardziej potrzebującym. Cieszący się ich szacunkiem i miłością.

Halina Julia Nicpan — polonistka, emerytowana nauczycielka szkół średnich. Animator twórczości teatralnej wśród młodzieży naszego miasta. Niestrudzona działaczka Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, filar jego Sekcji Teatralnej. Organizatorka konkursów popularyzujących teatr, szczególnie łódzki.

Janina Maria Stankiewicz — emerytowana nauczycielka, wieloletni działacz samorządowy na poziomie lokalnym. Aktywna przewodnicząca rady osiedla Zdrowie-Mania. Uznana organizatorka działań integrujących mieszkańców.

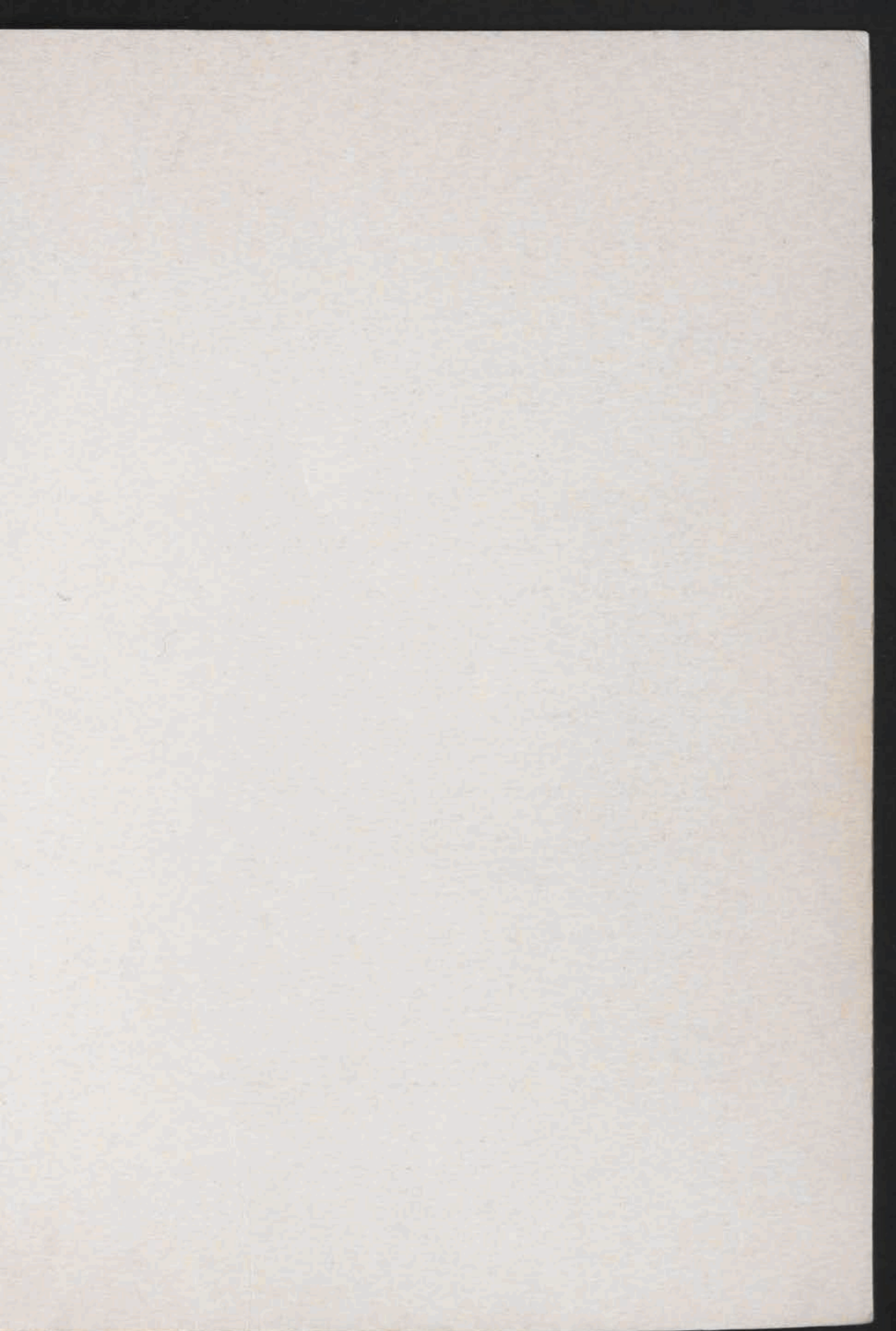
Komisja nagród i Odznaczeń Rady Miejskiej w Łodzi **rozpatrzyła wnioski zgłoszone w terminie do dnia 30 września 1995 roku** opierając się na obowiązującym regulaminie przyznawania odznaki „**Za zasługi dla Miasta Łodzi**”. Rozpatrzono 14 udokumentowanych wniosków indywidualnych. Dwa wnioski zostały zaopiniowane negatywnie, dwunastacie przedstawiono Radzie Miejskiej z opiniami pozytywnymi.

Waldemar Bohdanowicz
Przewodniczący Komisji Nagród i Odznaczeń
Rady Miejskiej w Łodzi

Spis treści

Kazimierz Twardowski <i>Miasto osobliwej powagi, miasto pracy...</i>	4
Marek Budziarek <i>Łódzki fragment historii Kościoła</i>	8
<i>Żył dla Tego, który za nas umarł i zmartwychwstał...</i> Ks. biskup Jan Wawrzyniec Kulik	24
Ryszard Kleszcz <i>Życie filozoficzne w Łodzi powojennej (1945-1956)</i>	27
Pomnik Dekalogu	40
Jerzy Poradecki <i>Łódź — literacki portret miasta</i>	42
Karl Dedecius <i>Przez mgłę, jakby we śnie...</i>	55
Mieczysław Gumola <i>Nad Sprewą i Renem</i>	59
<i>O mojej to Łodzi piosenka...</i>	64
Krzysztof Smoczyk	65
Józef Robakowski	70
Wojciech Górecki <i>Strajki robotnicze w Łodzi w latach 1945-47</i>	74
Andrzej Majer <i>Bieda wielkiego miasta</i>	88
<i>Łódź przeżyła katharsis. Rozmowa z Anną Fornalczyk</i>	97
Anna Buchner-Jeziorska <i>Między Piotrkowską a Księżym Młynem</i>	107
Jadwiga Konieczna <i>Świat książki Łodzi przemysłowej (1820-1918)</i>	114
<i>Tygiel</i>	135
Irena Jaworska <i>45 lat Państwowej Galerii Sztuki</i>	136
Dominika Łarionow <i>Scena Kameralna</i>	151
Anna Sztadynger-Kaliszewicz <i>Wielka przygoda — Uniwersytet 3. Wieku</i>	156
Marzena Korosteńska <i>Światło na Łódź</i>	164
Janusz Hereźniak <i>Drzewa w krajobrazie Łodzi</i>	168
Małgorzata Szafnicka <i>W sprawie ustawy miejskiej</i>	179
Waldemar Bohdanowicz <i>Zasłużeni dla miasta, listopad 1995</i>	185





ISSN - 1231-5354